



PIOTR
LANGENFELD
PONIKT

Zimna wojna się rozpala. Europa podzielona jest „żelazną kurtyną”.
Ta historia mogła wydarzyć się naprawdę...

PIOTR
LANGENFELD
PONIKT



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

EPILOG

SŁOWO OD AUTORA

PRZYPISY

Redakcja
Adam Podlewski

Korekta
Małgorzata Podlewska

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Marcin Labus

Zdjęcia wykorzystane na okładce
© Ole Arnt Thomsen/Shutterstock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Piotr Langenfeld, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83290-58-4



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 2519

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Panu LT

PROLOG

Było po prostu ciemno. Nie tak jak w domu o tej porze roku, daleko od tego miejsca. Nie chodziło nawet o lokalizację, ale o sytuację i czas. Mrok był nieomal jedną plamą, na której tylko cienka nieco bledsza forma czerni naznaczyła granicę między niebem a ziemią. Chmury zaciągnęły niebo po sam horyzont, tylko czasem jak na złość uchylając rąbka gwiazd, by drażnić wędrowców zmuszonych orientować się w położeniu. Ciemność powinna być sprzymierzeńcem. Można było do niej przywyknąć i zacząć rozpoznawać kształty. Te wydawały się dziwaczne, choć w świetle dnia nie byłyby niczym niezwykłym, tylko lasami, wzgórzami, ciemniejszymi liniami wąwozów.

Bez względu na to, jak długo trwało szkolenie, ludzki umysł, pracujący teraz na zwiększonych obrotach, skupiony i wyczulony, doszukiwał się pułapek. Jakby ktoś szeptał w ludzką jaźń, że wszystko, co widać jest niebezpieczne. Ze ściany mrocznego lasu patrzą inne oczy, a w lichych wczesną wiosną trawach czai się ktoś gotów skoczyć ci do gardła.

Trzeba było umieć zapanować nad lękiem. Skupić się. Iść dalej i pamiętać, co należało zrobić. O tym drugim nie zapominał, choć cel wydawał się teraz jeszcze bardziej odległy. To pierwsze wydawało się niemożliwe.

– No i jak, do cholery, panie Li? – wyszeptał przez zęby młody ubrudzony mężczyzna z welnianą czapką na głowie, jakby przekonany, że w błotnistym rowie pod nocnym niebem ktoś go może podsłuchać. Młodszy o dwa lata facet dyszał, pełzając po ziemi. Na jego poczerwionej twarzy odcinały się szpary skośnych oczu.

– Wleką się, sir – odpowiedział nienaganną angielszczyzną. Przeciągnął, akcentując grzecznościowy zwrot, jakim zwracało się do oficera. Byli dawno po imieniu, ale nerwy i strach udzieliły się też panu Li.

Właściwie nazywał się inaczej – George Choa. Był rodowitym Amerykaninem w pierwszym pokoleniu. Pozostała dwójka też nosiła pseudonimy nadane przez „duże nosy”, choć ich pochodzenie było zgoła odmienne. Byli Chińczykami z Tajwanu, małego wyspiarskiego państewka, które opierało się czerwonym Chinom. Byli ochotnikami, ale ich zapal – który zresztą podczas szkoleń zaczął przygasać – dziś został dodatkowo nadwątlony przez zwykłego pecha. Biały usłyszał sapanie i ciche szepty nieco dalej w rowie, który prowadził do lasu.

– Ku-Ni ma skręconą kostkę – zaczął przedstawiać sytuację pan Li. Usiadł na jakiejś bryle błota, podsunął welniane nakrycie głowy i otarł czoło. Biały niewiele widział, ale z mowy ciała wyczytał, że pan Li nie jest zbyt optymistycznie nastawiony.

– Przepraszam... – Ku-Ni, niski, ale silny chłop, dotarł wreszcie i ostrożnie położył plecakową radio-stację. – To musiało być przy skoku. Adrenalina, nie czułem nic i dopiero potem...

– W porządku – przerwał biały. – I tak wytrzymałeś z osiem mil. – Miało to zabrzmieć jak szczerza pochwała, ale wyszło nienaturalnie. Milczeli więc dłuższą chwilę.

– Odpoczniemy chwilę, ale...

– Dam radę! – Ku-Ni przerwał szefowi. Mówił z przejściem i zapalem, ale biały coś podejrzewał. Nie był nowicjuszem, widział niejedno. Nie opowiadał swoim podwładnym o tych doświadczeniach, przez to może nie traktowali go zbyt poważnie. Chińska niechęć do „dużych nosów” nie dawała się wypłenić. Może tylko pan Li nabył zachodniej oglądy i okazywał szacunek oficerowi. Biały mocniej zacisnął dłoń na karabinku M2.

– Skoro tak... – Przygryzł wargę, oceniając w myślach szansę na powodzenie. – A ty, Fang? – Wysunął głowę w stronę najcichszego i najmłodszego członka grupy. Fang był bystry, uważny. Miał żylaste mięśnie i duże (jak na Azjatę) oczy. Lubił patrzeć, ale nie rozmawiać. Podobno powodem tego był jakiś uraz z czasów japońskiej okupacji czy też wojny.

– Poradzimy sobie, szefie – odparł wesoło, i biały wyobraził sobie, jak Chińczyk robi minę twardego działa. – Będziemy nieśli pudło na zmianę. – Stuknął łufą w radiostację. – Noc ciemna i długa... Uda się dotrzeć na miejsce. – Wydawał się najspokojniejszy ze wszystkich.

To opanowanie udzieliło się dowódcy. Westchnął. Wiatr zaszumiał na łące i pomknął dalej w las, kłysząc wierzchołkami drzew.

– Dobra, trzeba by się zorientować w sytuacji. – Biały sięgnął pod złożoną plachtę peleryny przeciwdeszczowej. Z niewielkiego plecaka wyciągnął latarkę i zafoliowaną mapę. Z poncza zrobił okrycie i zaczął studiować swoje plany, kiedy reszta czekała cierpliwie.

– I jak? – Pan Li zapytał pierwszy, kiedy szef wychylił głowę.

– Wygląda, że tak bardzo nie poblądziliśmy. Tam, przy szosie – biały wskazał palcem za siebie, gdzie co rusz pod chwilowo bezchmurnym niebem pojawiała się odległa góra – jest wieś, nawet spora. Obejdziemy ją i wespniemy się na tę cholerną skałę. Fang, masz rację. – Uśmiechnął się, poddając naglemu przyplwowi wiary w możliwości grupy. – Koniec lenistwa, panowie. Trzeba wygrać tę wojnę – zakończył niepasującym do sytuacji patetycznym sloganem.

– Panie Li... – Skinął na zastępcę, dając znak, że Chińczyk ma iść na szpic. – Rowem, a potem do następnego lasu – określił kierunek. Li tylko kiwnął i przytulając do siebie pistolet maszynowy M3, zwany Grease gun, ruszył po błocie z oczami wpatrzonymi w mrok.

Fang zarzucił radio i torbę z baterią na plecy, sapiąc ciężko. Obiecał pomóc, więc demonstrował przed białym swoje zaangażowanie. Przeszli tak kolejną milę, wsłuchując się w szum wiatru i rzadkie odgłosy dzikiej zwierzyny harczącej nocą. Rów był głęboki, sięgał do piersi, więc kiedy szli schyleni, mieli pewność, że są niewidoczni. Byli cisi, uważni i sprawni jak na zespół prowadzący kontuzjowanego. Tygodnie szkoleń weszły im w krew. Stali się stworzeniami nocnymi, wierząc, że złazi się z mrokiem i nie da się ich wykryć.

Okolice wydawała się zupełnie pusta. Biały w krótkiej chwili dekoncentracji uznał, że bombardowania zaplecza przynoszą druzgocące efekty. Nigdzie na horyzoncie nie było widać nawet pojedynczego światełka. Mogło to świadczyć o zniszczeniach, choć tu, na głębokiej prowincji, trudno było znaleźć wartościowe cele dla samolotów. „Zaciemnienie... – pomyślał. – Naprawdę solidne zaciemnienie”. Pokręcił głową z niejakim podziwem dla miejscowych. Rów dochodził do szosy, a właściwie błotnistej, choć ciągle przejezdnej drogi. Potem było znów rozmołke pole, pocięte rowami nawadniającymi. Li wyszedł wolno na niewielkie podwyższenie terenu i w wycuczym odruchu przywarł do kępy suchych traw. Chińczyk nasłuchiwał, ale nie słyszał zagrożenia. Tylko wiatr chyba przybierał na sile. Li, jak miał w zwyczaju, strzyknął ustami, by dać sygnał reszcie. Trójka, asekurując kulejącego Ku-Ni, przeskoczyła drogę i wpełzła do kolejnego rowu. Tu było więcej wody. Błotnista maź sięgała do kostek. Nieprzyjemnie było maszerować i skradać się kilometrami w przemoczonych butach. Mundur i oporządzenie nasiąkały wodą, odzież przyklejała się do ciała, a sprzęt stawał się coraz cięższy, co dodatkowo męczyło. Biały nie narzekał, więc i oni milczeli. Wiedzieli, na co się piszą. Na niewygodę i na ryzyko. Szli więc przed siebie, wypatrując kolejnych kryjówek. Poletko przechodziło w niski, młody las. Biały dał znak, by przystanęli. Znów stał się niespokojny. Przecież ten kraj miał być jednym wielkim garnizonem, a tymczasem było cicho i spokojnie. Podejrzanie cicho. Nie wiadomo który raz tej nocy mieli ponure przeczucie, że wchodzi w pułapkę. Biały zaczął myśleć o tym jeszcze w bazie, kiedy lądowali się do samolotu. Potem wróciły wspomnienia sprzed prawie dziewięciu lat. „Duży nos” stanął, wyprostował się i rozejrzał. Odganiał natrętnie strachy, ale wreszcie zrozumiał, że każdy z zagajników może być zamaskowaną bazą, strzeżoną dzień i noc. Zwłaszcza nocą.

– Nie idziemy do lasu – oznajmił, kucając.

– Jak to? – Pan Li nie zrozumiał.

– Pójdziemy polami. W lesie może być wojsko. Skąd to zaciemnienie? Stąd, że w pobliżu jest coś ważnego.

Trzej Chińczycy byli wyraźnie skonfundowani z powodu nagłego upadku morale dowódcy. Poparł go jednak pan Li.

– Ma to sens. Tyle że będzie trzeba uważać jeszcze bardziej. – Zerknął na pole, a potem na Ku-Ni. – Dasz radę?

– Dam – zapewnił młody.

– No to w porządku.

Biały zarzucił karabinek na plecy, złapał kępę traw na brzegu rowu i podciągnął się. Słuchał, czy w pobliżu nikogo nie ma. Już chciał rozkazać, by reszta ruszyła, kiedy w ciemnej plamie wioski pojawił się pomarańczowy ognik. Oficer zamarł, nie wydając z siebie słowa. Do jaśniejącego punktu w dali dołączyły kolejne. Wiatr przyniósł dźwięk odległych szmerów. Światła jakby przygasły, zrobiły się bledsze. Biały zgarbił się i cofnął do rowu. Chciał coś powiedzieć, ale usłyszał szcęk metalu. Instykt połączony ze szkoleniem i doświadczeniem pomógł rozpoznać ten hałas. Odruchowo podniósł broń. Pan Li był szybszy i uważniejszy. Chińczyk z wrzaskiem zamachnął się stalową korbą i zasłonił oficerowi cel. Ku-Ni odskoczył gwałtownie, krzyknął, ale nie opuścił pistoletu. Strzelili. Ten pojedynczy huk amerykańskiej czterdziestki piątki zabrzmiał w ciszy mrocznej nocy jak armatnia salwa. Pan Li parł jak szarżujący byk. Podbił broń tamtego i powtórzył cios. Ku-Ni upuścił pistolet. Pan Li wierzył, że wytrąci przeciwnikowi broń, zanim ta wystrzeli. Było jednak za późno. Ugodził młodszego w okolice gardła, zanim chłopak spróbował odbić cios. Padł na ziemię. Fang krzyknął coś po chińsku i zaczął wspinać się na ścianę rowu. Biały, depcząc leżącego zdrajcę, złapał panikującego podwładnego za nogi i pociągnął w dół. Zaraz też zakrył mu usta dłonią.

Od wsi i od lasu narastał szum, a może, gdyby wierzyć rozszalalej wyobraźni, dochodziły nawet głosy ludzi. Biały sięgnął po nóż. Czarnego ostrza prawie nie było widać. Dzierzył broń przez długie sekundy, jakby chciał bez słowa pokazać panu Li, co trzeba robić i że on potrafi posłużyć się tą zabawką. Kiedyś już był zmuszony walczyć nożem. Teraz ostrze dodawało odwagi Chińczykowi, który – jak się wydawało – był wierny dowódcy. Przynajmniej w to chciał wierzyć biały. Pan Li kiwnął głową i obrócił się do wierzgającego w błocie i duszonego kolanem zdrajcy. Uderzył Ku-Ni pięścią w twarz żeby przestał się szamotać. Sam wyciągnął nóż i zaczął zadawać ciosy. Biały nie zwracał na to uwagi, miał swoje zadanie. Poszło gładko. Fang był silny, ale jednak drobny. Po ciosie pod żebra i sztychu w tchawicę znieruchomiał. Nie mogli pozwolić sobie na pozostawienie zdrajców żywych, bo ci wiedzieli za dużo. Fang osunął się bezwładnie w błoto, charcząc cicho. Zaraz ucichł, padając obok kolegi. Pan Li z niejaką wprawą i złością otarł klingę o rękaw. Splunął pod nogi. Wydawało się, że jego oczy błyszczą jak dwa najjaśniejsze punkty w pobliżu. Patrzył na szefa i czekał na kolejne rozkazy. Biały nie musiał nic mówić. Nie było też czasu na wzajemne zapewnienia.

Od wsi dochodziły coraz głośniejsze dźwięki. Ktoś się zbliżał. Wojskowy patrol czy tylko mieszkańcy wyczuleni na obcych? Pozostała przy życiu dwójka wołała tego nie sprawdzać.

Biały sięgnął po radiostację. Był wyższy, silniejszy, więc chciał wziąć ten ciężar na siebie. Może jako zadośćuczynienie za wsparcie pana Li. Stalowy klocek ważył sporo. Jeszcze przeszło przez myśl oficera, że Ku-Ni udawał od początku, od chwili lądowania. Ta jego kontuzja, opóźnianie wszystkiego. Miałby odpowiednio dużo czasu, by zawiadomić tamtych i wprowadzić grupę w zasadzkę. Spiął szelki bagażu i podsunął go wyżej. Przycisnął broń do boku, pochylił się. Żeby wszystko sobie poukładać, musiał najpierw wyjść z tego cało. Pan Li znów szedł na szpicy, niktąc prawie zupełnie w mroku. Biały ruszył jego śladem. Żwawo, ale tak cicho, jak potrafił. Słyszał tamtych. Trzeba było uciec i przemyśleć, co dalej. Na ciałach dwóch zdrajców nawet nie spojrział.

ROZDZIAŁ 1

Rok później. Luty 1953

Zimowy przedświt nocy był ponury. Zasłonięte chmurami niebo nie chciało jaśnieć, jak gdyby kolejny dzień miał nie wstać. Do tego znów lekko sypało śniegiem. W szarości kończącej się nocy nawet brudne, podniszczone rzędy domów wydawały się piękniejsze w białej szacie. Tej dzielnicy na przedmieściach Monachium wojna nie dotknęła bardzo dotkliwie. Kwartaly willi i secesyjnych kamienic stały jak kiedyś, jak za kaisera i führera. Niszczyl je za to czas, brak materiałów na remont i nieregularne ogrzewanie. Stawały się ponure, szare. Teraz, tuż przed świtem, za woalką leniwie padających płatków śniegu cała ulica wydawała się opuszczona. Nikt nie odśnieżał pustych chodników. Domy spały z czarnymi otworami okien. W końcu uliczki parkowała ciężarówka. Mimo kilku lat, jakie minęły od końca wojny, taki wóz był ciągle czymś niezwykłym. Zwłaszcza tutaj, z dala od centrum albo dzielnic bardziej przemysłowych, gdzie auta ciężarowe były bardziej przydatne. W zaułku stały jeszcze tylko dwa samochody. Stare, garbate limuzyny, przykryte czapami śniegu i nieużywane chyba od bardzo dawna. Ciężarowy opel dopiero pokrywał się białym puchem. Ciemna bryła pojazdu złała się z cieniem kamienicy o popękanej elewacji. Kierowca wiedział, jakie wybrać miejsce, by nie zwracać uwagi. Wiedział też dobrze, że nie spotka wielu ludzi. Zimową nocą po ulicy bez sprawnych latarni nie było roztropnie spacerować.

Kierowca ciężarówki nie potrafił jednak umknąć przed zimnem. Był szczupłym, nawet bardzo szczupłym, młodym mężczyzną o wątlej szyi i pociągłej twarzy z orlim nosem. W czasie wojny i powojennego niedostatku odczuwał chłód jakby bardziej. Siedział w wełnianym płaszczu z postawionym kołnierzem, opatulili się szalem i co rusz pocierał dłonie w grubych, podbitych futrem rękawicach. Nie włączał motoru. Dudnienie zużytego silnika przykułoby uwagę dbających o swoje bezpieczeństwo mieszkańców. Może nawet ktoś doniósłby na policję, a lokalny komisariat musiałby wydelegować jakiś patrol. Szofer bardzo tego nie chciał. Czekał więc, marznąc potulnie. Było już po piątej trzydzieści, nadszedł znak, który wieścił koniec męki w wychłodzonej blaszanej puszcze. W bocznym lusterku mignęło daleko światelko latarki. Szoferowi wydało się najpierw, że ma przywidzenia i z niewyspania widzi coś, czego nie ma. Ale sygnał powtórzył się. Jak zawsze dla pewności kilka razy. Kierowcy od razu jakby zrobiło się cieplej. Musnął nogą starter w podłodze i gapił się w lusterko, czując, jak bicie serca przyspiesza. Na białej drodze pojawił się osobowy samochód. Jechał wolno i nieco nierówno. Mężczyź nie w ciężarówce wydawało się, że oczekiwanie trwa całe wieki. Nigdy nie przywykł do tych krótkich w sumie, ale najbardziej emocjonujących momentów.

Osobowy wóz niemal zrównał się z oplem. Noga kierowcy wduśła starter. To był najniebezpieczniejszy punkt planu. Schłodzony już silnik zmalretowanego auta zaskoczył dopiero za trzecim razem. Kierowca włączył ssanie i pod maską zabulgotało metalicznie w silniku. Chłopak spojrzął znad kołnierza na mijający go samochód. Kierujący nim nie zwrócił uwagi na hałas tuż obok. Nie zwolnił ani nie przyspieszył. Jechał do domu. Chłopak wrzucił bieg i skręcił koła. Jeszcze musiał poczekać. Osobowy wóz zaparkował krzywo, najjeżdżając na krawężnik. Silnik zgasł. Drzwi się otworzyły, a z wnętrza wysiadł człowiek średniego wzrostu. Miał niedbale narzucony płaszcz. Szalik mógł w każdej chwili zsunąć się na ziemię, a kapelusz leżał nierówno na głowie. Facet chwiał się. Zatrzasnął wóz i starał się trafić kluczykiem do zamka, było to jednak zadanie ponad jego możliwości. Był zupełnie pijany, co uspokajało szofera ciężarówki. Tamten nie dostrzegłby nawet światła reflektora.

Chłopak uznał, że nadszedł właściwy moment. Dodał gazu i rozpędził wóz. Kierowca przezornie pochylił się za kółkiem. Jego cel nie wydawał się zdolny do obrony, ale pewne zachowania wchodziły

w krew. Skręcił ku celowi. Pijany dopiero w tym momencie się obrócił. Wreszcie zrozumiał, co się dzieje. Chciał odskoczyć, ale poślizgnął się na lodzie. Szofer ciężarowego samochodu dostał prezent od losu. Uderzył w pijaka, a ten zniknął gdzieś pod kołami. Szofer przyhamował dopiero kilka metrów dalej. Ciężarówka zatańczyła na śliskiej nawierzchni. Kierowca zerknął w lusterko i zobaczył bryłę na ziemi. Wrzucił wsteczny i wycofał pośpiesznie. Auto podskoczyło, kiedy ponownie przejechało po ciele. Opel znów stanął, a kierowca oddychał głęboko i patrzył na człowieka na ulicy.

Z ciemności wyłonił się trzeci osobnik. Podbiegł do ciała. Zaczął je przeszukiwać, macać po kieszeniach, a szofer czekał cierpliwie. Był pewien, że jeszcze nie przykuli uwagi mieszkańców. Nawet jeżeli, to było tak ciemno, że nikt nie dostrzegłby żadnych szczegółów. Poza tym nawet tu ludzie bali się mieszać do podejrzanych spraw. Udawali, że nic nie wiedzą, nie słyszą i nie widzą, tak jak udawali, że przeszłość ich nie dotyczy. Ten przy ciele podniósł głowę, a potem ruszył do wozu. Władował się do szoferki. Nim zatrzasnął drzwi, opel ruszył. Przejechał po ciele po raz trzeci. Ten akt sprawił satysfakcję kierowcy, który ostatni raz rzucił okiem w lusterko.

– Dzięki, Krzychu. Poszło klawo – mruknął szofer i uśmiechnął się. Zaciskał palce na kierownicy tak, że aż trzeszczała skóra rękawiczek.

– Gówno! – odparł jego kumpel, prawie nie otwierając ust. Szarpnęło wozem, kiedy szofer ściał zakręt. – Zwolnij, do psiej nędzy! – Krzysztof miał powód, by dać upust złości, którą winien czuć do siebie. – Jedziesz jak wariat. Uwagę zwracasz.

– Nie pękaj. Kto nas w tej zadymce będzie ścigał? – Kierowca nie lubił, jak go pouczano. – Ale co się stało?

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko terkot silnika i szum wiatru niosącego płatki śniegu na pustej ulicy.

– To nie ten – cicho powiedział Krzysztof. – Nie ten! – dodał głośniejszym głosem, waląc dłonią w drzwi. Mimo mroku widać było, jak jego okrągła twarz zmienia się i ciemnieje od napływającej w gniewie krwi.

– Jak to? – Szofer rozdziawił usta i opadł na oparcie. – Zabilem...

– Nie bój się. Nie ubieś niewiniątka. – Krzysztof starał się pocieszyć ich obu. – Właściwie to ja go skończyłem. – Podniósł mokry dokument i portfel nieboszczyka. Zapalił zapalną. – Regner... Tak się teraz nazywa ten skurwysyn. To znaczy nazywał. – Potrząsnął dowodem, legitymacją czy czymkolwiek był brudny papier ze zdjęciem. Kierowca wziął go w dłoń, wpatrzony w fotografię, ale szybko odrzucił jakby z obrzydzeniem.

– Kurwa, a ja się tak starałem! – Zaczął gorączkowo macać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Znalazł w wewnętrznej pomiętą paczkę amerykańskich cameli. Krzysztof momentalnie zapalił jeszcze jedną zapalną. Sam sięgnął po papierosa i znów zamilkli, zbierając myśli w tytoniowym obłoku.

– Diabli by to wzięli!

– Bez sensu... – Kierowca myślał podobnie. Chciał usłyszeć jakieś rozsądne wyjaśnienie. – Ale jak do cholery?

– Nie wiem... – Krzychu wzruszył ramionami. – Wszystko było jak trzeba. Jak sprawdziliśmy. Jak rozpoznaliśmy. Czas, knajpa, samochód. Pora. Facet nawalił się, wsiadł do wozu i ruszył. „Hrabia” dzwonił i był pewien. Sam widziałeś. – Proszę patrzył na kierowcę i rozsiewał popiół z papierosa. – Sprawdzone. Sam myślałem, że to ten gnój.

Sami milczał, gryząc wargę i gapiąc się gdzieś w zakamarki wyobraźni przymkniętymi oczyma.

– W porządku – odparł uspokajająco. – Może „Hrabia” spierdolił? – Do głowy przychodziło najprostsze wyjaśnienie. Wrzucił bieg, ale nie ruszył od razu.

– Ale on nie dzieciak. Swoje potrafi. Rozumiesz? Pan „profeska”. – Krzysztof wciąż szukał przyczyn porażki. Nie chodziło o to, że wziął udział w zabójstwie człowieka, na którego jeszcze nie było wyroku. Gniotła go świadomość, że dał ciała. Cholera, może rzeczywiście za pewnie się już poczuł i dopadła go rutyna. Rutyna, przekłety wróg każdego fachu, nie mówiąc już o ich profesji.

– Nie... – mruknął. Zaczął się gwałtownie rozglądać, przekonany chyba, że martwe, ciemne oczodoły zrujnowanych domów widzą go i śledzą. Patrzył w lusterko, pewien, że zaraz pojawi się w nim pogoń.

– Jeżeli nie my, to kto nas tak wystawił? No kto? – zapytał Sami. Strach skręcał mu trzewia.

– Nie wiem, po prostu nie wiem albo i nie chcę wiedzieć.

– Nie chcesz wiedzieć. Dobrze sobie. To wszystko jest do dupy, Krzychu! Mówiłem ci: trzeba się zmywać, zanim przyjdzie coś takiego. Teraz już, kurwa, za późno. Następnym razem to możemy być my...

– Ty znowu o tym.

– Tak, znowu. I miałem rację. Żebyś wiedział... Żebyście wszyscy wiedzieli. Trzeba się schować.

– Zwiąć, to chcesz powiedzieć? – zapytał ze smutkiem Krzysztof.

– Tak. Trzeba wyjechać. Ja chcę wyjechać. – Szofer wjechał w zaułek i patrzył w żółty odbłask reflektorów na ścianie. To wyznanie wiele go kosztowało. Pozornie przywykł do brudnej roboty, ale w głębi duszy wciąż się bał.

– To spadaj. Przyczaj się – odparł pasażer, jak gdyby nic się nie stało. – Jutro się widzimy. Będziemy myśleć.

Ścisnęli sobie dłonie, a Krzysztof wyskoczył na chłód poranka. Nasunął czapkę głębiej na czoło i bez słowa ruszył w miasto. Sami upewnił się, że nie ma nic za autem. Nikt go nie śledzi. Wyjechał na drogę i pomknął w swoją stronę, ciągle ostrożny.

* * *

Pociąg wtaczał się na dworzec, buchając spowijającą widok parą. Im bliżej był centrum miasta, tym obrazy wydawały się ciekawsze. Przykuwały uwagę mocą historycznego, a dokładniej politycznego, znaczenia. Widać tu było sporo różnic w porównaniu z Frankfurtem czy Kolonią. Ruin było mniej, a właściwie odbudowywano je szybciej. Centrum wypełniały rusztowania wokół odnawianych budynków i zupełnie nowych konstrukcji: nowoczesnych w formie i burzących estetykę wiekowego miasta. Już z wysokości nasypu kolejowego stacji Bahnhof Zoo w szarej aurze zimowego dnia widać było duży ruch.auta i ludzie jak mrówki pędzący pieszo w każdym możliwym kierunku. Sporo było reklam, w tym nowoczesnych neonów. Centra miast (a szczególnie linie kolejowe) przyciągały życie. Tętniły nim i wydawały się radośniejsze. Inaczej niż na obrzeżach, w bardziej zielonych, mniej zniszczonych dzielnicach. Tam wyczuwało się jakieś napięcie, być może przez bliskość granicy. Okupacja się nie kończyła. Teraz tylko stała się też obroną przed państwem, które okalało to dziwne miasto.

Oglądający to wszystko dwudziestoosmiolatek był szczupły, ale postawny. Miał ciemne, zaczesane w pojedynczą falę włosy, dużą głowę osadzoną na szerokiej szyi i proporcjonalną, lecz pospolitą twarz. Zmężniał ostatnimi laty i spostrzegł, że im bliżej był trzydziestki, tym bardziej podobał się kobietom, zarówno młodszym, jak i starszym. To ułatwiało wiele spraw. Za zabawne uważał to, że sporo z poznawanych niewiast mylnie oceniało jego wiek. Mężczyzna wyglądał na starszego. Oszukiwał metrykę o dobre dziesięć lat. To też był jego atut. Im bliżej był dworca, tym bardziej fascynacja przybysza mieszała się z narastającym strachem. Pamiętał granicę, a szczególnie kontrolę. Funkcjonariusze byli wredni, dokładni i niesympatyczni.

Pociąg gwizdnął, wtaczając się w ciągle pokierszowaną i dziurawą halę dworcową. Ludzie w przdzie zaczęli wstawać, ściągać swoje bagaże. Wszystko w hałasie rozmów i pożegnań. Nie czuli nic przyjemnego w tym miejscu. Starsi, młodszy. Kobiety i mężczyźni. Przyjechali handlować albo wspomóc rodziny, które tu zostały. Z dziesiątek rozmów wynikało, że miasto nie było już odcięte, ale nie było też swobodnego przepływu towarów, który pozwoliłby na życie na takim poziomie jak za granicą na Łabie.

– Koniec podróży... – Siedzący naprzeciwko, dobiegający czterdziestu pięciu lat ciemny blondyn w szarej tweedowej marynarce składał nieśpiesznie gazetę. Popatrzył w okno bez wielkiego entuzjazmu i chwilę siedział w bezruchu. Koścista twarz, zakola i włosy zaczesane w tył w połączeniu z ubiorem sprawiały, że wyglądał jak biedny belfer lub urzędnik niskiej rangi. Był teraz Wolfgangiem Vogtem

i bardzo polubił swoją rolę. Wcielił się w postać wprost idealnie. Był tylko nieco przemęczony za sprawą pracy, częstych podróży i stałego napięcia. Siedzący przed nim młodszy kolega był na tyle inteligentny, by wiedzieć, że niebawem i on osiągnie taki stan.

Vogt ocknął się, kiedy wagonem szarpnęło przy zatrzymaniu. Wstał i zaczął się ubierać, ukradkiem spoglądając na peron, na grupki podróżnych i pracowników dworca. Obaj mężczyźni przeszli z tłumem przybyszów na zewnątrz. Poprawili szaliki i naciągnęli głębiej kapelusze, izolując się od chłodu. Młodszego ciekawiło wszystko. Był w tym mieście tylko raz, prawie sześć lat wcześniej. Przyjechał nocą, potem, gdy czekał na dalszy etap podróży, był trzymany w zamknięciu. Panowie wyszli z dworca. Ludzie rozeszli się, jedni szukali transportu, inni pieszo ruszyli w dalszą drogę. Nad okolicą górowała zniszczona wieża kościoła pamięci cesarza Wilhelma, obtłuczony przez bomby ogrzynek nieomal po środku Breitscheidplatz. Przybysz wiedział, gdzie się znajduje i jak poruszać się po mieście. Przynajmniej po centrum. Wolfgang pociągnął go za łokieć w bok od głównego wejścia. Szli na postój autobusów i przeróżnych taksówek parkujących na nierównym placu otoczonym ruinami. Przewodnik podszedł do piętrowego żółtego parkazu i kupił dwa bilety u konduktora. Piętrus ruszył i spokojnie sunął główną ulicą Kurfürstendamm, zwaną Ku'damm.

Surrealistyczny krajobraz ciągnął się po horyzont. Zrujnowane domy graniczyły z odbudowanymi albo postawionymi od nowa, wyglądającymi całkiem nowocześnie. Reklam i szyldów było prawie tyle, co w Stanach Zjednoczonych. Śnieg na chodnikach był sumiennie odgarnięty, nie było też przyzmu gruzu. Po chodnikach kręciło się dużo ludzi. Głównie nie najbogatszych, odzianych w szare i nieswieże rzeczy. Mijali podświetlone gabloty ustawione na trotuarze, pełniące rolę reklam domów towarowych czy innych biznesów. Gdzieniedzie przechadzali się policjanci w tych zabawnych, wysokich niemieckich kaskach. Patroli brytyjskiej żandarmerii zaś było niewiele. Młody przybysz dostrzegł tylko dwa dżipy. Nawet się zdziwił, wszak był w brytyjskiej strefie. Autobus zatrzymał się kilka razy. Na czwartym przystanku Wolfgang szturchnął kolegę.

– Wsiadamy! – Wstał prędko. Młody taszcząc walizę, popędził z nim, wiedząc, że wóz zaraz ruszy. Taką metodą wsiadania gubiło się ogony. Spomiędzy chmur zaczęło wychodzić słońce. W jego promieniach okolica nieco zyskiwała, ale i tak nie było to wesołe miejsce, w którym chciałoby się mieszkać i pracować. A już na pewno nikt nie paliłby się do jego obrony. Młody pogubił się, podziwiając krajobraz, i nie bardzo teraz wiedział, gdzie są. Polegał na przewodniku, który wprowadzał go w ulice bardziej ponure i zniszczone niż te, które widzieli w centrum. Tu też krążyli ludzie zamyśleni i strudzeni codziennością. Młody powinien odczuć ulgę, bo ucharakteryzował się wyśmienicie. Nie był jednak zadowolony. Nie dał się zwieść pozorom. Był praktykiem, ale zaaplikowano mu solidną podstawę teoretyczną. Już szósty rok był na froncie tej nowej pokrętej wojny, gdzie walczyło się za pomocą kłamstwa i podstępów. Może był to objaw zbyt wczesnej paranoi, ale wiedział, że ktoś zawsze patrzy. Nie pomylił się.

Wolfgang wszedł w ciałniejszą uliczkę między domami otoczonymi rusztowaniami. Stał tam samochód. Ciemne bmw 335, w nienajlepszej kondycji. Zza kierownicy, ciskając papierosem w rynsztok, wysiadł chudy gość w spłóviałym płaszczu i golfie. Otaksował wzrokiem dwóch przybyszów i szeroko się uśmiechnął. Przywitał się najpierw z Vogtem, ale zrobił to rutynowo. Widać znali się długo. Swoją uwagę skupił na młodszym.

– Herzlich willkommen in Berlin. Powitać, panie Richardzie Rotte. – Ścisnął rękę Richarda, a temu zdało się, że facet kpi z jego przybranego nazwiska.

– Miło mi. Coś nie tak z moją legendą?

– Nie, dłaczego... Charlie, jestem Schulz, a właściwie Kermit. – Udał, że lekko się skłania. – Dali ci nazwisko Rotte. Czerwony, tylko przez dwa t, a z nimi mamy walczyć. To zabawne, Charlie. Nie zwróciłem na to uwagi. Ufam ludziom, którzy przygotowują nam legalne życiorysy

Charlie odczuwał coraz większą niechęć do rozmówcy. Drażniła go ta udawana przebojowość, którą chyba chciał jednać sobie rekrutów. Czarować, grać lepszego niż inni.

– Schulz to nasz prawdziwy szwab – przerwał im Vogt (a właściwie Gene McIntosh), wyczuwając napięcie. – Robi za miejskiego głupka. To dobry facet. Fachowiec. Idealny gospodarz i przewodnik, panie Rotte. No a w ogóle... zimno tu! – Zatarł ręce, podnosząc głowę i rozglądając się przezornie po oknach. – Za długo stoimy. Pogadamy w drodze – dodał ciszej i otworzył bagażnik. Schulz zapakował walizy. Zaraz otworzył tylne drzwiczki i komicznym gestem zaprosił Charliego Zielinsky'ego vel Richarda do środka.

– Pokażemy koledze jego miasteczko? – Wolfgang włożył głowę do auta, patrząc na pozostałych dwóch. – Niech wie, gdzie trafił.

– Liczę na to – powiedział Charlie szczerze. Zdjął kapelusz i umościł się na kanapie auta. Vogt usiadł obok kierowcy. Silnik zaskoczył.

– Kilka podstawowych miejsc... – Schulz patrzył na odbicie nowego w lusterku. – Brama Brandenburska, park Tiergarten, brytyjskie, francuskie obiekty, no i oczywiście nasza dzielnica.

– Byle szybko – przerwał Wolfgang. Wjechali w szerszą aleję. – Z paliwem tu jednak ciągle ciężko. Nie wypalimy baku na jednego... nowicjusza. Bez urazy. – Odwrócił się z przeproszającym uśmiechem. Charlie kiwnął głową.

– Każdego tak witacie?

– Tylko tych, których trzeba ukryć. Takich jak nasz sympatyczny zespół.

Auto włączyło się do ruchu.

– Zobaczysz, jakie to dziwne miejsce. – Schulz mówił dalej z przekonaniem znawcy. – Duże i bardzo małe zarazem. Nie wolno nikomu ufać. – Zmienił pas i skręcił w obsadzoną młodymi drzewami uliczkę. Znowu zerkał w lusterko. – A najmniej sobie.

– Maminy jeszcze kogoś, kto chciałby się przywitać? – Charlie ostrożnie obrócił się za siebie, choć nie powinien tego robić. Wóz podskakiwał na bruku, ale za ich bmw nikt nie podążał.

– Samochodów jest sporo. Można się ukryć. – Szofer zwolnił, dojeżdżając do przecznicy w otoczeniu czynszowych kamienic pociętych kulami i pociskami. – Nasz przyjaciel jest dobry. Zna to miejsce. Może dopatrywał się starych znajomych. Tu nigdy nic nie wiadomo. Skręć już z łaski swojej – upomniał podwładnego, chyba sam zdenerwowany.

– Nasz samochód, właściwie też każdy inny, prędzej czy później zapamiętają i rozpoznają. Już zapewne o nim wiedzą. Ale robimy, co możemy. Podobnie jest z pracownikami. Chcemy przechrztyć czerwonych i chować was, jak najgłębiej się da. To znaczy tych „czystych”.

– Ile mam czasu? – Richard zwątpił w długą karierę w Berlinie.

– Nigdy nie wiadomo. – Wolfgang zaśmiał się. – Miesiąc, rok. Zależy od zadań. No i od twoich zdolności. Postaramy się poduczyć cię praktycznie. Frankfurt, Paryż dają świetne podstawy teoretyczne, ale tutaj wszystko płynie.

– Pantarhei – dodał filozoficznie Kermit.

– Dostaniesz kilka dni na aklimatyzację. Potem prostsze sprawy. Z tego podwórka i zza granicy – ciągnął McIntosh. – Po to tu cię przysłali. Niemcy wschodnie, ale przede wszystkim Wschód. – Wóz wjechał w bardziej zielone rejony miasta. Charlie przez chwilę czuł się zagubiony, ale prędko rozpoznał pomnik, starą pruską kolumnę zwycięstwa. Wiedział, że są gdzieś w Tiergarten i dokąd zmierzają. Sumiennie studiował topografię Berlina. Obydwu Berlinów.

– Wiem, że kiedyś tu byłeś – zagaił Kermit.

– Przejazdem. – Richard vel Charlie porzucił opryskliwy ton. Wiedział, że będzie musiał polegać na koleźce i reszcie. Musiał grać drużynowo. Kiedyś trafił tu na chwilę, zupełnie sam i wciąż o tym pamiętał. – Niewiele widziałem. Głównie lotnisko.

– Jasne, nie pytam i właściwie nie mogę. – Kermit się uśmiechnął. Charlie zakładał, że jego rozmówca wie niewiele.

– No to teraz patrz. – Kierowca wskazał przed siebie. Charlie pochylił się i wsunął głowę między siedzenia. Za szpalerami przereźdzonych drzew i opustoszałych trawiastych placów, na końcu pustej alei wznosił się symbol tego miasta. Symbol potęgi dawnych Prus, potem Niemiec, a następnie najważniejszego elementu podzielonego państwa i miasta.

– Brama Brandenburska? – Amerykanin rozpoznał. Była posiekana od odłamków, ale ciągle imponowała. Niczym starożytny ostaniec, który oparł się historii.

– Tak. – McIntosh uniósł kciuk. – Jak brama do cholernego piekła. Ciesz się, że oglądasz ją z tej strony. Choć niedługo będziesz ją oglądał i od frontu. Na razie tyle.

Kermit skręcił tuż obok betonowego placyku okraszonego monumentem z szarego kamienia, ze złotymi literami i statuą sowieckiego żołnierza na szczycie. W oczy kłuły czerwone gwiazdy namalowane na zajmujących cokoly sowieckich czołgach. Charlie zapatrzył się w te symbole, milcząc i wspominając. Za monumentem widać było smutną, wypaloną bryłę drugiego symbolu miasta. Spalony, nietknięty chyba od wojny Reichstag z wielką, osmoloną kratownicą kopuły.

– Tam są nasi wrogowie, panie Rotte – wyszeptał McIntosh w jakimś uniesieniu. – Są blisko. Nawet tu, po naszej stronie... – Ucichł, a reszta patrzyła na ruiny zabytków, póki nie skręcili, oddalając się od granicy stref.

Erika Herpf była ciemną blondynką. Tym kolorem kryła przedwcześnie siwiejące włosy. Skończyła trzydzieści pięć lat, ale wciąż wyglądała świetnie. Była wysoka. Starła się ubierać szykownie, ale bez sztuczności zdarzającej się kobietom z centrum. Erikę pozowała na silną, zaradną. Musiała taka być, skoro pokonała życiowe kłopoty, a teraz prowadziła swój własny interes w dzielnicy Wedding, we francuskiej strefie. Tam można było żyć względnie spokojnie. Herpf zatrzymała się przy witrynie swojej księgarni. Lubiła patrzeć na ułożone książki i przewodniki. Gospodarskim okiem wyszukiwała niedociągnięcia i cały czas myślała, co można by udoskonalić. Spojrzała też na swoje odbicie w szybie. Fryzura, opadające na ramiona włosy z lokami na końcach, i gustowny kapelusik wydawały się nienaganne. Podobnie jak makijaż na nieco podłużnej twarzy. Zmiotła dłonią wyimaginowany paproszek z ramienia i weszła do środka. Dzwonek nad drzwiami obwieścił, że szefowa zaczęła pracę.

– Dzień dobry wszystkim. – Posłała uśmiech dwóm mężczyznom zerkającym zza drzwi zaplecza.

– Dzień dobry! – Starszy, o wyglądzie emerytowanego profesora, z łysiną maskowaną zaczeską i okularami na perkatym nosie, podniósł filiżankę. – Kawy?

– Oczywiście, Johann. – Kobieta zaczęła zdejmować rękawiczki i rozpinać płaszcz. Jak zawsze, przy najmniejszej czynności przyglądała się otoczeniu. Ciasna przestrzeń zapełniona była regałami i stołami pełnymi woluminów: starych, dopuszczanych przez władze i aliantów książek oraz zupełnie nowych pozycji, które w dużej liczbie wydała Erika. W rogu stało biurko z kasą i lampką. Za regałami znajdowały się wąskie schody prowadzące do gabinetu Herpf oraz czegoś, co już mogła nazwać biurem podróży, jednym z pierwszych w Berlinie.

– Coś ciekawego? – zapytała Erika i przejechała palcem po półce w witrynie.

Młodszy z mężczyzn, brunet z ulizanymi włosami o ciemnych, grubych brwiach, wyszedł z zaplecza, niosąc filiżankę na spodku i korespondencję.

– Kilka zapytań ofertowych z Francji i telegram z... Monachium – dodał ciszej, patrząc szefowej w oczy.

– Ciekawe... – Erika sięgnęła najpierw po korespondencję. Uniosła brwi ponad dużymi, okrągłymi szafirowymi oczami. – Czytałeś? – Młody spojrzał ukradkiem za siebie. – Twój kolega chce na wycieczkę. Chyba się zdecydował. – Na ustach mężczyzny zakwitł uśmiech. Erika nie miała ochoty dociekać ani karcic współpracownika. Sama odczuła niejaką ulgę, ale i obawę przed nadchodzącą pracą.

– No to się zacznie. – Przesunęła oczami po tekście. – Zawsze pisał listy albo dzwonił...

– Albo przyjeżdżał – dodał młodszy. – Lub ty jeździłaś.
– Tak trzeba. Wiesz dobrze, Morris. Sam mi go wyszukałeś.
– Coś musiało go zmusić do takiego kroku. A telegram... – Morris podrapał się w głowę. Erika popatrzyła na książki, jakby widziała dalej niż ściany w budynku. – Czegoś się boi.
– Co tam szepczecie za moimi plecami, hę? – Starszy księgarz stanął w futrynie, siorbiąc kawę.
– Klient, Johann, klient się zdecydował – skłamała.
– O, to święto... – zakpił starszy pan i poprawił kamizelkę opinającą wystający brzuch. – Może to szaleństwo z wycieczkami wreszcie zacznie się kręcić. Książki z zagranicy, rozumiem. Pomysł świetny. Dużo wojska, urzędników. Kupią, żeby zabić nudę. Przewodniki: też wszystko jasne. Ale podróże... Ten klient – wskazał filiżanką – to nie Niemiec?
– Nie – potwierdziła Erika.
Johann zaniósł się śmiechem, odchylając teatralnie głowę.
– Za stary jestem, za wiele przeżyłem, by tego nie przewidzieć.
– Każdy tu dużo przeżył – zauważył cierpko Morris, zaciskając pięści. Nie lubił tych, jak je nazywał, starych popisów.
– Tak, tak... – Księgarz spowaźniał. – Nie chcę zaczynać dnia od kłótni, ale przypomnę, że ja przeżyłem dwie wojny, a ty, młodzieńcze, jedną.
– Do cholery, Johann!
– Starczy! – krzyknęła Erika. – Starczy, koguty. Każdy ma za sobą ciężkie doświadczenia i przy tym zostańmy. Trafiliśmy tu z różnych miejsc, ale czasy są nowe, więc... Proszę... – Zrobiła słodką minę.
– Chodzi mi o to, moje dziecko – przemówił tonem opiekuna Johann – że jeszcze długo nikt nie będzie chciał gościć Niemców. Nigdzie – dodał mocniej. To stwierdzenie sprawiało mu przykrość, ale i złościło go. – Mówiłem to nieraz. Na pewno w Europie. No chyba, że załatwisz rejsy do... Argentyny. Na starym kontynencie, może Hiszpania. – Znowu się roześmiał.
– Ależ zabawne... – Erika zdjęła płaszcz i przewiesiła przez ramię. – Małymi kroczkami, mój drogi. Są Niemcy, są Amerykanie, Polacy i... Żydzi – dodała spokojniej, ciekawa reakcji Johanna. Ten uspokoił się i zmieszał, nagle zaciekawiony czubkami swoich zużytych butów. – Każdy ma ochotę poznać coś innego. Wreszcie można. Za pewien czas będzie prawdziwy boom na wojaże. Ale dobrze... wystarczy przemów. Zaraz przyjdą klienci. Ja muszę zacząć szykować wycieczkę. – Zerknęła w druk telegramu. – Muszę mu odpisać – szepnęła, ruszając do schodów na piętro.

* * *

Cały kwartał (zapomniany przez ludzi i urzędników miejskich) czekał na remont. Ale wciąż pojawiały się inne potrzeby, także zła sława okolicy zniechęcała do konstruktywnego działania. Było to o tyle zastanawiające, że kamienice nie były zburzone. Doznały niewielkich uszczerbków, a niszczały głównie dzięki pogodzie i szabrownikom, którzy wynieśli i wyrwali stąd wszystko, co mogło się przydać gdzieś indziej.

Sami szedł ciemną ulicą z rękami w kieszeniach płaszcza. Nasunął głęboko czapkę, chroniąc twarz przed nocnym wiatrem. Głowę miał spuszczoną, patrzył pod nogi, uważając, by nie wdepnąć w coś w mroku, nie potknąć się o deskę albo cegłę. Słuchał dźwięków niesionych wiatrem. W porzuconych pustostanach wciąż można było zastać lokatorów. Ktoś krzyczał, pił albo i śpiewał. Okolica była jedną wielką meliną dla przeróżnych wyrzutków, dla których nie było miejsca na przepięknym starym mieście, wizytówce Monachium, tak mozolnie odbudowywanej. Sami też był banitą. Przynajmniej tak się czuł za każdym razem, kiedy pojawiał się w okolicy, by spotkać się z resztą ferajny. Skręcił za róg drewnianego parkanu i już na pamięć wynalazł poluzowaną deskę. Przeszedł na drugą stronę. Wszedł na podwórze i skierował się do drzwiczek w dole ściany. Zapukał w umówiony sposób. Z drugiej strony

szczęknęła zasuwa i belka, którą dodatkowo zabezpieczano wejście. Drzwi się rozwarły i wypuściły z wnętrza mocne światło.

– Cześć! – przywitał się facet ukryty za wierzejami. Sami wszedł do środka i osłonił oczy, odwykły od takiego blasku. Podał dłoń koleźce, niskiemu, silnemu facetowi o szerokiej twarzy, w wełnianej, wojskowej amerykańskiej czapce na głowie. Nazywał się Kazimierz, Kazik, a teraz wołali na niego z angielska Casimir, co bardzo mu się podobało. Poklepał Samiego po ramieniu i obydwaj podeszli do kotary z koca, za którą świeciło kilka naftowych lamp. Suterena odstraszała wyglądem i zapachem. Białe niegdyś ściany pokryte były łuszczącą się farbą i plamami z wilgoci. Okienko pod sufitem zakryto grubym pledem, który nie tylko chronił przed dekonspiracją, ale i powstrzymywał nieco chłód. W rogu stała zardzewiała, poczcziwa koza, której komin wychodził gdzieś dalej na podwórze, ale nie palono w niej zbyt intensywnie. Nie było takiej potrzeby. Obecność tylu ludzi na niewielkiej przestrzeni grzała pomieszczenie.

– No to jesteśmy wszyscy – obwieścił Kazik z ulgą. Minął kolegę i podsunął sobie stare krzesło. Wyprostował nogi. Pozostała trójka zajmowała przeróżne siedziska. Stół pośrodku pokoju zastawiony był konserwami, coca-cola, papierosami i słodyczami. Wszystko z amerykańskich kantyn.

– Bankiet jak ta lala... – Sami zdjął czapkę i przeczesał włosy. Poczul się nieswojo. Wychwycił dziwne spojrzenia kumpli. Dopiero po chwili dźwignęli się, by przywitać przyjaciela. Ale Samuela Puławskiego nie zwiody sztuczne uśmiechy i nerwowa uprzejmość. Za długo się znali, zbyt wiele przeszli.

– Nastroje do dupy, co? – zapytał Puławski i podciągnął obdrapany fotel w skórzanym obiciu. Ktoś musiał być pierwszy.

– Spóźniłeś się – odezwał się z rogu Bernard, zwany teraz „Hrabią” ze względu na nieco arystokratyczne nazwisko Nowolipczyński. Do rodowego miana dopasowywał zarówno wygląd, jak i maniery, nieco aktorskie i wyniosłe. Nosił apaszki lub lepsze szaliki. Starał się być ubrany przynajmniej schludnie, jeżeli nie było okazji przywdziać czegoś wykwintniejszego. A takich strojów posiadał mało. Był wysoki, szczupły, nieco przygarbiony. Jego twarz zwężała się ku dołowi, przechodząc w ostrą brodę. Nikt tego nie przyznał i nie powiedział wprost, ale to Bernard był tu szefem.

– Czyli co? Coś wam już nie pasuje? Spóźniłem się, więc nawalam, a może i donoszę?

– Spokojnie, stary... – Krzysiek uśmiechnął się i wskazał fotel chłopakowi. – Siadaj. Nikt cię nie oskarża.

– Ale gadaliście?

– I co z tego? – rzucił kolejny z ferajny, krzepki i żyłasty moczarsz, Michał Waniszuk, przezywany „Tallun” na cześć siłacza sprzed wojny, który robił karierę w USA i Europie. Michał, tak jak jego idol, wyginał pręty i nosił po dwa worki mąki naraz. – Nie wpadaj w paranoję. Jedna wpadka i myślisz, że zaczniemy się sobie rzucać do gardła. Jak już...

– Jak już, to wszyscy daliśmy dupy. A najbardziej rozpoznanie. – Samuel nadął się, patrząc na Nowolipczyńskiego. Pozostali też skierowali oczy na szefa, czekając na wyjaśnienia lub samokrytykę.

– To nie takie proste – burknął „Hrabia”. – Musimy zachować spokój. Wszystko było poprawnie. Tak jak zawsze.

– Zawsze... – Krzysztof wtrącił złośliwie.

– Rutyna? Rutyna nas zgubiła?

– Albo za dużo pewności siebie – dokończył Samuel. – Za dużo robiliśmy szumu i tamci się dowiedzieli. Podeszli nas i wystawili. Już wiedzą. Przesłali nam wiadomość.

– Bzdura! – „Hrabia” tupnął nogą. – I poslaliby na śmierć jednego ze swoich? – Złapał za oparcie fotela. – Bez sensu. Oni trzymają się razem. Poza tym nie mamy dowodów.

– Może tak, może nie. Ten skurwiel, którego załatwiłem, może im podpadł – ciągnął Samuel. – Poza tym zrobił wszystko jak nasz cel. Wystawili go nam, mówiąc, że jest bezpieczny.

– Właśnie! – Bernard wstał i zaczął przechadzać się nerwowo. Nosił szerokie spodnie, gruby pulower i chustę pod szyją, co naprawdę nadawało mu wygląd dziedzica kręcącego się po salonie w swojej posiadłości. – Gdyby robili zasadzkę, to by nas powstrzymali.

– A może nie wierzyli? – zapytał Casimir. – Samuel ma trochę racji. Zrobiło się o nas głośno. To znaczy o kimś, kto załatwia takie sprawy na mokro. Było cicho przez rok, ale potem zaczęliśmy. Niemcy okrzepli, mają już normalną, legalną władzę i psy gończe. Połowa z nich to pieprzone hitlersynty, więc ktoś się pokapował. Kto inny wyniuchał, że coś się święci, że ktoś wypytuje. Woleli sprawdzić.

– Jeżeli macie rację – Nowolipczyński zaczął pocierać skroń i zamknął oczy, zbierając myśli – to teraz dopiero się zacznie. – Znów spojrzła na kompanów. Ucichli wszyscy i każdy zastanawiał się, jak tu wykrzesać z siebie coś mądrego i pocieszającego zarazem.

– Trzeba zawiesić działalność. – „Hrabia” przełamał się pierwszy, choć nie było mu to w smak.

– Żartujesz! – Krzysztof zachwiał się w krześle. Wyprostował się i nerwowo zaczął szukać papierosów. – Jeszcze tyłu skurwieli łązi wolno.

– Nie bój się – wtrącił „Talun”. – Skurwieli nigdy nie zabraknie. Byli tamci, są nowi i tak bez końca. A na razie Berni ma rację. Skurwysynty. Nawet jeżeli nie wierzyli, to się przekonali, że ktoś ich filuje. Boleśnie się przekonali. Pewnie nie wiedzą, kto to. Amerykanie? Ichnią policję bym zostawił, za dużo kumpli. Sami wiecie, sporo materiału dostaliśmy od tych wszystkich, co nie mogli uwierzyć, że tego działo się tyle się tam płące. Bandziory myślą może, że to Żydzi? Kto wie, co tam w tym nowym Izraelu im do głowy przychodzi. No więc, uważają, że to rozróżba międzynarodowa i muszą się zastanowić, jak to ugryźć. Ale jak się dowiedzą, że to tylko takie cherlaki jak my, bez zaplecza i kasy...

– Może się nie dowiedzą i spietrają? – Kazik usiłował podtrzymać wolę walki. – Uciekną se do Argentyny.

– Już ty patrz, jak spierdalają przed tobą! – Samuel pokręcił głową. – Będą węszyć. Szukać. To nie ta liga, żeby ich kto po drugiej stronie oceanu witał sznapsem i kiełbasą. Dobrze im tu. Ich ziemia, ich znajomi i forsa, co im z wojny została. Za mali, żeby pryskać, ale na tyle wyrobieni, żeby tu rozporządzać i wydusić wrogów.

– Tak, Sami ma zupełną rację. – „Hrabia” patrzył mu w oczy, jakby chciał wyczytać coś więcej. – Trzeba zbastować. Przynajmniej na razie. A potem...

– Właśnie: co potem? – zapytał Krzysztof.

– Przystaniemy żyć przeszłością i trzeba się będzie urządzić. – „Talun” wypowiedział na głos to, czego oni nie śmieli.

Wybuchł gwar. Mówili, nie słuchając innych. Krzysztof nie chciał ciągnąć obecnej pracy, ale nie wierzył, że znajdzie inną. Casimir myślał podobnie. Michałowi Waniszukowi było wszystko jedno. Dawno zapomniał o swoich rodzinnych stronach, które wydawały się tak odległe i nierealne, że zamazywały się nawet we wspomnieniach. Tylko Samuel Puławski i „Hrabia” milczeli, patrząc po sobie, jakby mocowali się wzrokiem. Młodszy bał się, że został przejrany. Starszy zaś wystraszył się myśli i zamierzeń młodszego przyjaciela.

– Postanowione! Zamykamy temat do odwołania. – „Hrabia” zaklaskał i reszta umilkła jak na rozkaz.

– Skoro tak... – Sami wyprostował się. – Miło było, panowie.

Obskoczył szybko zebranych, podając dłoń, i uściskał mocno prawicę, tuląc chłopaków.

– No co ty? – „Hrabia” stanął w rozkroku, zaciskając kułaki. Nie pomylił się w swoich przewidywaniach. – Czekaleś na taki moment, co? – wysyczał przez zaciśnięte zęby. Reszta jeszcze nie pojęła i tylko gapiała się na Puławskiego. Samuel ostrożnie cofał się w stronę wyjścia. Reszta kolegów zaraz miała sobie uświadomić jego zdradę. Tak, według nich to była zdrada: decyzja, którą podjął, o której zdawkowo opowiadał temu czy innemu przy wódce, po pracy, po służbie w Kompaniach Wartowniczych.

– I tak nas już nic nie trzyma – wykrztusił Puławski. – Amerykanom będziemy za cieciów do końca życia? Trzeba coś zrobić! Zmienić coś. W świat iść...

– W świat?! – „Hrabia” poczerwieniał. – Który? Tam, gdzie chcesz leżeć, myślisz, że coś zmienisz? Zdużniałeś. Wszystkich nas pogrążysz! Tyle przeszliśmy...

– Właśnie... – Sami cofnął się jeszcze, widząc, że reszta zaczyna wolno się zbliżać. – Starczy już. Wojna za nami. Wszystkich skurwysynów nie wytłuczemy. Jak „Talun” mówił słusznie, nowi już wyrośli.

– To co? Przyłączysz się do nich? – Siłacz zasyczał i łupnął wściekle w stół, aż blat jęknął.

– Ja... nie! – Samuel rozglądał się prędko po ludziach i ciasnym pokoju. Szukał sposobu, by wyrwać się z potrzasku. Uskoczył w tył, do drzwi. Złapał za pustą skrzynkę pod ścianą i rzucił, celując mniej więcej w lampy na stole. Reszta krzyknęła, kiedy na chwilę zrobiło się ciemno, a potem błysnął płomień z rozlanej nafty. Zrobiło się gorąco i duszno. Samuel wypadł na podwórko. Ogarnęło go zimne powietrze. Łatwiej było oddychać. Zerwał się więc biegiem, zostawiając za sobą wściekłych kompanów.

Wymknął się przez bramę na ulicę, potem chciał biec ku centrum, gdzie ukrył wóz. Wzrok na tyle przywykł do ciemności, by mógł dostrzec, że w mroku ktoś czeka. Kilka długich lat doświadczenia w przeróżnych śmiertelnych podchodach wyszkoliło umysł w szybszym wykrywaniu niebezpieczeństw. Od parkanu obok ruiny oderwał się ciemniejszy kształt. Rósł prędko. Buty zastukały o bruk. Za chwilę objawił się kolejny nocny duch. Sami stanął. Chciał krzyknąć, ale wątpił, żeby ferajna przyszła mu z pomocą. Pochylił się, wyskoczył bykiem w zbliżającego się osobnika i ubodł w brzuch. Tamten był równy mu wzrostem, silniejszy, na pewno lepiej zbudowany. Zakręciło mu się w głowie, ale działał instynktownie. Nim tamten zdołał podnieść się z jezdni, dostał solidnego kopa w głowę. Stęknął cicho i opadł bez ruchu. Puławski przywarł do pobitego nieznanego i zaczął macać kieszenie jego jesionki. Drugi zbir był blisko. Unosił ramię uzbrojone w pałkę albo łom. Świsnął Samiemu nad głową, ale ten się uchylił. Puławski wyprowadził cios w podbrzusze i napastnik zawył, padając na kolana. Już nie interesował się Samuelem. Ból był nieznośny. Polak wstał sprawnie i tak jak go nauczono, uderzył w czaszkę pięścią.

– Sami, zaczekaj! – Zza pleców dobiegł krzyk któregoś z kumpli. Zaraz huknął strzał. Nie padł od strony przyjaciół. W gruzach krył się trzeci napastnik. Kolejny wystrzał błysnął na pomarańczowo. Facet był niedaleko. Kula świsnęła obok ucha Samuela i rykoszetem odbiła się od bruku.

Puławski nie nosił broni, przynajmniej nie „po godzinach”, kiedy udawał przykładnego obywatela. Przypadł do ziemi i wyczuł u nieprzytomnego twardy kształt. Wyszarpał go nie bez trudu i rozpoznał niemiecki pistolet P-38. Trzeci pocisk poszedł nad głowę. Chłopak przeturlał się w bok, a jego kompani, kryjąc się w zakamarkach nocy, zaczęli niezgrabną strzelaninę. Zaraz cała ulica dudniła echem wystrzałów. Samuel czołgał się kryty ogniem przyjaciół. Dowłócił się do nieczynnej latarni i oparł na łokciu wyciągnięte ramię, usiłując wymierzyć porządnie. Znów błysnęło gdzieś z przodu. Blask oświecił strzelca. Nim zgasł, Puławski wstrzymał oddech i pałnął, prawie na pamięć. Był pewien, że trafił. Podskoczył i pobiegł. Zwolnił dopiero przy wijącym się ciele.

– Gute nacht, Schatzi!² – wysapał i dobił faceta. Prędko otarł walthera i cisnął w gruzy. Jeszcze rzucił okiem przez ramię, w stronę przyjaciół. Uczynił gest, jakby machał i salutował zarazem. Tamci nie mogli go zobaczyć. Ruszył biegiem w noc. Nie wiedział, że Kazimierz celuje doń z amerykańskiego colta kalibru 45.

– Zwariowałeś! – syknął Nowolipczyński.

– Opuść, chłopie – dodał Waniszuk z wileńskim zaśpiewem i złapał nadgarstek mężczyzny, bez trudu dociskając go w dół. – On nasz przecie.

– Ale wieje!

– I my musimy zwiewać – oznajmił „Hrabia”, kucając nad powalonymi. – Rację mieliśmy. Zwąchali nas i dużo wiedzą.

– Co z Samim? – zapytał „Talun”.

– Niech idzie w diabły. Skoro głupi.

– Albo mu we łbie namieszali. – Krzysiek splunął, zabezpieczając swój pistolet.

– Samuel mógł nas porzucić, a jednak... uratował. Bo jest nasz kumpel – oznajmił „Hrabia”. Podszedł do Kazika i potrząsnął pięścią przed jego oczami. Od strony śródmieścia słychać było rosnący warkot samochodu. Dołączyło do niego wycie zapuszczonej syreny.

– Teraz nic tu po nas. Pilnować się, ferajna. Oczy dookoła głowy i morda na kłódkę. Trzeba przecze-kać. Gdyby był czas... – Trącił nieprzytomną postać na ulicy. – Pogadałoby się z jednym albo drugim ścierwem i byśmy co wiedzieli.

– OK, szorujemy. Jeszcze pomyślimy, co z Samim. Teraz myślimy, co z nami. – Wyzначzył dłonią kierunek rejterady i trzech jego kompanów ruszyło w mrok.

* * *

Gmach przy ulicy Koszykowej w Warszawie pogrążony był prawie całkowicie w ciemności. Okazały budynek Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego przerażał swoim ogromem i historiami, które wydo-stawały się zza jego murów, ale zdawał się cichy i spokojny. Niby jeszcze jeden urząd, jakich wiele w odbudowującej się stolicy. Ale nawet ta cisza i proszący śnieg sprawiały, że miejsce to wyglądało nie-samowicie

W odleglejszym od ulicy skrzydle budynku paliło się światło. Urzędujący w niewielkim gabinecie chudy oficer przeglądał kolejne teczki i dokumenty raportów. Miał trzydzieści sześć lat. Jego głowa była pociągła, koścista, podobnie jak ramiona i nogi. Koszula i cały garnitur zdawały się znacznie za duże. Palił nałogowo, zapamiętałe studiując papiery i znów zapominając o posiłku. W blasku lampki na biurku snuł się obłoczek tytoniowego dymu. Wsiąkał w ściany, meble i papier dokumentów. Funkcj-onariusz pociągnął łyk zimnej herbaty. Zamierzał siedzieć tu jeszcze trochę, więc zaczął gmerać w szu-fladzie, szukając torby z liśćmi gruzińskiego czaju. Niespodziewanie ktoś zapukał do drzwi. Mężczy-zna zdębiał. Zerknął na zegarek, było po dziesiątej. Niewielu ludzi zostawało po godzinach tak długo jak on. Nie wtedy, kiedy panowała względna normalność. Urzędnik wiedział, kto może być za drzwiami, a dokładniej: kogo ta osoba reprezentuje. Zrobiło mu się gorąco, ale powiedział jak gdyby ni-gdy nic:

– Proszę.

W drzwiach pojawiła się pulchna sylwetka, zupełne przeciwieństwo lokatora gabinetu. Gość był niż-szy, miał kartoflowaty, zakrzywiony nos. Szyja odznaczała się nieco obwisłym podgardlem. I tylko spojrzenie spod krzaczastych brwi, inteligentne i przenikliwe, ostrzegało, by nie próbować nabijać się z tego grubaska. Gęste ciemne włosy zaczesywał do tyłu, a boki i kark wygalał prawie do gołej skóry. Noślił się po cywilnemu jak większość pracowników tego departamentu oraz komórki, do której nale-żał. Gospodarz biura stanął na baczność przy biurku.

– Dobry wieczór, towarzyszu Osawski! – Gość uśmiechnął się nawet sympatycznie, dyskretnie przy-głądając się pomieszczeniu. – Siadajcie, siadajcie, nie róbcie zamieszania. – Przełożony odgrywał do-brodusznego i obojętnego na służbowe zależności. Osawski spełnił prośbę, ale z niejakimi oporami. Wiedział, kogo ma u siebie w pokoju, i bał się tego człowieka. Każdy by się bał rozmowy z nim, właści-wie każdej styczności. Zaczął gorączkowo poszukiwać w pamięci czegoś, jakiegoś przewinięcia, błędu, który mógł spowodować najście w nocy, z dalekiej Rakowieckiej. Może uchybił czemuś, obraził kogoś? „Prowincja – groźne słowo dudniło pod czerepem Osawskiego. – Ktoś zameldował? Byli świadkowie? Kto by się odważył?” Wodosпад przypuszczeń wylewał się w wyobraźni funkcjonariusza. Dopiero co zaczął się marzec, a oficerowi skronie rosił pot i nie była to sprawka grzejących solidnie kaloryferów.

– Może herbaty? – Kapitan przypomniał sobie, że ma paczuszkę w biurku.

– Nie, nie, dajcie spokój. – Grubas stanął naprzeciwko i ciągle wodził oczami po pokoju. Wyciągnął paczkę papierosów i podał najpierw podwładnemu. Ten nie śmiał odmówić. Zapalili obydwaj. Osawski mało nie zakrzusił się dymem, ale wytrzymał, prawie zieleniejąc. Gość usiadł na krzeselku, założył nogę na nogę i niewinnie się uśmiechnął. Świdrował przy tym interlokutora dogłębnym spojrzeniem.

– No jak wam, towarzyszu kapitanie, na nowym stanowisku? Jesteście tu z miesiąc. Pozwólcie pomyśleć awansu. Spóźnione, ale szczerze. – Zrobił lekki ukłon, a dłoń z papierosem wykonała gest przypominający salut.

– Dziękuję... – stęknął młodszy rangą. – Wdrażam się, ale mam już kilka zaczepień.

– Doskonałe, doskonale. – Gruby uśmiechnął się szerzej. – Uważam, że przeniesienie was z „trójki” do „siódemki” to doskonały pomysł towarzyszy. Wcześniej epizod w szkoleniu. Jesteście niecałe pół roku w Warszawie i przechodzicie do wywiadu. Tak, zdolny z was czekista, zdolny i inteligentny. Takich nam trzeba. I nie denerwujcie się. Czekista powinien mieć chłodny umysł, gorące serce i czyste ręce, jak mawiał towarzysz Feliks. Emocje niepotrzebnie nas rozpalają.

– Nie wiem, czy podołam – przyznał chudy, nieco spuszczać oczy. – Ale dziękuję za dobre słowo, towarzyszu pułkowniku!

– Podołacie, podołacie. – Gość zaciągnął się dymem i zmrużył oczy. – Mój departament, jak wiecie, zajmuje się kontrolą. Sprawdzaniem – podkreślił surowszym tonem. – Wasza kandydatura przeszła i przez moje biurko. Nie miałem przeciwwskazań. – Zrobił dręczącą pauzę. – Działania za sanacji jako wyrobiony ideologicznie dzieciak, wojna i cały wasz dramat... A potem twarda walka z wrogami naszej ludowej ojczyzny. Wydział śledczy w Gdańsku, Mazury i delegacja do ośrodka na Dolnym Śląsku. Potem znów Mazury. Lubicie ziemię odzyskane, co? – Dawał do zrozumienia, że dużo wie. Wszystko, tak naprawdę. Uważał człowieka po drugiej stronie za osobę inteligentną na tyle, by pojęła przekaz. Albo przestrożę. Osawski wspomniał nagle stare czekistowskie powiedzenie: „Kontrola najwyższą formą zaufania”. Zawsze go w głębi ducha śmieszyło, bo wcześniej to on kontrolował...

– Jesteście obcy, macie spryt. Niejaki talent aktorski. Zyskujecie zaufanie podwładnych – ciągnął podpułkownik. – Prowadziliście niezłe gry operacyjne na poziomie waszych możliwości w terenie. No i znacie języki. To ważne. Nawet bardzo. Trudno jeszcze u nas o ideowców, ale takich solidnie wykształconych – pozwolił sobie na odrobinę szczerości. – Co na tapecie? – Wskazał palcem na teczkę.

– Berlin. Teraz dokładnie sprawa tego Czecha. Zavicka... – zameldował kapitan. Podsunął skoroszyt. Podpułkownik udał, że czyta z zainteresowaniem. Znał sprawę dobrze. Znał życiorys i wszystkie inklinacje.

– Zdrajca, członek siatki Fielda i jego bandy... – westchnął, kartkując papiery.

– Tak jest! – Osawskiemu zaimponowała dobra pamięć oficera z Departamentu X. Słyszał o niej co nieco w pokątnych rozmowach, ale myślał, że to legenda. – Zavicek przyjechał do Polski i zwiął, to znaczy uciekł, do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jego kumpla złapali towarzysze czechosłowaccy, kiedy usiłował przejść granicę z Bawarią. Zavicek coś przeczuwał i zawczasu ruszył do Wrocławia. Myślał, że tu będzie łatwiej albo że go nie wytropimy. Papiery miał mocne, ale jeden z funkcjonariuszy na granicy rozpoznał zdjęcie. Wiemy, gdzie jest. Kontrwywiad się spisał, ale że Berlin w jakimś wycinku prowadzi ją...

– Niemcy go wyluskają? – przerwał podpułkownik.

Kapitan milczał chwilę. Słowo „Niemcy” jakoś mu nie odpowiadało.

– Towarzysze z Berlina pomogą – potwierdził eleganckimi słowami.

Gość uśmiechnął się z politowaniem i błyskiem współczucia w oczach.

– Wiem. Wszystko wiem. Delegacja ministerstwa spotkała się z ludźmi Mielkego. Dał zielone światło. Użyje swoich zasobów. Zresztą nie mógłby odmówić. Szwabę się boją. Nas i towarzyszy radzieckich. – Zaprezentował w uśmiechu zęby. – Towarzysze towarzyszami, ale to my wygraliśmy wojnę, no nie? – spytał retorycznie. I tym właśnie chciał zjednać sobie Osawskiego, który ciągle wydawał się spięty i nieco poirytowany skierowaniem na odcinek niemiecki. – No dobrze, nie będę wam przeszkadzał. – Zduślił peta w kryształowej popielniczce i wstał. Kapitan też poderwał się z miejsca.

– Kiedy go nam dostarczą? – spytał podpułkownik, jeszcze wracając do meritum. – To znaczy tego Pepika. Towarzysze z Moskwy są bardzo ciekawi.

– Na dniach ma pójść sygnał. To teren Stasi³. Ich kuchnia. Choć my też pomożemy. Mają swoje sposoby. Ale myślę, że to kwestia dni.

– Tak, to rozumiacie. Dajcie mi znać. – Podpułkownik poglądził się po brodzie, patrząc na skorozsyty. – W porządku, towarzyszu kapitanie... – Podał mu pulchną dłoń. – Gratuluję raz jeszcze i pamiętajcie: wierzymy w was. Wszystko będzie w porządku. – Drugą ręką poklepał kapitana w ramię. – No i nie siedźcie tak długo. Obowiązki obowiązkami, ale wypoczywać trzeba. Dobrej nocy.

Uśmiechnął się i wyszedł. Osawski stał jeszcze kilka sekund, głęboko oddychając. Bał się chyba, że tamten wróci i przyłapie go na chwili niemocy. A było mu słabo. Wreszcie usiadł. Połuźnił krawat i rozpiął kołnierzyk. Sięgnął po chustkę, po czym otarł czoło i kark. Już nie miał ochoty na herbatę. Otworzył drzwiczki biurka i wyciągnął półlitrową butelkę wódki oraz musztardówkę. Każdy prawie miał tu coś takiego na specjalne okazje. Na stres albo na toast za powodzenie. Nalał do połowy i wychylił. Nie czuł smaku. Alkohol zabuzował we krwi. Oficer znów zaczął odkopywać przeszłość, tę dalszą i bliższą. Nie rozumiał, czy właśnie dostąpił zaszczytu czy już, na samym początku pracy w Departamencie VII Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, stał się celem. Nie pojmował sensu tej wizyty. Choć metoda wzbudzania niepokoju bardzo mu się podobała. Robił podobnie, w Gdańsku, Olsztynie i wszędzie, gdzie trafił na swoim bojowym szlaku.

– Mnie, Jana Osawskiego? – szeptał, patrząc w butelkę wódki. – Odwiedza podpułkownik Józef Światło. Ten Światło? – powiedział głośniejszym głosem, ale to nie pomogło w zrozumieniu, czemu wszechmocny oficer specjalnego departamentu, najbardziej tajemniczej jednostki ministerstwa, zwrócił na niego uwagę. Dolał wódki i pociągnął kolejny łyk, odczuwając coraz większe zmęczenie. Faktycznie, musiał wypocząć.

* * *

Puławski siedział blisko frontonów budynków, zgarbiony pod ciężarem plecaka. Palił szybko papierosa, usiłując przyglądać się ludziom. Wydawało mu się, że patrzą na niego. Usiłował odgadnąć, co o nim myślą i czego od niego chcą. Był jak zwierz w potrzasku, który zaraz usłyszy dźwięki nagonki. Wszedł w bramę. Zgasił niedopałek i sięgnął po drugiego papierosa. Przez obłok dymu na drugiej stronie ulicy wypatrzył kogoś niepasującego do reszty. Wysokiego faceta, który siedział wolno i jak jakiś zwiedzający przyglądał się domom i witrynom.

– Turysta pieprzony! Kto cię przysłał? – Sami schował się głębiej w cień i zagryzł wargi, usiłując sobie pouklądać w logiczną całość przebieg wydarzeń. Nie miał jednak czasu ani cierpliwości. Wszedł w podwórze, chcąc przejść na drugą stronę. Musiał znaleźć inną drogę na dworzec, do kas biletowych. Wyrzucał sobie, że niepotrzebnie był pod koszarami, by wbrew rozsądkowi pożegnać chłopaków.

– Tam mnie namierzili... – Przeklinał swoją głupotę. Teraz jeszcze dopadło go wzruszenie. Zostawiał za sobą kawałek dorosłego życia. Dotarł do drzwi tylnego przejścia. Uchylił i długo patrzył. Zdecydował się wyjść, kiedy był pewien, że nikt za nim już nie idzie.

ROZDZIAŁ 2

Marcową nocą trzymał mróz. Śnieg prószył leniwie, tworząc białe czapy na skrawkach porwanych murów. Osadał na parapetach martwych okiennych otworów, w których od dawna nie było szyb. Kwartal domów był jak starożytna ruina, pozostawiona w bezruchu wiele wieków temu i zapomniana. Przecież minęło zaledwie osiem lat, odkąd wypalone zgłiszcza zostały porzucone. Ludzie uprzętnęli gruz, wywieźli hałdy cegieł, a poranione mury zostawili, nie chcąc, albo nie mogąc, ich odbudować. Za ruinami ciągnęły się szerokie, białe połacie pustkowia prowadzące do podobnych wysp porzuconych gmachów. Nie było tu światła, latarni ani żadnego ruchu. Dopiero znacznie dalej pojawiały się pierwsze ogniki. Ślady życia w mieście.

Charlie „Greenman” Zielinsky, a obecnie Richard Rotte, miał świadomość, że to pozory spokoju i normalności. Jak właściwie wszystko w jego fachu. Prawdziwe życie i niekończące się zmaganie trwały w ukryciu. Nowa placówka, w której przyszło tkwić trójce Amerykanów, była dziurą w ziemi otoczoną murami bez dachu, zapadliskiem po zrujnowanym piętrze, w którym gwizdał wiatr. „Greenman” marzył, choć zdawało mu się, że ubrał się ciepło. Miał sweter, marynarski płaszcz i wełnianą czapkę. Na podwójne skarpety włożył wysokie sznurowane buty. Nie wystarczyło. Chodził więc wkoło, tupiąc i chuchając w dłonie. Jego dwaj kompani robili podobnie. Byli niewiele młodszy, wysportowani, silni, ale i mniej życiowo doświadczeni. Jednak górowali nad Charliem w takich akcjach tu, w Berlinie czy na wschodzie Europy. Mimo to imponowała im jego przeszłość, nawet jeżeli znali jej niewielkie fragmenty. Will i Hugh, jak ich nazywał. Z niemiecka Wilhelm i Hugo. Dwóch ludzi z zespołu McIntosha, który przez ostatnie tygodnie wprowadzał go w dziwaczny świat berlińskich układów. W przeciwnieństwie do „Greenmana” te dwa gnojki czuły się tu jak ryby w wodzie. Znali każdy kamień, ruinę i... przejście na drugą stronę, do wschodniej części miasta.

– Najgorsze jest to, że nie można zapalić. – Hugh tarł rozdygotane dłonie, popadając w coraz większe rozdrażnienie.

– Dokładnie. To najbardziej dokucza – westchnął „Greenman”. Chciał rzucić jakąś anegdotę o tym, jak gnął na wartach czy w okopie w czasie wojny, ale dał sobie spokój. Miał się wykazać w działaniu, a nie w bajdurzeniu, niczym starszy pan.

– Powinni być pół godziny temu. – Will pochylał się nad białym cyferblatem zegarka, z trudem odczytując czas.

– Może już po wszystkim? Nie przyjadą? – zapytał Charlie, wyobrażając sobie porażkę. Ujrzał na twarzach kompanów niewielkie uśmiešky politowania. Wiedział, że zbłądził się jak nowicjusz.

– To nie szwabska kolej, Richie. – Hugh mrugnął okiem i zaśmiał się. – To pieprzona wschodnia część Berlina. Czasem czekasz całą noc zamiast kilku godzin. Za wielu szpicli, ruskich agentów. Żeby ich wykiwać, trzeba się namęczyć.

– Po naszej stronie – Will wskazał za siebie, na kilka domów za niskim murem, który wyznaczał granicę stref – jest kiepsko. Przeostańmy myśleć według planów. Tu się nic nie trzyma kupy. Można o tym opowiadać, ale teraz masz czarno na białym. – Był młodszy, ale mówił jak mentor. Pewnie, nawet zbyt pewnie jak dla Charlego Zielinsky’ego.

– Kiedyś czekaliśmy właśnie do bladego świtu. Było lato. Krótka noc, do tego patrole...

– Blokada. Była blokada miasta – wtrącił Hugh. – Wiesz, co to było? W czterdziestym ósmym groziła tu nam normalna wojna. Otoczyli zachodnią część i chcieli zagłodzić. Wszędzie posterunki, patrole wojska, a my mieliśmy zadanie do wykonania. Przesrane – sapnął, uciekając myślą w przeszłość.

„Greenman” tylko milcząco przytakiwał. Nawet nieco bawiły go popisy „kogutów”. Byli dobrzy w tym, co robili, ale nie widzieli w życiu tyle, co on. Zresztą to nie było ważne. Liczyło się to, co tu i te-

raz, nowy przydział, a nie opowieści. Ta dwójka ugrzęzła między tymi ruinami, w ich małym wszechświecie. Nie byli zwykłymi ludźmi, nie mogli zapomnieć o pracy. To ona była całym ich życiem. Tajnym, ukrytym za kłamstwami. Nie mogli się nią chwalić, chyba że trafił się ktoś nowy, taki jak Charlie Zielinsky.

Za zaśnieżonym placem mignęło białe światło. Odróżniało się od blasku kilku marnych latarni w mroku.

– OK, mamy sygnał. – Hugh natychmiast zapomniał o paleniu. Wyprostował się i przywarł do muru przy samej szczelinie. Sięgnął po latarkę do kieszeni kurtki, ale zawahał się na moment. – Panowie, zaczynamy grę – oznajmił patetycznie. Wdusił przycisk i zaczął wysyłać umówioną sekwencję znaków.

– Teraz co? – Zniecierpliwiony Zielinsky gapił się w mrok po drugiej stronie zaśnieżonego placu.

– Znów czekamy – uspokoił go Will. – Jeżeli dali znak, to znaczy, że boss uznał, że mają wolną drogę. Ostatnia prosta do granicy.

– Takie zadupie – zachnął się „Greenman”. – Komuchy nie wiedzą, gdzie można przelazić przez granicę bez kontroli? – zapytał retorycznie.

Will wzruszył tylko ramionami. Obydwaj młodzi spojrzeli po sobie z wyrazem czegoś, co Zielinsky uznał za obawę. „Nie mówicie mi wszystkiego – zawyrokował w myśli. – Za wcześniej? A może wam nie wolno?” Powinien był się rozłożyć, ale powściągnął emocje. Przeszedł na swoją stronę ruiny, osłaniając południowe podejście do tej niewielkiej „stancji”. Wymacał pistolet w kieszeni płaszcza, ale wyjęcia go nie uznał za konieczne. W narastającej kurzawce nic się nie działo. Słychać było tylko wiatr. Nawet silniejszy niż na wschodzie ruch w wolnej części miasta gasnął.

– Czysto! – rzucił do kompanów przez ramię. Hugh znów zaczął posyłać świetlne sygnały.

„Greenman” czuł, jak puls mu przyśpiesza. Bardzo lubił to uczucie, znane mu jeszcze z czasów wojny: podniecenie na chwilę przed akcją. Wiązało się to z dużym niebezpieczeństwem, śmiercią i cierpieniem, ale w pamięci pozostawało to, co najlepsze. Ekscytacja i działanie dodającej werwy adrenaliny. Mógłby to traktować jako psychiczny problem, którego nabawił się na froncie, ale to dawało mu szczęście. Przez to porzucił spokojne życie w New Jersey i wrócił do zajęcia pełnego niebezpieczeństw, choć nigdy nie opowiadał o nich rodzinie. Znalazł przeciwieństwo ludzi, instytucję, która szukała takich narwańców z talentami jak on. Tej nocy podniecenie wydawało się słabsze. Nie tego się spodziewał po pracy w owianym legendą Berlinie. Charlie oczekiwał istnych hord czerwonoarmistów, a tymczasem czuł się, jakby znów był na podniszczonym podwórzu gdzieś w Jersey City albo Newark, gdzie buszował jako dorastający dzieciak po przyjeździe z Polski.

– Gładko pójdzie – wyszeptał pod nosem Karol.

Przez szmer wiatru przedostał się warkot nie najmłodszego silnika. Zielinsky wychylił głowę. Od ciemnej plamy ruin za pustkowieciem odkleił się przedmiot. Zbliżał się jakiś pojazd. Szofer nie zapalał świateł. Wóz mógł być niską półciągarówką albo autem dostawczym z paką zakrytą plandeką. Samochód przecinał pustkowiec, jadąc szybko, ale pewnie. Kierowca musiał znać okolicę i zapewne był tu nieraz, bo doskonale radził sobie po ciemku. Kiedy wóz był mniej więcej w połowie drogi, coś się zmieniło. Zielinsky oderwał wzrok od samochodu i chciał przyjrzeć się odcinkowi, którego pilnował. Zaniepokojony spostrzegł ruch. Oczy przywykły do ciemności na tyle, by mogły dostrzec na tle murów opustoszałych kamienic ludzkie sylwetki. Gdyby pojawiła się jedna, nie byłoby w tym nic niepokojącego. Ale ich było pięć, może siedem. Niewykluczone, że więcej osób kryło się jeszcze we wnętrzach. Wyrobione wyzucie i instynkt wrzeszczały, że sprawy źle się mają.

– Mamy towarzystwo – powiedział na głos i cofnął się do wyrwy, przekonany, że można go dostrzec. Złapał ręką pistoletu w kieszeni.

– Zgadza się, tu też są! – Will pokazał palcem domy po swojej stronie. Zrobił to z niesamowitym spokojem.

Za pustym placem pojawiły się światła reflektorów. Wiatr poniosł syreny policyjnych wozów. Cicha do tej pory noc zaczęła ożywać drażniącymi hałasami. Ukryci w ciemności musieli trzymać nerwy na

wodzy. Tak jak zostali przygotowani. Hugh i Wiliam wydawali się opanowani. Imponowali Charliemu. Byli zaledwie kilkaset metrów od granicy. Blisko do swoich, ale w obliczu pogoni dystans do przebycia na wrogim terytorium wydawał się niebotyczny.

Ciężarówka zaczęła zwalniać. Syreny podążających za nią wozów Volkspolizei⁴ były coraz głośniejsze. Samochód wreszcie stanął, tuż obok wzgóрка cegiel przykrytych śniegiem. Z wnętrza auta wyskoczyły trzy postacie. Biegły pochylone, spodziewając się strzelaniny. Potykały się o kawałki gruzu.

– Mamy jeszcze szansę! – Kermit dyszał, pochylając się, żeby złapać oddech. Zaczął rozpinać obszerny, pelisowy płaszcz. Cisnął nim o ziemię, szykując się na większy wysiłek.

– Skąd wiedzieli? – Facet biegnący za nim spytał po niemiecku drżącym głosem. Charlie rozpoznał w nim figuranta. Mieli go przerzucić na zachód. Był średniego wzrostu, szczupły, w za dużym ubraniu. Dygotał ze strachu albo zimna. Chyba nie był Niemcem. Nadali mu pseudonim „Highlander”. Ten trzeci zwany był „Emilem”. Był najstarszy ze wszystkich, nosił krótką kurtkę i narciarską czapkę, podobną do tej, jakiej używano w Wermachcie. Nie wydawał się przestraszony. Zielinsky przyglądał się Niemcowi, który ciekawił go najbardziej.

– Wiejemy do granicy – polecił Kermit. – Ja, „Highlander” i „Emil”. Wy odciągniecie pościg. – Popatrzył na swoich.

– Tak jest! – odpowiedział Charlie bez wahania. Spozstrzegł, że Niemiec też zaczął mu się przyglądać.

Usłyszeli ryk silników. Przez szum i terkot przebijały się wykrzykiwane rozkazy. „Greenman” wiedział najlepiej, co to oznacza, kiedy słyhać Niemców. To samo, co przed laty. Kermit chwycił ramię zbiega i pociągnął, wyrrywając faceta z paraliżu. Zaczął przepychać się przez dziurę w tylnej ścianie, macając przeszkody przed sobą. Zaraz cała trójka zniknęła. Hugh dał polecenie reszcie. Uciekali w innym kierunku, tak żeby wschodni ich dostrzegli. Karol biegł ostatni. Grupa policji rozlała się w szeroką, luźną tyralierę. Nie było ich aż tak wielu, ale „Greenman” nie miał zamiaru czekać na spotkanie z mundurowymi. Przemknął po śliskim śniegu pod kamienicą, kiedy padł strzał. Echo załomotało między ścianami. Zielinsky wyciągnął pistolet. Był za daleko, by go użyć, ale poczuł się przynajmniej pewniej.

Kolejny strzał. Nie wiadomo, czy mierzony czy posłany w powietrze, ale sprawił, że uciekinierom przybyło sił. Trójka Amerykanów rozeszła się po ruinach, odskakując w bok od Kermita i jego „przeżyłki”. Odległość do granicy malała, ale poruszanie się po rumowiskach szło o wiele lepiej Willowi i Hugh. „Greenman” potknął się kilka razy. Stukł kolano i poszarpał ubranie, ale parł przed siebie. Świłało mu pod czapką, że właściwie nie na to się pisał. Wyobrażał sobie naiwnie, że będzie musiał nieco pobiegać, ale nie myślał o takim torze przeszkód. Pogoń dotarła chyba do kryjówki. Auta hamowały. Słyhać było trzaskające drzwiczki i jeszcze więcej krzyków. Will i Hugh patrzyli za siebie co kilka chwil. Ale wkrótce kontury świata zaczęły zamazywać się w przybierającej śnieżycy. Byli tutejsi, jak koty znające rewir i zwinnie pokonujące każdą przeszkodę. W pewnej chwili przewodnicy dosłownie zniknęli w śniegu.

„Greenman” pierwszy raz od przyjazdu do miasta poczuł prawdziwy strach. Tak jak kiedyś, gdy utknął samotnie w belgijskim lesie albo sam przedzierał się przez podbitą przez Sowietów Polskę z szaloną misją wymyśloną w Waszyngtonie przez pewnego zdrajcę. Pozostał sam. Na niesamowicie długi moment opuszczono go pośród gruzów we wrogim mieście. Charlie potrafił sobie radzić w takich sytuacjach. Przeżył ich sporo. Wojna w Europie, komunistyczna Polska, a ostatnio Azja. Ale zazwyczaj miał jakieś wsparcie.

– Gnojki. Pierdolone gnojki – obruszył się. Przystanął. Złapał się na tym, że traci orientację w ciemności i zadymce. Słyszał głosy wschodnoniemieckiej policji. Byli coraz bliżej, tuż za ruinami kilku domów, choć im łażenie po takim terenie szło jeszcze gorzej niż jemu. Snopy światła latarek zaczęły głaśkać miliony płatków padającego śniegu. Echo coraz mocniej powtarzało rozkazy tamtych. Zielinsky pojmował, że próbują odciąć go od granicy. Oddychał głęboko i, jak mógł, powstrzymywał narastającą panikę. Wziął haust zimnego powietrza i nie potrafiąc wymyślić nic lepszego, przylgnął do ściany. Mocno schylony wyszedł z cienia, wolno i ostrożnie. Nauczono go na wojnie, że zbyt szybki ruch przy-

kuwa ludzki wzrok. Zsunął się po kamieniach i dopiero zaczął truchtać, modląc się, by skrzywienie śniegu nie zwróciło uwagi. Serce przyspieszało, choć wcale nie poruszał się szybko. Odgłosy pościgu robiły się wyraźniejsze i dochodziły teraz z dwóch stron.

Naraz w bieli pustej ulicy wyrósł człowiek. Był niedaleko. Też schylony, gwałtownie się rozglądał. Nadszedł z przeciwną, od strony granicy. Nie widział „Greenmana”. On za to rozpoznał „Highlandera”. Widział go na żywo tylko kilka chwil, ale pamiętał sylwetkę ze zdjęć, z przygotowań do zadania. „Biedny sukinsyn... – pomyślał, zły na resztę towarzystwa, że tak łatwo gubi ludzi w panice. – Wcale nie jesteście tacy dobrzy”. Pognał długimi susami po zagubionego towarzysza. Spadł na niego jak duch. Zasłonił usta, słusznie przewidując, że „Highlander” zacznie krzyczeć. Teraz spod jego dłoni wydobywał się tylko nieskładny bulgot.

– *Nimm es gelassen, mein Freund!*⁵ – szepnął mu Zielinsky do ucha. Chłopak chyba zrozumiał, bo podał się woli nieznanego. Charlie pociągnął uciekiniera za sobą w stronę, która wydawała mu się właściwa. Zaczął wspinać się po schodkach do bramy nieistniejącego domostwa, kiedy wrzawa szwabskich komend wypełniła przestrzeń. Błysk latarki przebił się przez śnieg poziomo i prześlizgnął po obu mężczyznach, kiedy znikali za drzwiami. Nie zdolali umknąć. Krag światła zatrzymał się na wejściu. Ktoś sprytny dostrzegł ruch albo miał po prostu przeczucie. Snop był jak drogowskaz dla ludowej policji.

– *Halt!* – Ktoś zdzierał gardło.

– *Nicht bewegen!*⁶ – dodał energicznie inny głos. Potem huknęły strzały. Chyba z pistoletów, bo brzmiały inaczej. Strzelano do zbiegów, już nie w powietrze. „Greenman” zrozumiał to momentalnie. Zaczął przedzierać się z „Highlanderem” przez zwały cegieł, resztek belek i zginiętych mebli. Byli jak brodzący na bagnie. Zbieg ruszał się niezgrabnie, usiłując być szybkim. Chyba dobrze rozumiał, co mu grozi, jeżeli zostanie pojmany. Pomógł Amerykaninowi wdrapać się na próg kolejnego pomieszczenia. Teraz wydawało się, że zostali otoczeni. Przekleństwa, syki potykających się Polizisten⁷ i stukot osuwających się cegieł dudniły dosłownie wszędzie.

– *Hurry up! Schnell!* – „Highlander” popędzał go rozpaczliwie. „Greenman” uznałby to za ujmę i dowód na spadek formy, gdyby nie zajmował się myśleniem, co właściwie ma robić dalej. Powstrzymał zbiega, dociskając do ściany. Przyłożył palec do ust, by młody nic nie mówił. Sam wychylił się i dojrzał trzech gości w płaszczkach, zimowych czapkach i z karabinami. Wschodni Niemcy nosili się jak dawni naziści. Komuniści odpruli tylko godło orła na swastyce od mundurów tego samego prawie wzoru.

Trzech gliniarzy ślizgało się na nierówności i podpierało korbami, usiłując znaleźć nie tylko zbiegów, ale także wyjście z tego labiryntu. W „Greenmana” zaczęła wstępować nadzieja. Mogli się ukryć, przeczekać albo usiłować prześlizgnąć bliżej granicy. „Próbujcie nas dorwać, skurwysyni!” Wiedział, że lepiej będzie wiać i nie kusić losu. Machnął na „Highlandera”, a kiedy przerażony kompan nie zareagował, Charlie pociągnął go za dłoń. Teraz uważał na każdy krok, wyteżał wzrok, by nie wpaść w jakąś szczelinę albo żeby nie narobić hałasu na osuwisku. Przemknęli przez kilka pomieszczeń. Zielinsky wyszedł na zrujnowany taras na parterze i zeskoczył. Wróg był wszędzie wokół, ale niewidoczny. Wił się i kluczył, chyba odpuszczał sobie pogoń. „Greenman” obrócił się, chcąc pomóc zbiegowi, kiedy ten poślizgnął się i padł na balustradę. Nadwyróżona konstrukcja nie wytrzymała i wyrwała się z muru, ciągnąc spory kawałek ściany. Buchnęło gryzącym kurzem, a hałas mógł zwiastować upadek całego domu.

– Świetnie! – powiedział po polsku Zielinsky. Pociągnął „Highlandera”, nie bacząc na jego jęki i ciche pomruki. Teraz musieli po prostu uciekać. Przeskoczyli oczyszczoną przestrzeń, gotowi przebić się przez jeszcze jedno gruzowisko. Te kilkaset metrów, dzielących „Greenmana” od punktu kontaktowego do granicy, teraz wydawało się dystansem maratońskim.

– *Halt!* – zabrzmiało znacznie bliżej. Niemiec nie czekał. Posłał kulę, która ze świstem przeleciała nad uchem „Greenmana” i trafiła w mur. Pojaśniało. Charliego osłabiło, ale nie osłabiło to jego woli przetrwania. Uskoczył, odpychając zbiega. Osłonił oczy dłonią. Podniósł drugą rękę trzymającą czterdziestkę piątkę. Pociągnął za spust, mierząc na wyczucie. Po lufie w cel. W światło. Szybko, ale stabilnie, jak ćwiczył. Snop światła latarki zaczął się kręcić, aż wylądował na ziemi. Amerykanin nie wiedział,

czy trafił tamtego czy tylko spłoszył, ale założył tę pierwszą możliwość i pomyślał, że może zacząć nową wojnę.

– *Jetzt, schnell rennen!*⁸ – krzyknął. Strzelanina ściągała krzyczących policjantów. „Greenman” zrobił kilka kroków w bok i wypalił w przeciwną stronę. Miał nadzieję, że to zmyli pościg. Wskoczył zaraz w rumowisko, nie chcąc zgubić „Highlandera”.

Miał rację. Volkspolizei zrobiła się ostrożniejsza i błędziła, w ciemności jedni funkcjonariusze brali innych za zbiegów. Od zachodu przebijała wyraźniej zorza bardziej normalnego świata. Ulice, neony, latarnie. Dzielnica Neukölln, choć nie najpiękniejsza z dystryktów Berlina, zdawała się teraz cudna, nieomal rajska. Za plecami Zielinsky’ego znowu zaczęła się nieskładna strzelanina. Raz grzmiał karabin, za drugim razem pistolet. „Greenmana” nawet to zastanowiło, bo nie spodziewał się, że wywoła aż takie zamieszanie. Potknął się o coś i poleciał na brzuch, w ostatniej chwili osłaniając twarz. Nie padł na gruzowisko, ale na coś miękkiego. Pod nim leżał nieprzytomny „Highlander”. Charlie podskoczył jak oparzony. Wcisnął pistolet za pasek spodni i zaczął targać zbiega. Ten jakby ważył tonę. Podciągnął go, chcąc wytaszczyć za ramiona, kiedy solidny cios spadł na jego kark. Zamroczony Zielinsky zachwiał się, ale nie padł od razu. Potrzebna była powtórka i dopiero wtedy noc zrobiła się zupełnie ciemna i cicha.

* * *

Samuel Puławski tego dnia ubrany był całkiem odświętnie. Nie pomagało to w długiej podróży pociągami z Monachium, ale jakoś zdzierzył niewygodę. Chciał być elegancki na spotkaniu, które go czekało. Wierzył, że to szata zdobi człowieka, ubiór dodaje splendoru i rozwiewa wątpliwości obserwatorów. Zwłaszcza teraz, w podróży przez inne, nieprzyjazne państwo. Mężczyzna zszedł schodami z peronu dworca Zoo na szeroki plac. Miał na sobie płaszcz z postawionym kołnierzem, a pod spodem marynarkę i koszulę z obowiązkowym, pstrokatym krawatem amerykańskiego wzoru. Nie wkładał kapelusza, gdyż nie miał takiego nakrycia głowy. W kieszeń wetknął zmięty kaszkiet, bo nie chciał psuć nasączoną brylantyną fryzury. Poza tym chciał być rozpoznany w tłumie przyjezdnych. Z tą osobliwą elegancją kontrastował górski plecak, który przybysz nosił ze sobą. Spłowiały, pocerowany bagaż był pełen dobytku z poprzedniego życia.

Berlin witał ruchem. Nie różnił się zbytnio od Monachium. Można tu było zobaczyć podobną mieszankę ruin i odradzającego się życia. Sami przystanął przy wejściu i zaczął szukać papierosów. Nie znał miasta, nie wiedział, gdzie może się zatrzymać, gdyby coś poszło nie tak. Miał jednak szczęście.

– Dzień dobry – usłyszał za sobą znany głos. Obrócił się i uśmiechnął, zapominając o nikotynowym głodzie.

– Cześć – odparł i wybałuszył oczy na Erikę. Była śliczna, a tego dnia prezentowała się wyjątkowo wytwornie. Samuel zorientował się, że zbyt długo podziwia wdzięki kobiety, podkreślone dopasowanym paltem. Ukłonił się i pochwycił dłoń w brązowej rękawiczce, by ucałować ją z galanterią.

– Jak podróż? Wszystko przebiegło bez kłopotów? – spytała Herpflamanym polskim.

– Tak, wszystko w jak najlepszym porządku.

Samuel znów nie mógł powstrzymać się od taksowania piękności. Za bardzo zdziaczał w pracy i stroił od ludzi, a zwłaszcza od ładnych kobiet, by zachować się odpowiednio przy takiej piękności.

– Mam coś... – Ocknął się i stuknął w czoło. Rozsuptał pośpiesznie plecak i wydobyl długą tabliczkę bawarskiej czekolady. – O kwiaty trudno, ale to chyba lepsze. – Z dumą podał podarek. Kobieta prychnęła z rozbawienia, ale powstrzymała się od uszczypliwości.

– Pięknie dziękuję!

– Podobno po blokadzie cały czas u was kłopoty z delikatesami – tłumaczył się Sami.

– Tak, tak, masz rację... – Erika zastanawiała się, ile nieszczęśnik musiał wydać na ten specjał. Wsunęła prezent do torebki i pocałowała przybysza w policzek. Puławski od razu się rozpromienił i wyprę-

żył zadowolony. Herpf zbliżyła się i pewnie ujęła chłopaka pod ramię.

– Pokażę ci miasto. – Wskazała na plac. – Podoba ci się?

– Jest... – Zmieszał się zaskoczony nagle inicjatywą koleżanki. Widzieli się przecież dopiero dwa razy. – Jak u nas... Choć czy ja wiem? – Zamyślił się, szukając błyskotliwego uzasadnienia. Patrzył na uliczny ruch, reklamy. – U was jest bardziej energicznie.

Erika zaśmiała się.

– Słuszne spostrzeżenie. Musimy się starać bardziej. Jesteśmy małym miastem. Ciągłe zagrożonym. Nie ma tu tak łatwo. No dobrze. – Spoważniała. – Cieszę się, że obyło się bez kłopotów. – Pociągnęła ramię mężczyzny i ruszyła wolno. – Papiery, wiza i tak dalej. Jak obiecałam, załatwiłam. Mam dobre układy tu i we wschodniej części. Jak widzisz, dotrzymuję słowa. A jak twoi kompani? Koledzy z wojska? Może jakaś narzeczona?

– Hm, narzeczona... – Lekko się zaczerwienił. – Nie mam nikogo na stałe – przyznał. Nie miał zamiaru opowiadać o romansach z Niemkami, pracownicami kantyn, baz wojskowych albo kelnerkami. Chciał spróbować z Eriką, tak na poważnie, na dłużej. Była najwytworniejszą, najbardziej troskliwą, potrafiącą słuchać i pomagać kobietą, jaką spotkał w życiu. I choć nie był przystojny ani odczytany, posiadał kilka zalet. Bywał odważny, szarmancki i nie znał wstydu. A kobiety lubiły pewnych siebie faceatów. Przekonał się o tym wielokrotnie. Nie miało znaczenia, że mężczyźni było bardzo daleko do wyglądu Vana Johnsona.

– Z kolegami bywa różnie... – zmienił temat na bardziej neutralny. – Jeszcze nie są gotowi – skłamał, przypominając sobie reakcję kompanów.

– Spokojnie. – Erika objęła Samiego. – Jeszcze nie zrozumieli, że wojna jest dawno za nami. Że trzeba nauczyć się żyć normalnie, między ludźmi. Wszystkimi, bez względu na straszną przeszłość. Inaczej zwariujemy. – Znowu pocałowała chłopaka w policzek. Wydawała się radosna z powodu jego przyjazdu do miasta. Samuel był gotów odwzajemnić całusa w bardziej namiętej formie, ale Erika odsunęła głowę. Potrafiła wyznaczyć granicę i racjonować czułości.

– Gdzie teraz? – westchnął nieco zawiedziony Sami. – Kawa? Spacer? Przeczekam u ciebie? – Usiłował prowokować.

– Najpierw załatwimy to, co najważniejsze. – Herpf stała się bardzo zasadnicza. – Dopełnimy formalności. – Zaczęła ciągnąć zaskoczonego mężczyznę w stronę przystanku autobusowego. – Mam znajomego na Schlüterstraße. To całkiem niedaleko. Nie tak daleko od Ku'dam, tej głównej ulicy. – Wskażała niedbale przed siebie.

– Schluuu? Co tam jest?

– Misja wojskowa. Polska misja wojskowa. To jak ambasada.

Sami stanął jak wryty. Patrzył szeroko otwartymi oczyma i sapnął:

– Komuniści!

– Nie żartuj. – Erika machnęła dłonią. – Przecież chciałeś. Zdecydowałeś się.

– Tak, ale ja... – Dopiero wtedy dotarło do świadomości mężczyzny, że zawędrował na ścieżki, których nie miał ochoty dokładnie przemyśleć. Swoją decyzję wiązał zawsze z dziewczyną. Wszystko inne zostawiał na później. I to później właśnie nadeszło.

– Co jest, Sami? – Herpf na powrót była miła i słodka, tak jak wtedy w Bawarii, kiedy się poznali. – Boisz się czegoś? – Poglądziła przybysza po gładkim policzku i zatrzymała dłoń na dłuższy moment. Puławskiemu zrobiło się gorąco. Najchętniej dałby się jej pieścić, tu i teraz, na środku ulicy, i zapomniał o całym świecie.

– Będzie dobrze, obiecuję. – Mówiła z troską, niczym matka. Samuel chciał, by się nim opiekowała. – Niejednemu tak pomogłam...

– Niejednemu? – zapytał podejrzliwie.

– Tak, oczywiście. – Przejechała palcami po czuprynie faceta. – Z tego żyję, mówiłam ci. Mam małe biuro podróży, więc organizuję wyprawy. Nawet tak trudne jak ta twoja... Bo jesteś kimś dla mnie wyjątkowym. – Jakby się zawstydziła i odwróciła wzrok. – Wiesz, co to znaczy stracić wszystkich. Przeszły to samo.

– Ale w tej całej... ambasadzie... Czy to bezpieczne? – Pryncypialność Samuela pękała. Polak chciał tylko odgonić wątpliwości.

– Mój drogi, kumple nagadali ci głupot o rzeczach, o których nie mają pojęcia. – Udała, że się obrusza. – Jesteś w zachodniej części Berlina. Dojechałeś tu przez NRD. Nikt nic złego ci nie zrobił. Ja żyję w tym mieście od końca wojny. Prawda, była ta cholerna blokada, ale to już przeszłość. Chcesz, pokażę ci potem sowiecki pomnik w brytyjskiej strefie. Wszyscy uczymy się jakoś żyć obok siebie. Tam na górze ktoś układa politykę, ale my, szare myszki, musimy sobie radzić. – Czekwała na reakcję przybysza, który tylko milczał i kiwał głową. – Trzeba nam dbać o siebie. Inaczej stare demony nas zniszczą.

– Czemu ty nie wyjeżdżasz? – zapytał Sami. Erika westchnęła. Stała i patrzyła milcząco prosto w oczy mężczyzny.

– Bo to jednak mój kraj. Jestem u siebie – odpowiedziała w końcu. – Ty chcesz do siebie, do swoich... Nie chciałeś do ziemi przodków – dodała zaczepnie. – A mogłam i to zorganizować. Tam potrzeba ludzi. Silnych, chcących pracować. No, ale każdy decyduje za siebie. Ty, ja...

– Więc nic mi nie zrobisz?

– Oj, Sami. – Herpf miała już powoli dość jego uporu. Przyłożyła dłoń do serca. – Obiecuję. Dostaniesz glejt, że jesteś przesiedleńcem. Nie będą się ciebie czepiali na granicy. A potem już w kraju wydadzą ci nowe dokumenty.

– Skoro tak mówisz... Ale co z nami? – zapytał wprost Samuel. Erika powstrzymała śmiech.

– Możesz zostać u mnie kilka dni – oznajmiła łaskawie. Teraz ona przyglądała się towarzyszowi. Nawet go polubiła. Starła się, a ona potrzebowała nieco rozrywki. – Odsapniesz, poukładasz myśli. – Rzykowała, gdyż chłopak mógł zmienić zdanie w kwestii wyjazdu.

– Nie o to chodzi! – Ujął jej dłonie i przyciągnął do siebie. – Myślałem, że udałoby się... No wiesz...

– Młody człowieku! – Komicznie odegrała starszą belferkę. – Nie zapominaj się. Można się pobawić, ale widzimy się trzeci raz. Chłopaku, chcesz się wiązać ot tak?

– Kto wie, może chce? – Ton głosu Samiego stał się lekko lubieżny.

– Znudzę ci się. Zresztą będziesz miał co innego na głowie. Poszukasz swoich, urządzisz się... Pamiętaj, co ważne w życiu. Stabilizacja, a nie bezsensowne chodzenie z kąta w kąt. Potem możesz mnie odwiedzać. Albo ja ciebie... – dodała wspaniałomyślnie. – Na razie za wiele nie planuj. – Spojrzała na zegar na budynku dworca. – No już, Samuelu, czas leci. – Pociągnęła dłoń mężczyzny. Akurat od strony ogrodu zoologicznego nadjeżdżał autobus linii 19. – Najpierw obowiązki, potem przyjemności! – Wskażała piętusa i zaczęła szukać w torebce drobnych na bilet.

Charles „Greenman” Zielinsky patrzył w milczeniu na domy przesuwające się za oknem auta. Był pasażerem, siedział na przednim siedzeniu bmw. Berlin tego poranka był szary, tonął w ślocie przedwiośnia. Dzień zapowiadał się ponuro. Ludzkie zmysły nie potrafiły się obudzić, jakby noc wcale się nie skończyła. Na moment przestało padać i tylko wiał lodowaty wicher. Nieustępujące chmury ponad miastem zapowiadały kolejne opady śniegu z deszczem.

– Zima zawsze jest do dupy. – Hugh pokręcił głową, przyglądając się mijanym domom i ruinom. – Najlepiej jest tu późną wiosną i latem. Dziewczyny odsłaniają, co mogą. – Tracił Charliego łokciem, szczerząc zęby, ale kumpel nie zareagował. Charlie pomyślał tylko: „Co ty wiesz o zimie?”

– Potem jesień i już robi się ponuro. Niestety, to jednak ciągłe zadupie...

– I tak naprawdę, ciasne, małe miasto. – „Greenman” przemówił wreszcie, nie odrywając oczu od krajobrazu. – Nie ma gdzie się wyrwać. Wannsee to jedyne urokliwe miejsce, co?

– Może i tak, może i tak... – Hugh powtórzył, skręcając w kolejną ulicę. – Nie pociaszę cię zbyt. Będziesz musiał tu posiedzieć. – Kolejne zdanie młodego agenta zabrzmiało prowokacyjnie i wręcz głupeczo. Charles przekreślił głowę, marszcząc czoło, gotów nawet coś powiedzieć żartownisiowi. – Stary jest surowy, ale docenia dobrych ludzi i inicjatywę. Za to nie odsyłają na zachód, nawet jeżeli to miasteczko zawiodło twoje oczekiwania. Ty inicjatywę właśnie wykazałeś. A że przeszarżowałeś i narobiłeś kłopotów...

– Dłatego dzieliłeś mnie w łeb? – wtrącił ostrzej „Greenman”.

– Nie ja, tylko Kermit. – Szofer ściszył głos. – Ale widać musiał. Reagował w stresie. Ledwo cię wyciągnęliśmy. Pamiętaj o tym i nie rób więcej awantur.

– Ja robię awantury? Walicie po głowie swojego, a kiedy żądam wyjaśnień, wysyłacie na samą górę?

Hugh znów kpiąco się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Sam wiesz, że w tej pracy wszystko jest popieprzone.

– Może to firma, a może to miasto? – Zniechęcony „Greenman” założył ręce na piersi i znów zaczął gapić się przez szybę. Układał w głowie różne warianty czekającej go rozmowy. Przypuszczał, że spieszył coś albo był blisko rozwalenia czegoś, co szykowali miejscowi. Nie zamierzał odpuścić, przecież nie był chłystkiem i nowicjuszem. Sporo przeżył i nie godził się na brak zaufania. Miał zamiar walczyć.

Wóz przemknął południowymi ulicami, ale nie wjechał w dzielnicę Lichterfelde ani bliżej lasu Grunewald. Gdzieś tylko mignęła wieża modernistycznych koszar imienia generała McNaira, dawniej budynek Telefunken. Zielinsky rozumiał, że trzymali się z dala od koszar, biur armii USA i dowództwa. W ich przypadku było to absolutnie zabronione. Komórka McIntosha pozostawała oderwana od sił amerykańskich i korpusu dyplomatycznego. Ktoś wymyślił, by spróbować ukryć powiązania takich tajnych struktur od wszystkiego co amerykańskie. Przynajmniej próbować, jak długo się dało.

Hugh robił, co mógł, by trzymać bezpieczny dystans od oficjalnych obiektów. Kręcił się po uliczkach, czasem jeszcze zupełnie zrujnowanych, by nie wejść w zakazany rewir. Znał miasto bardzo dobrze i dokładnie opracował trasę na tak ważne spotkanie. „Duży szef” nie mógł się z nimi spotkać ot tak, przy Föhrenweg na kawie. Firma miała tam siedzibę zwaną berlińską bazą operacyjną albo Stacją Berlin. Powstała zaraz po wkroczeniu Amerykanów do miasta, po podpisaniu porozumienia z Sowietami, w lipcu 1945 roku. „Greenmanowi” tę lokalizację pokazano, a i to z daleka. Urokliwa, wyłożona kocimi łbami ulica willi skrytych pod osłoną drzew. Dzielnica, na którą spadło zaledwie kilka bomb w czasie wojny.

Bmw kierowało się w inny rewir. Do bardziej dotkniętego nalotami i ostrzałem, ale równie urokliwego Steglitz. W płątaniu ulic, rysujących równe kwartały, ziały gdzieniegdzie puste przestrzenie. Ale wiele kamienic i willi przetrwało. Były odrestaurowane, nawet wytwornie. Wóz zatrzymał się przy jednym z takich domostw. Kilkupiętrowa secesyjna kamienica z półokrągłymi zabudowanymi balkonami, odbudowana bez większego starania i przywiązywania wagi do ozdób. Jedna z kilku w rządzie, osłonięta nagimi drzewami. Hugh zgasił silnik.

– No to co? Trzeba iść.

„Greenman” wysiadł i nałożył kapelusz. Powietrze było wilgotne i przesywająco zimne. Rzucił okiem na budynek, w którym, jak się domyślał, firma miała lokal konspiracyjny. Może nawet cały budynek należał do Amerykanów i ich „słupów”. „Ciasne miasto, psia krew” – pomyślał, przeskakując kałużę przed wejściem. Wspięli się szeroką klatką schodową na ostatnie piętro. Hugh zadzwonił do drzwi. W wejściu pojawił się uśmiechnięty Kermit.

– Zapraszam. – Cofnął się i podał rękę Charliemu. „Greenman” uściśnął ją niezgrabnie, ciągle pełen goryczy z powodu incydentu na granicy dwa dni wcześniej. – Nie pomyślę się, jeżeli zgadnę, że chcesz kawę? – rzucił gospodarz, zamykając drzwi.

– Poprosimy. Dziś to nieodzwonne. – Hugh odpowiedział za nich obydwu.

– Wysoki sąd już jest? – Charlie zdjął płaszcz i kapelusz. Bez emocji patrzył na Kermita. Chciałby mieć wszystko za sobą i najchętniej darowałby sobie też wszystkie komedie. Udawał, że nic się nie stało.

– Sąd? – Kermit skrzywił się jak obrażony. – W salonie. Wy tłumaczy ci. – Zabrzmiało nieuprzejmie, ale Zielinsky nie chciał wszczynać kłótni.

Do urządzenia mieszkania wykorzystano chyba wszystkie meble, jakie udało się odnaleźć po wojnie. Salon i jeden z pokoi wyglądały, jakby trwały tak od trzydziestego dziewiątego roku. Ciężkie stoły, lustra i bibeloty wykonano w pruskim stylu. Inne pomieszczenia były pełne przedmiotów, które świadczyły o tym, że wymieszały się tu różne gusty. Było tu wszystko, łącznie z wyposażeniem dowożonym z USA albo kupowanym od nowych, niemieckich dostawców. „Greenman” dostrzegł łysego, dość krępego mężczyznę z linią cienkiego wąsa pod nosem. Ten czekał w głębokim skórzanym fotelu przy szklanym stoliku kawowym. Obok siedział McIntosh. Dobrze skrojone trzyczęściowe garnitury i wypolerowane buty dodawały im powagi. Obydwa panowie wyglądali tego dnia jak bankierzy gaworzący sobie na przerwie w jakimś klubie. Filizanki z kawą, kieliszki z brandy i talerzyki ciastek spowiły dym z cygar i papierosów. Zielinsky’emu przyszło na myśl, że przypomina to sesję zdjęciową do sowieckiej propagandy, która z lubością przedstawia Zachód jako zbiorowisko zapijaczonych, knujących wyzyskiwaczy, pławiących się w luksusach. Zaciśnął wargi, żeby się nie uśmiechnąć.

– Dzień dobry! – Stał w rozsuwanych drzwiach i skinął głową.

– O to i nasz krewki kolega. – McIntosh wstał, obciągnął marynarkę i wskazał na „Greenmana”. – Richard Rotte – przedstawił go, używając pseudonimu.

– Dzień dobry – odparł łysy. – Zamknij drzwi i podejdź. – Pokazał krzesło przy stole. – Powinienem powitać cię wcześniej, jak robię z każdym nowym pracownikiem, ale musisz mi wybaczyć. Mam mnóstwo pracy. – Nie czekał, aż Charlie podsunie siedzisko. – Rozmawiamy tu sobie o pewnym wypadku, nieporozumieniu, jakie miało miejsce ostatniej soboty. Wiem, o co chodzi. Wiem też, że jesteś rozżalony...

– Nie jestem rozżalony – wtrącił impertynencko „Greenman”. – Nie rozumiem, dlaczego ktoś z ekipy wali mnie w łeb, a na dodatek przyznaje się do tego. – Przerwał, kiedy McIntosh chrząknął teatralnie.

„Big Bill” (jak przezywano Williama „Kinga” Harveya) miał coś w sobie z wielkiej osobowości. Nie chodziło nawet o jego rozmiar. Był bezpośredni, kiedy trzeba. Krążyły o nim legendy. Potrafił dopaść kogoś, kogo podejrzewał o zdradę, a wtedy nie odpuszczał nawet jego najbliższym. Jeżeli nabrał podejrzeń, to wiedział, że ma rację. Teraz patrzył na Charlesa Zielinsky’ego tymi okrągłymi, lekko napuchniętymi od nadużywania alkoholu oczami i badał go niczym jakaś wróżka, widząca ludzką duszę. „Greenmanowi” zrobiło się nieswojo i zaczął się wiercić, z trudem nie odwracał oczu od spojrzenia szefa. Lubił wypić, jak mówiono, ale znał swój fach.

– Charles „Greenman” Zielinsky. – Łysy wąsacz pochylił się w fotelu i splótł dłonie. – Polski Amerykanin, weteran z piękną kartą wojenną. Trafił pan do nas kilka lat po demobilizacji... – zaczął monotonnie wyczczać, choć Charles nie wiedział po co. – I od razu został rzucony na głęboką wodę, o ile pamiętam. – Cienki wąsik skrzywił się, kiedy Harvey się uśmiechnął, łypiąc na McIntosha. Zielinsky zaczynał podejrzewać, że jego bezpośredni przełożony mógł nie wiedzieć wszystkiego, zwłaszcza o misji ratunkowej w Polsce. Może nawet nie podsunęto mu informacji o misji w Azji.

– Zgłoszono cię do działań w Japonii? – „Big Bill” zapytał retorycznie. – Długie szkolenie, nauka chińskiego, dobór zespołu, a potem... porażka. Choć nie z twojej winy. Wiele grup zrzuconych na tyły tak kończyło. Fatalne kadry... ich dobór. No, ale to były początki. Choć uważam, że popełniono błąd, wysyłając cię na drugi koniec świata. – Oparł się w fotelu, znów patrząc na McIntosha, który słuchał zainteresowany, maskując zaskoczenie.

– Wróg jest jeden, choć wbrew pozorom inny w różnych miejscach, że tak powiem. Wszystko zależy od kodu kulturowego. Co innego Chińczycy, co innego Sowietci, wschodni Niemcy czy... twoi rodacy. Azjaci są brutalniejsi i wbrew ich własnej propagandzie nie są wysublimowani. Mogli was wystawić

w trakcie zadania albo ciągnąc to miesiącami, sabotować. Wiem, to mogli być amatorzy, których dopadł stres. Udawanie podczas szkolenia przez tak długi czas musiało się odbić na psychice. W Polsce wróg rozegrał to lepiej². Ciągnął długo, ale poległ. Krótko mówiąc – podniósł głos wiedząc, że przynudza – Charlie jest wyczulony na zdradę. Przez doświadczenie, ale też jako ktoś, powiedzmy, mentalnie nowy w naszym środowisku. Trochę jak ja. – Spojrzał w oczy Zielinsky'ego. – Sam przyszedłem z FBI. Nasi koledzy tutaj otarli się o OSS i misje za granicą. My nie. Przynajmniej nie pod przykryciem.

„Greenman” uznał, że łysy próbuje nawiązać nić porozumienia, szukając podobieństw. Wiedział też, że Harvey wie, że on wie, ale przednio się bawi.

– Całe szczęście, że trafiłeś tutaj... – pochwalił wreszcie. – To dla ciebie dobre miejsce. – Wskazał palcem za okno. – Berlin. Istny dom wariatów. Mała wyspa na czerwonym morzu, otoczona przez piratów. I to takich, którzy chcieliby tu wleźć i nas sobie podporządkować. Tak bez wojny. Choć wydaje mi się, Charlie, że gdyby taka wybuchła... co najmniej raz było blisko... rozwalenie nas nie trwałoby długo. Jesteśmy przecież tylko kamieniem, o który ruscy się potkną, ale który ich nie zatrzyma. To miasto to takie szaleństwo, bo z jednej strony wkurzamy tamtych, a z drugiej dajemy możliwości. Zawsze jeden z drugim ma dokąd uciec, kiedy chcą go wysłać na Syberię! – Zaniósł się śmiechem. – Kiedyś pracowałem w Waszyngtonie. Miałem pod kontrolą pół Ameryki, dziś mam... pół miasta. – Zasępił się, ale zaraz dodał: – Pracujemy w najważniejszym mieście na świecie. Najniebezpieczniejszym dla nas, dla firmy. Ciągle, każdego dnia dzieje się tu coś kluczowego. – Zrobił niespodziewaną pauzę i sięgnął po kieliszek. Upił spory łyk, co wyraźnie sprawiło mu przyjemność. Zakręcił płynem i patrzył na niego, mówiąc dalej. – Nieomal zaprzepaścieś kilka miesięcy pracy twoich kolegów. – Napawał się nerwową reakcją „Greenmana”.

– Słucham? – Polak prawie poderwał się z krzesła. – Chciałem pomóc zbiegowi. Zgubił się w śnieżycy, wśród ruin... Zostałem ogłuszony, a facet został złapany!

– I wszystko skończyło się dobrze. – „Big Bill” znowu się napił.

„Greenman” opadł na siedzenie i rozdziawił usta. Przeżył już trochę w życiu, ale nie sądził, że da sobą tak manipulować.

– Posłuchaj... – McIntosh przejął pałeczkę. – Jak mówił Bill, to skomplikowana operacja. Nie mówiliśmy ci dokładnie, o co w tym chodzi...

– I to jest nasz błąd, przepraszamy – wszedł mu w słowo Harvey. – Potraktowano cię jak nowicjusza. Żle cię oceniliśmy. Ale to zwykle niedopatrzzenie, głównie moje. – Położył dłoń na piersi. – Zgłosiłeś się do placówki berlińskiej, zaopiniowałem to pozytywnie, bo potrzebujemy ludzi z doświadczeniem, językami. Znasz ile? Trzy?

– Chiński: kilka zwrotów. Rosyjski słabo. Trochę odświeżyłem polski. Niemiecki z czasu wojny, a i ojciec mnie uczył... – „Greenman” był rad, że wreszcie ktoś zwraca uwagę na jego atuty. Zaraz zapytał jednak: – Jeżeli można, o co tu właściwie chodziło?

– Trzeba nam było skompromitować jednego skurwysyna – odparł twardo McIntosh.

– Tak – potwierdził Bill. – Mamy na celowniku paru skurwieli, którzy w czasie wojny pracowali dla OSS, bo wróg był jeden. Hitler. Tyle że gnojki robili też dla Sowietów, nadszarpując zaufanie kilku ważnych ludzi. W tym moje... – Zabrzmiało to bardzo złowrogo. – Skurwiele uznali, że lepiej im będzie po czerwonej stronie świata. Potwierdzili swoją zdradę, więc mścimy się, kompromitując ich. Niech Sowietci myślą, że to nasze wtyki. Wierz mi, to działa. To nie tylko zemsta, ale niezłe zamieszanie. Ten z soboty chciał uciec na Zachód. Wiedzieliśmy od naszej agentury, więc przygotowaliśmy ucieczkę. Ale towarzysz musiał zostać złapany. Tyle tylko że to zamieszanie dało tropiącym go tyle dowodów na jego powiązania z nami, że beknie. A na torturach sprzeda pół rodziny oraz współników i przyjaciół. – „Big Bill” zapalał się do tej wizji, miał minę obłąkanego sadysty.

– Dobry Boże... – „Greenman” przelknął ślinę. – On nawet nie był od nas?

– Nie – potwierdził McIntosh. – To Czech. Tyle możesz wiedzieć. Dostał namiar na Kermita i chłopaków przez naszych „podwykonawców”. Resztę zrobiliśmy my, dyrekcja planowania. Komuch sądził, że

odbiera go jakaś niemiecka bojówka pomocy z Zachodu. Dopiero pod sam koniec odkrył, że to Amerykanie.

– Twoja interwencja dodała autentyzmu całej zabawie. – Harvey dorzucił przerażający wniosek.

– Wystawiliście mnie. – Zielinsky zrozumiał, ale nie miał sił się zdenerwować.

– Bez przesady! – McIntosh zbył go machnięciem dłoni. – Uznaliśmy, że będziesz wypełniał rozkazy. Miałeś zwięzać do granicy, jak tylko zaczną strzelać, i nie myśleć. Ale natknąłeś się na pana... XYZ, powiedzmy.

– Co z nim? – „Greenman” odważył się zapytać.

– Też dostał w łeb i został przed granicą – „Big Bill” nie bawił się w sentymenty. – Opowie, że nie wie, co się stało. Może, że przywalił mu gliniarz. Nieważne. Udało się. – Zerknął na zegarek i wstał. Zielinsky chciał zrobić to samo jako wyraz szacunku, ale Bill go powstrzymał. Trzymając dłonie za plecami, przeszedł wokół stołu.

– Żeby nie było niejasności. Wykazałeś się, a to u nas ważne. Spostrzegawczość, zaradność i takie dyrdymały. Nie jesteś świeżakiem. Dlatego jesteś tu potrzebny. Zamiast ponosić konsekwencje służbowe, gadasz sobie z nami. Gdyby w sobotę poszło gorzej, cóż... wszystko spadłoby na mnie. Moje niedopatrzenie. Ale ani mnie, ani ciebie nie wykopaliby z powrotem do Frankfurtu. Wiesz, czemu? – Oparł się o blat. – Po pierwsze firma ciągle cierpi na brak obytych z tematem kadr. Wojna z czerwonymi w połowie świata i takie tam. Co ważniejsze, takich akcji jak ta sprzed dwóch dni prowadzimy o wiele więcej. Placówka, agenci pod przykrywką dyplomatów i wy, zespół planowania. To się nigdy nie kończy i nie skończy, mój drogi panie „Greenman”. Są tylko sprawy mniejsze i większe. Ty przydasz się kiedyś do tych dużych. Bo masz zmysł, nie boisz się i nie pracujesz dla pieniędzy. Ale dla idei, nieprawdaż? Wiedziałeś od dawna, z jakim wrogiem się ścieramy. – Znowu badał „Greenmana”, usiłując przeniknąć w głąb jego myśli. „Dodałbym: dla adrenalinowego kopa” – powiedział prawie na głos. Pokręcił głową z niedowierzaniem i kpiącym uśmiechem.

– Jeszcze nigdy nikt tak elegancko i zawiłe nie udzielił mi reprimendy. Wyrazy uznania, panowie.

– Nikt cię nie opieprza. – McIntosh dźwignął się i stanął nieruchomo. – Masz smykałkę, choć musisz panować nad emocjami...

– Przydasz się, chłopcze, jeszcze się przydasz. – Harvey zmrużył oczy, jakby widział coś w wyobraźni. Jego słowa brzmiały jak solenna obietnica. – Teraz napraw stosunki z kolegami. Niepotrzebne nam niedomówienia. Kermit ratował misję. Musisz mu wybaczyć. Idźcie paczką na piwo albo uchlajcie się w mieszkaniu. Wiesz, że innych rozrywek z hamburgerem i wiśniowym plackiem w naszej wojskowej stołówce tu nie doświadczysz. I spokojnie. Jesteś nowy w tym mieście. Dostaniesz nową robotę i zobaczysz, jak wiele rzeczy tu jest kłamstwem. Nieraz się zdziwisz, Charlie...

„Greenman” wstał.

– Proszę wybaczyć... Postaram się nikomu nie ufać. – Powiedział zgryźliwie, ale to spodobało się „Big Billowi”. Podał rękę podwładnemu i poklepał go po ramieniu.

Erika szła ulicą, co kilka chwil skręcając w boczne przejścia. Mijała wypalone puste domy. Na rozległych otwartych podwórkach pełnych gruzu bawiły się dzieci. Kobiety rozwieszały pranie, korzystając z chwili znośnej pogody w ten marnocowy poranek.

Herpf marzła. Sarkała w myśli na siebie, że włożyła zbyt lekkie buty jak na tę porę roku. Trzymała zaciśnięty kołnierz płaszcza pod szyją i starała się nie wejść w kałuże, tutaj przypominające małe stawy. Minęła ucięte ściany jakiejs fabryczki i weszła za węgiel. Plac zakładu był otoczony ścianami hal o oknach bez szyby, zasłoniętych kratami. Wiatr świstał w dziurach i toczył gdzieś jakiś blaszany przedmiot. Erika podeszła do okienka piwnicznego i wyciągnęła wewnętrzną cegłę. Pod nią znalazła kopertę z nawoskowanego papieru. Zabrała przesyłkę i umieściła cegłę na miejscu, mocno dociskając. Przeszła

spory kawałek, wynajdując załom w ścianie, w którym trudno byłoby ją dojrzeć. Rozszarpała kopertę i zaczęła pochłaniać wzrokiem wiadomości zapisane na dwóch kartkach. Jedną uradowała i dodała jej wigoru, za to drugą niweczyła wszystko. Erika zakłęła bezgłośnie. Wiedziała, że długo nie będzie mogła liczyć na chwilę oddechu. Oczy zaszyły jej łzami w bezsilnej złości. Tylko tak, na pustym placu, bez świadków, mogła poddać się smutkowi. Od dawna nie zwykła okazywać słabości przy innych. Krople zimnego deszczu zaczęły kapać na listy. Kobieta uniosła głowę.

– Jeszcze ta cholerna pogoda... – szepnęła i zamknęła oczy, pozwalając, by zmoczył ją deszcz. Przypominała sobie nieprzemijający upał, błękitne niebo daleko, daleko stąd. Blaszyany kubek zachrobotał po asfalcie, wrywając ją ze strumienia wspomnień. Erika wróciła do rzeczywistości. Nabrała powietrza i podała papiery. Sięgnęła po zapaliki i podpaliła korespondencję, pilnując, by popiół rozniósł się po okolicy. Znów ścisnęła płaszcz i nasunęła głębiej kapelusik. Była gotowa ruszać dalej, do pracy.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziała Erika, stojąc w progu księgarni. Zanim zamknęła drzwi, zaczęła ściągać prawie zupełnie mokry płaszcz.

– Mogłaś wziąć parasol – zauważył Morris, ruszając, by pomóc zdjąć płaszcz koleżance.

– Mogłam. Wiele rzeczy mogłam... – odparła poirytowana protekcyjnym tonem. – Coś się działo? Ktoś przechodził?

– W taki dzień? – Stary Johann wzruszył ramionami, nie wstając zza kontuaru. W księgarni (podobnie jak na zewnątrz) było ponuro i raczej sennie. Tylko światło lampki na sekretarzyku odróżniało to miejsce od zamkniętych lokali.

– Listonosz był. – Starszy pan pacnął się w czoło. – Tuż przed otwarciem. Gdzie ja to... A, wiem. – Wygrzebał z szuflady kilka listów. – Rachunki, zapytania, ale pewnie raczej o twój stan cywilny niż o nowe książki – naigrywał się, machając kopertami słanymi z alianckich baz. Różni przychodzili tu żołnierze, urzędnicy. Przyciągała ich nie tylko renoma miejsca, ale i opowieść o samotnej, nie najbrzydszej pani właściciel. Potem zaczynały się flirty korespondencyjne. Nikomu nie udało się zdobyć Eriki. A może udało, ale ona nie chciała niczego więcej? Johann nie wnikał. On też kiedyś był młody i pamiętał atmosferę Berlina lat dwudziestych. – I jest jeszcze pocztówka. – Wyciągnął kartonik z widoczkiem i pomachał.

– Skąd? – zapytała nerwowo Herpf.

– To ci dopiero! – Starszy pan uniośł brwi. – Ze wschodu, z Polski. – Podał kartkę niecierpliwiej szefowej. Ta przeczytała krótki tekst.

– *Pozdrawiam z mojej Warszawy. Jest inaczej. Mimo to dziękuję za wszystko.* – Przeniosła spojrzenie na Morrisa. Przyglądał się jej bacznie z zaciętą miną. – Nie podpisał się, ale wiem, kto to – powiedziała, udając, że korespondencja jej nie obchodzi. – Zadowolony klient po prostu.

– Musisz się ogrzać. – Francuz zamknął drzwi, złapał kobietę za łokieć i poprowadził na zaplecze, zostawiając skonfundowanego Johanna samego.

– To ten z Monachium? – zapytał ostro Morris, łapiąc się pod boki.

– Tak, to ten. Odstawiłam go za granicę.

– Szybko się uwinęłaś. Spotkania z wydawcami, co? Mogłem to przewidzieć. Czemu, do cholery, śle listy na adres sklepu? Chce nas wyspać?

– Daj spokój. – Erika zdjęła wolno rękawiczki, udając, że ogląda paczki z książkami. – Nie podpisał się.

– Ale adres, kobieto, podał adres. – Morris uderzył dłonią w dłoń. – Nikt nie pisał do nas ze wschodu. Mieliśmy być czyści! – syknął, patrząc, czy Johann nie podsłuchuje. – Zgodziłem się pomagać ci pod

warunkiem, że będzie bezpiecznie. Teraz ten twój kochaś nas wystawił na widok. Prędzej czy później zaczną się nam przyglądać...

Erika słuchała cierpliwie, poprawiając włosy. Kiedy Morris skończył, uśmiechnęła się ciepło i podeszła bliżej, kładąc ręce na jego ramionach. Zamarł, poddając się kobiecie, patrząc w jej oczy jak królnek na wilka.

– Przesadzasz... – szepnęła stanowczo do ucha. – Prowadzę legalny interes. Mamy łączyć kontynent. Wysłać ludzi na wycieczki, sprzedawać im książki. Kontakty ze wschodem to przyszłość. Nie martwiłabym się. Kartka to nie problem. – Musnęła policzek mężczyzny, udając, że go całuje. Prawie słyszała bicie jego serca. – Towarzysz Samuel zachował się roztropnie. Użył adresu sklepu, a nie twojego mieszkania na poddaszu. Zresztą nasza księgarenka musi mieć reklamę. Chcemy więcej klientów.

– Przynajmniej zapłacił. – Morris wodził za ustami kobiety coraz mniej przytomnym wzrokiem.

– Oczywiście. – Erika cofnęła się, poważniejąc. Znowu zachowywała się normalnie, choć nieszczęsny Francuz czekał na ciąg dalszy. – Co do feniga – uściłiła. – No, dość tych tajemnic. Zrób nam kawę, skocz do piekarni po bułki. Może jeszcze im zostały. – Zaklaskała, a Morris poszedł po kurtkę, bez słowa sprzeciwu. Herpf patrzyła, jak wychodzi, starając się uspokoić. Ten niski Francuz miał rację. Na szczęście potrafiła okiełznać jego obawy. Musiała komuś powiedzieć o niebezpieczeństwie, jakie mogło się pojawić. Każdy z pozorów niewiele znaczący szczegół mógł być problemem. Zwłaszcza kiedy jeszcze dodawano jej zadań.

* * *

Samuel Puławski nie miał ochoty wstawać z posłania. Nakryty cienką kołdrą i dziurawym kocem, tkwił w łóżku, bojąc się rozpocząć nowy dzień. Głowa pulsowała bólem. Był zmęczony, ale już nie potrafił spać. Na ulicy Konopnickiej słychać było gwar poranka. Ale przybysz z innego świata nie miał ochoty przyglądać się miastu. Bał się odsłonić kotarę. Tkwił w emocjonalnym dole jak zwierzę w potrzasku. Usiłował zebrać myśli i znaleźć jakieś rozwiązanie. Potrzebował spokoju. Czasu dla siebie. Wołał pozostać w mroku. Ale to nie było mu dane.

Tłum mieszkańców budynku dawnej polskiej YMCA kręcił się po korytarzach, rozmawiał, przeniósł jakieś pakunki. Przebywający tu ludzie byli bezdomni, czasem bezrobotni, niektórzy mieli tylko dorywcze zajęcia. Gnieździłi się w ciasnocie albo tkwili w pojedynczych klitkach pełnych dobytku uratowanego z wojny. Ci ostatni mogli uważać się za szczęśliwców. Sami dostał tylko skrzypiące łóżko i pościel. Nie liczył szafki, krzesła oraz stolika z lampką. Poobijana cynowa miska, mimo że stanowiła jakąś namiastkę luksusu, budziła w nim obrzydzenie. Nic więcej nie istniało. Z tego, co się dowiedział, zdobycie lepszego wyposażenia, nawet tak mikroskopijnego pokoju, graniczyło z cudem. Było celem prawdziwego polowania, jakie tysiące Warszawiaków urządzało codziennie, bijąc się o poprawę bytu w mieście, które jednocześnie odbudowywano i niszczone w ramach socrealistycznych projektów. Na końcu korytarza stukała maszyna do pisania. Odgłosy uderzonych klawiszy i dzwonek informujący o końcu wiersza doprowadzały Puławskiego do furii. Nakrył się poduszką, ale to niewiele pomogło. Mieszkający tu dziennikarz przestał stukać w klawisze. Sami usłyszał kroki i ktoś zapukał do drzwi. Puławski nie chciał nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać, ale gość był natrętny i nie przestawał pukać. Samuel zwłókł się niechętnie i na trzęsących się nogach podszedł do wejścia. Uchylił drzwi.

– Taaaa...? – wymamrotał.

Na korytarzu stał nieco starszy od niego mężczyzna. Był chudy, a nawet cherlawy. Miał zaczesane do tyłu czarne włosy i orli nos. Uśmiechał się szeroko. Ubrał się w podomkę, którą narzucił na koszulę i spodnie od garnituru. Charakteryzowała go elegancja, jakiej Samuel nie widział w stolicy przez kilka ostatnich dni. W jednej ręce trzymał talerz z kromkami chleba posmarowanymi chyba twarogiem. W drugiej zaś otwarty słoik z sokiem z ogórków. Prezent od dobrego przyjaciela Stefana, na „wynaganiu” w Krakowie.

– Pomyślałem, że ci się przyda... Nie wstajesz, a już po dziewiątej.

Samuel otworzył szerzej drzwi. Wyrwał zapalczywie słój i zaczął pić. Kiedy opróżnił naczynie mniej więcej do połowy, przetrął usta z ulgą.

– Cześć! – Wreszcie się uśmiechnął. Wykonał niezgrabny gest zapraszający do środka. Dopiero teraz spostrzegł, że stoi w samym podkoszulku i gaciach. Odłożył słój i zaczął szukać portek. Leżały na oparciu łóżka. Sąsiad wkroczył do pomieszczenia, otaksował go krótkim spojrzeniem, ale nie powiedział słowa. Spodziewał się u nowego kolegi syndromu dnia wczorajszego połączonego z depresją. Jego pomieszczenie było podobnej wielkości. Sąsiad odsunął kotarę w oknie. Widok za nim nie nastrojał optymistycznie. Dzień był ponury. Niektóre domy w pobliżu ciągle obstawione były rusztowaniami.

– Szok poznawczy nie mija, co? – Dziennikarz obrócił się i wyciągnął pomietą paczkę papierosów.

– Co proszę? – Puławski był prostym chłopakiem, nienawykłym do takich sformułowań.

– Tego się nie spodziewałeś? – Sąsiad lekko się uśmiechnął i podsunął bliżej papierosy. Sami wyciągnął jednego i poczekał na zapalną. Zaciągnął się i, kaszląc jak stary gruźlik, usiadł na łóżku, by znaleźć koszulę i sweter.

– Tęsknota mnie zabijała, redaktorze. – Zwrócił się do gościa w ten sposób, gdyż znów zapomniał imienia faceta, który opiekował się nim od przyjazdu. Redaktor podsunął sobie krzesło. Patrzył na chudego przybysza, miotającego się w klitce jak ranny zwierz.

– Kilka dni takiego picia i się wykończysz. To raczej nie z radości? – Zaciągnął się papierosem. – Wiesz, mi przez głowę by nie przeszło, żeby pchać się tu. – Powiódł dłońią po suficie. – No, ale ty nie wiedziałeś...

– Nie, nie wiedziałem, jak to wygląda – sapnął Puławski. – Swoich chcę odszukać. Może kto przeżył. Muranów...

– Tak, mówiłeś. – Redaktor zrobił poważną minę. – Ja, bracie, też się tułałem po Europie i musiałem udawać. Zarówno jeśli chodzi o narodowość, jak i o profesję. Dlatego żyję. Ale w twoim przypadku... Wybacz, będzie trudno, i to bardzo.

Puławski zamarł zapatrzony na ścianę przed nim. Być może trzeźwiał, zaczynało do niego docierać, w jakie kłopoty wpadł.

– Pogodziłem się. Przez Czerwony Krzyż szukałem. – Znów rozglądał się za ubraniami, udając hardego i oswojonego z samotnością.

– To było zostać. Byś sobie tam jakoś ułożył wszystko. – Redaktor nie wytrzymał i podniósł głos. – Awitaminoza, nędzne grosze jako zarobki, brak wszystkiego – zaczął wylizywać z mocą i przekonaniem, jakby mówił w imieniu wszystkich skonfundowanych mieszkańców schroniska. – Pewnie coś przywoziłeś z gotówki. Może ubrań. Przeżyjesz rok, może więcej, ale potem... Chyba że cię będą pokazywać jak małpę w cyrku, żeś wrócił, ale to potrwa parę tygodni. Potem znajdą kolejnego na twoje miejsce i koniec sławy. Albo co gorsza – przeląkł się wizji i ściszył głos, mrużąc jednocześnie oczy – bezpieka zacznie za tobą lazić. A to już pewna kaplica. Ty z Zachodu, normalnie szpion.

– Kolego... – Samuel się zdenerwował. Łeb znowu zaczynał napieprzać. – Po co przyszedłeś? Dręczyć mnie jak ta wasza... bezpieka? Wojnę przeżyłem, sam się musiałem ukrywać, więc wiem.

– Co wtedy, to wtedy. A teraz... Wtedy wiedziałeś, kto wróg. Ale ja ci kanapek narobiłem. – Pokazał talerz. – Wybacz, nic lepszego nie ma. Chleb wczorajszy i twaróg. Dobrze, że chociaż to jest. Tak sobie tu, w tym „raju” dogadzamy.

Samuel dźwignął się i bez entuzjazmu spojrział na poczęstunek. Zamiast tego wołał napić się jeszcze kwasu z ogórków i od razu zrobiło mu się lepiej.

– Kawy... kawy byś nie wypił, Leo? – Przypomniał sobie imię kompana od kieliszka i skrócił po amerykańsku.

– Masz? – Redaktorowi oczy błysnęły, kiedy szeroko je otworzył.

– Mam. Przywiozłem. – Samuel zaczął grzebać w plecaku. Wyciągnął puszkę, prezentując niczym trofeum.

Z parteru na piętro, na którym siedzieli obydwaj panowie, dobiegły podejrzone dźwięki. Były jak tłumiony gwałtownie krzyki, ni to radości, ni to podniecenia, pomieszany z tumultem biegających ludzi. Ktoś biegł po korytarzu i pukał w każde drzwi, coś szepcząc. Potem ludzie zaczęły wychodzić, dyskutując zawzięcie. Samuel nie zdążył złapać za klamkę, kiedy do pokoju bez pytania wparował Gienek. Niski, sprytny facet, przechwalający się półzawodową karierą bokserką. Był przewodnikiem Puławskiego po mieście. Wyznaczyła go Erika albo raczej ktoś z jej znajomych. Niemiłody, suchy zawiadaka o dużej wiedzy i koneksjach w światku ludzi stroniących od nudnego życia. Po prostu: szemranych typów, jak sam Gienek.

– Co za rozróżba? – Redaktor wstał z krzesła z papierosem w kąciku ust.

– Stałyn nie żyje! – powiedział wprost Gienek, hamując się, by nie wykrzyknąć tej nowiny.

Puławski nie uwierzył, sądził, że się przesłyszał. Zmrużył oczy i potrząsnął głową.

– Nie żartuj. – Papieros wysunął się z ust redaktora i spadł na podłogę.

– Jakże bym śmiał! – Posłaniec mimowolnie zaczął się uśmiechać. – Kojfnął stary dziadyga, zaprzaniec, lachudra historyczny, morderca... – wyliczał na jednym oddechu. – Szybko ludzie potrafią się dostosować do dobrego. Już nowy kawał krąży po Warszawie: Stałyn umarł. Jaki to czas? Najwyższy!

Redaktor podskoczył i klasnął w dłonie.

– Panowie, żyjemy! – Podał rękę Samuelowi, mocno potrząsając. – Widzisz, bracie, może jednak nie tak źle trafiłeś. Ale sprawa! A co piszą, gdzie mówią?

– Radio gęga od przed chwili. Żałobne woale każą na mieście po urzędach zakładać. Smutno szmondakom – referował wesolo Gienek.

– Znaczą się... Stalina nie ma. – Puławski jakby dopiero się ocknął. – Mamuńciu! – Zaraz dopadł go niekontrolowany, prawie dziki śmiech. Zaczął tańczyć w miejscu. Redaktor podchwycił ten wybuch radości, ale momentalnie przypomniał sobie, że jeszcze właściwie nic się nie zmieniło. Nie było w nim tyle poczucia wolności, co w gościu z Zachodu.

– Samuele! – upomniał gospodarza. Gienek przezornie przymknął drzwi, patrząc jeszcze, czy nikt nie zwrócił zbytnej uwagi na ten wybuch szczęścia. Przyłożył palec do ust i kręcił głową.

– Panie szanowny, panu jankeskie powietrze za bardzo we krew weszło... – mamrotał półgębkiem. – Tu niezdrowa aura panuje. – Widząc, że aluzje nie działają na skacowanego chłopaka, podskoczył i złapał za ramiona. Zaciśnął boleśnie palce i potrząsnął. – Niezdrowo u nasz tak się cieszyć. – Patrzył nieco przerażony w oczy Samuela. – Odziej się, kolego, zjedz co... – Wskazał talerz z chlebem. – I ruszamy na wycieczkę. Muszę ci pokazać, jak twój Muranów dziś się prezentuje. Poszukamy. Może kto od ciebie miał fart jak ty i wojnę przeżył. Koleżkę mam, co ludzi z Gęsiówki znał, co to powstanie przetrwały. Paru z getta też się znajdzie. – Wreszcie puścił Samuela. – No, dnia nie chce całego marnować. – Postukał w szkiełko zegarka. – Kumpły mamy wspólnych, ale i na pół lytra chleba przydałoby się zarobić.

– Oj, Gienuś, Gienuś, a gdzie ci się śpieszy? – przerwał redaktor.

– Pana szanownego głowa nie boly. – Bokser uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– A co, frajernie trza obskoczyć czy delegacje z prowincji, co do stolicy zjechała? – zakpił dziennikarz. – Pomóc przetrwać w nieutolonem żalu... – dodał ze stroskaną miną i jednocześnie puścił oko.

– A nawet jeżely – Gienska to nie obrażało. Wzruszył ramionami i poprawił pasek u spodni. – Pan wiesz, jak jest i jak być musi. Na budowę socjalizmu, na podaj cegłę to się człowiek nie nadaje. Na zdrowiu zbyt słabowitem jest. – Z całą powagą krył niechęć do otaczającego ich ustroju. – Ciężkie i gorące cegły tak jak mróz na nasze doliniarskie palce szkodlywe są. To jest w ogóle skandal – rozkręcał się Gienek – że mnie mylicja gania. Przecież człowiek żyje z uczciwej pracy rąk... A pan redaktor – kontynuował – mnie i tak podziękuje, jak będzie chciał, jakie mądre historyjkę do szmatławca wysmarować. – Mrugnął okiem, znając swoją przewagę. – A teraz to byście mnie papierosem poczęstowali. Wiem, to nie sportowo, ale mnie taka nerwa po tych dobrych nowinach wzięła...

Redaktor westchnął i podał paczkę bokserowi.

– Świat mały... Że wy się znacie. – Samuel słuchał, wzuwając buty.

– Świat, stolica... – Redaktor podpalił Gienkowi. – To raczej dziwne, że ciebie znalazł. Szaleńca, choć lepiej byłoby powiedzieć: wariata z Zachodu. Ale teraz to wszystko do góry nogami. No, panowie! – Poprawił podomkę. – Strach strachem, a historia się dzieje. Jak sprawy załatwicie, to dziś musowo trzeba toast wznieść...

– Się rozumie! – Gienkowi oczy błysnęły. – Chociażby za lepszą przyszłość. – Uśmiechnął się szeroko. – No, a teraz, Samuel, idziem. Wóz czeka. Popatrzym, jak się stolyca raduje w tak wielki dzień. – Otworzył drzwi, wskazał na korytarz i po chwili dodał: – Panowie, a jakby tak ta łachudra za miesiąc kojfla, ale ludziska na rezurekcji z pełnej piersi by śpiewały „Wesoły nam dzień dziś nastał”.

– Panowie! – Leo nagle spowaźniał. – Przypominam, że mimo wszystko nie przesadzajmy z tą radością.

– Co fakt, to fakt, szanowne panowe – wtrącił Gienek. – Bezpieczna władza nie ma poczucia humoru.

* * *

Lokal cuchnął mieszanką stęchlizny i potu, ale przede wszystkim chmurą tytoniowego dymu. Speluna była nabitą ludźmi do granic możliwości. Gdzieś brzdękała gitara. Ktoś przycinał na akordeonie smętną piosenkę pijacką. Klienci nie bardzo interesowali się słuchaniem rzewnych melodyjek. Gadali głośno, wlewając w siebie wódkę i popijając piwem. Inni grali w karty albo podszczypywali nie najurodzawsze kobiety handlujące swoim ciałem. Barman stał za ladą, czyszcząc kufle albo posyłając w ten nieświeży tłum zgorzkniałe, starzejące się przedwcześnie kelnerki, donoszące kolejne porcje śledzi i „meduz”. Dwóch panów wstało od stolika w rogu sali, kiedy wyrósł koło nich jeszcze jeden człowiek.

– To jest Szymek. – Gienek przedstawił szerokiego w barach wielkoluda o krzywych plecach i wątlej sylwetce. Wiek Szymka był trudny do określenia, ale coś mówiło Samuelowi, że byli rówieśnikami. Patrzył wesoło okrągłymi oczami, osadzonymi blisko nasady nosa.

– Witam kolegę... – Wystawił dłoń na powitanie. – Naprawdę klawo, klawo, że dane nam było się spotkać. A i przeżyć – dorzucił nieco patetycznie. Usiadł. Zaraz pojawiła się kelnerka.

– Co będzie? – zapytała zdruzzona, otwierając notesik.

– My pijemy piwo. – Gienek pokazał na w połowie opróżnione kufle i spojrzał pytająco na Samuela.

– No tak – chrząknął. – Pani pozwoli ćwiartkę... Nie, pół litra i coś solidnie na ząb. Mamy okazję... – Puścił oko. – A nawet podwójną. Rodaków z wojny spotykam. – Uśmiechnął się. O dziwo, zszarzała brunetka z białym czepkiem we włosach odwzajemniła uśmiech. Ten chudy młodzian był inny niż reszta facetów. Różnił się manierami, lekkim niedopasowaniem do sytuacji, ale przede wszystkim wyglądem. W porównaniu z rówieśnikami wyglądał jakoś inaczej. Młodszy był i jakby bardziej przystojny od kompanów niszczonej wódką i biedą. Kelnerka dygnęła, nawet dość komicznie, i poszła za bar.

– Patrzej, Szymuś, jak nam kolega furorę u pci przeciwnej robi. – Gienek trącił z łokcia Puławskiego.

– Zachód. Amerykany. Lepsze żarcie i napitek. Woda ciepła, drogerijnie też znośniej zaopatrzone tam, to i domyć się można... – Gienek zaśmiał się, patrząc na obu. Popił piwa.

– Szymon – Samuel nie słuchał naigrywań, tylko przysunął się bliżej – na Gęsiówce byłeś?

– Tak – przytaknął zgarbiony mężczyzna. – Wyzwolili mnie nasi, zaraz na początku. Znaczą się na początku powstania. Potem się ich trzymałem. Cudem przeżyłem. W oddziale byłem na papierach od nich jako legalny wojskowy, to polazłem do stalagu, nie w komin, gdzieś do Oświęcimia. Bez tego... Oj, chłopaku, już byśmy nie gadali. A ty?

– Czekał, pytanie mam. W obozie tu był Daniel... Daniel Korbaum. Mógł mieć ze siedemnaście lat...

Szymon wzruszył ramionami, gryząc wargę.

– Wielu było takich. Pracowało się. Ludzie padali, zwłaszcza zimą... – Przerwał, kiedy wróciła kelnerka i postawiła na stoliku szklkę oraz talerze z zakąskami.

– Na zdrowie, panowie. – Znów była miła, ale spojrzenie posłała tylko Samiemu. Ten nie patrzył na nią, zbyt pochłonięty opowieścią Szymona. Odeszła więc jakby urażona, zadzierając brodę.

– No mówże...

– Korbaum? A kto to za jeden? – Szymon pozwolił sobie odkorkować półlitrowkę i połać w kieliszki.

– Mój kuzyn... z Muranowa. Bo że bratu czy rodzicom się udało, to szansy nie ma. Ale on... Pętał się z nami po dzielnicy. Roboty szukał, gazety roznosił, cegły dźwigał.

– Panowie, przerwa. – Gienek uniósł szklkę i zaraz wlał w siebie zawartość. Skrzywił się i otarł usta. Uczynił komiczny gest uniesionej dłoni, dając laskawie pozwolenie, by kompani kontynuowali. Szymon krzywił się od gorzały. Oczy powędrowały w bok, jakby coś sobie przypominał.

– A jak wyglądał?

– Brunet. Oczy też miał czarne, jak węgielki.

– A tak! – Szymek pacnął się w głowę. – Był taki. Tyle że my wołaliśmy na niego „Hiszpan”. Chyba przez te oczy albo i włosy. – Samuel prawie zerwał się z miejsca. Poblądł i złapał za butelkę. Nalał do kieliszka i wypił momentalnie.

– Przeżył? – Cieszył się już nawet tym, że zyskał okrucieństwo wiadomości.

– Tak. Poszedł do powstania. Silny był. Ale jakoś się z nim nie kolegowaliśmy. – Znów uciekał spojrzeniem, wyłapując w pamięci obrazy z wojny. – Ja byłem z drugiej strony Wisły. Nie moja ferajna... Ale chłopak poszedł w kamasze. Co potem? Nie wiem. – Wyszczerył się bardziej i znowu zaczął polewać. – Jak dotrwał do końca, pewnie i trafił tam, gdzie my? – Wlepił spojrzenie w przejętego Puławskiego.

– Do jankesów? – Samuel powoli pojmował.

– Musowo! No to jak? – Szymek uniósł kieliszek na znak toastu. – Za US Army! – powiedział nazbyt głośno, bo na te słowa Gienek drgnął i zaczął rozglądać się po sąsiadach.

– Za nich, tak... – Wypili duszkiem. Po drugim, trzecim kielichu można było się grzecznie zabrać za zakąszanie.

– By znaczyło, że ja ci niepotrzebny. – Szymon wpakował w usta rolmopsa. – U ciebie trzeba by było szukać.

– Nie wpadłbym na to. Głupi jestem. – Puławski zapatrzył się w talerzyk z rybą.

– Zaraz głupi! – Gienek prychnął. – Wojna to nam pod sufitem nie namieszała czy co? Człowiek w takim zamieszaniu to myśleć przestaje.

– Jak masz jakichś kumpli jeszcze, to popytaj – cisnął Szymek.

Samuel usiadł prosto, patrząc na obu nowych kolegów, i zaczął łapczywie jeść.

– Nie mam już kumpli.

– Co, obrazili się? Żeś się zdecydował?

– Mhm... – Samuel napychał policzki chlebem.

– A może zdanie zmieniają? Czasu trzeba. – Szymon znowu połał.

– Przekonają się. Napisz... – Dał znak do wypicia. – Ciężko i biednie, i na lepiej się nie zanosz, ale to dom – przypomnieli i otarł usta.

Samuel chwiał się na krześle. Odwykł od rodzimej wódki i takiego tempa konsumpcji.

– Nadzieja jest, jak na ciebie patrzę... – czknął. – Kiedyś zjechał do kraju? – zapytał Szymona Samuel.

– O, w czterdziestym ósmym. Tyle że ja dziewczęcę z dzielnicy znalazłem. I mamusia mi przetrwała. Było łatwiej...

– Fakt, łatwiej jest, jak ma się z kim... No, ale mogłeś ich ściągnąć? Zostać tam? – Samuel zrobił się ciekawski. Szymon wykrzywił usta, zerknął na Gienka i nalał.

– Trza będzie domówić, bo napitku nie starczy. – Wstał i pstryknął palcami.

– A tyś też mógł zostać – odparował, kiedy usiadł. – Sam zostałeś. Było tam sobie jaką Fräulein przygruchać i dzieci robić.

– Szwabkę? Żebym trzymał od samego patrzenia dostał? – Puławski się wzdrygnął i zapił wstrętne wyobrażenie. Alkohol szumiał w głowie i rozluźniał. Samuel sięgnął do kieszeni, by wydobyć papierosy.

– Prawdziwe camele! – Szymek aż mlasnął. Wyrwał pierwszy. Powąchał, jakby trzymał w ręku cygaro. – To jest to!

– Palili my takie po służbie. Albo na mieście, jak gerlsy się podrywało. Bo szły jak muchy do miodu, jak się dolarami zaszeleściło.

Szymek czknął. Zapalił, mrużąc oczy i zaczął kasłać.

– Odwykłem. Słabe takie... – Popatrzył na ognik.

– Mi pasują. – Samuel patrzył na kompana. Ten znów chciał nalać, ale Puławski zakrył kieliszek dłonią. – Na razie pas. Organizm odwykły od takiego tempa towarzyskiego.

– No to i ja poczekam. Tak... gorzała nasza lepsza. – Szymon zaczął kiwać głową.

– No a tam co wstrętne imperialisty piją? – zapytał Gienek z przekąsem.

– O, ja to najbardziej tej coca-coli nie mogłem. – Szymon wzdrygnął się. – Syrop taki, cholera wie z czym. Murzynom ponoć dawali, by lepiej zapieprzali przy robocie.

Samuel słuchał, coraz szerzej otwierając usta i oczy, a po chwili dodał z ledwo wyczuwalną ironią:

– Ale tylko tę zrobioną ze stonki.

– Laliby w nas to bez przerwy. – Szymonowi odbiło się jeszcze głośniej.

– A do tego nic? – dociekał Gienek.

– Whisky, ta ich perfuma. Dawali też, ale badziewie okropne. Więcej reklamy jak prawdy. – Złapał za butelkę, wlał wódki do kieliszka i wychylił, jakby zapijał niedobry smak.

– Gdzie byłeś, kiedy do pilnowania poszedłeś?

– Pod Kolonią. Tam stworzyli też Kompanie Wartownicze. Takich wyrzutek jak my pełno. Zebrali się nas trochę, a jankesy potrzebowali do pilnowania baz, żeby swoich mlókosów do kraju wysłać. – Powieki Szymka zaczynały robić się ciężkie. – Interes też dobry robili, bo nam jako cieciom niższy żółd wypadał.

– Ja byłem w 3411... – Samuel pochwalił się numerem Kompanii Wartowniczej. – Twoja jaka? – Postarał się, żeby pytanie zabrzmiało niewinnie.

– Tysiąc dwieście... któraś. – Niedbale wymachnął dłoń. Gienek usiłował go kopnąć pod stołem, co nie uszło uwagi Puławskiego.

– Za śmierć tego skurwiela, Stalina! – Szymon niespodziewanie podniósł głos, wznosząc pusty kieliszek. Gienek aż syknął, zaciskając zęby, i kopnął kumpla w kostkę.

– Przymknij się albo wyjdziemy...

– Albo nas wyprowadzą. – Samuel łapał już miejscowe zasady. Strzepnął popiół na podłogę, przyglądając się tłumowi. Ludzie siedzieli na swoich miejscach, robili, co mieli do robienia. Puławski wiedział, że nie słyszeli albo przeczornie, kiedy trzeba, potrafili udawać głuchych.

– To co, jeszcze flaszkę? – zapytał prowokacyjnie, po czym nalał sobie i Gienkowi.

– Może starczy? Szymuś się nam zepsuł... – Bokser stał się nad wyraz troskliwy.

– A co? Ja, stary amerykański żołnierz nie dam rady? – Szymon zaczął stukać się palcem w pierś i groźnie marszczyć czoło. – Pani ładna... – wydarł się bełkotliwie, grzebiąc resztki szacunku kelnerki. Nic dziwnego, że ta obróciła głowę, udając, że ma innych klientów.

– Ja zamówię. Tylko mi powiedz, co tam jeszcze w tym obozie na Gęsiej było. – Puławski wylał ostatnie krople, kapiąc do kieliszka Szymona.

– Było, ci powiem. Było strasznie. Ale wiesz co? – Pochylił się nad samym blatem, z trudem utrzymując otwarte oczy. – Napisz do swoich, może go znają... tego twojego Daniela. Może go ściągną? Może

więcej przyjedzie? Teraz, jak ten – rozglądnął się i ściszył głos – skurwysyn padł, będzie szansa. Tu byli tacy, co po lasach z bronią. Ten tu – pokazał niedbale na Gienka – nie mówił. Mnóstwo ich było, ale wylili albo wyłapali. Ale można by znów... Są tacy jak my, jak ty, ja.

– Mnie nie liczcie. Ja nie polityk! – Gienek coraz mocniej przerażony kierunkiem, w którym zmierzala rozmowa, podniósł dłonie jak do poddania.

– Tchórz, ty! – syknął Szymon, usiłując splunąć. Nie udało mu się. – Przyjdą Amerykanie, to zobaczysz, jak ich bezpieka z takimi jak ty zatańczy!

– Tak... – Puławski dobrotliwie się uśmiechnął. Zdusił peta butem na podłodze. – Kiedyś może przyjdą...

– No! – przytaknął Szymon. – I każdy będzie miał willysa i dolary, i domek na własność. – Weteran zaczął się rozklejać.

– A jak ci każą coś pić? – przerwał głośniejszemu Samuel, coraz bardziej ubawiony sytuacją.

– A nie... fuji!

– I gumę do żucia dadzą – dociskał Puławski.

– Gumę do żucia! – Szymon aż głośnie przełknął ślinę i zaciął się na moment. Gapił się to na jednego, to na drugiego kompana. – A tak! – przypomniał sobie. – Było coś takiego, ale ja nie... Mgliło mnie. No, a gdzie wódka? Pić się chce! – zmienił temat na bardziej przyjemny.

– Ja pójdę – oznajmił Samuel. Wstał. – Jeszcze coś na ząb, gorzała i trzeba by pogadać – zwrócił się do boksera zaafowanego słabą postawą Szymona – o jakiej pracy dla mnie. Chyba tu to obowiązek. Ja z Zachodu, bez zajęcia. Nawet jak mam co nieco – potarł palcem wskazującym o kciuk – to mnie capną, nie? – Uśmiechnął się i mrugnął. Nie wesoło, wprost przeciwnie.

– Ano trzeba, trzeba. – Gienek skinął głową. – Się kolega szybko uczy.

Po chwili, kiedy rozlano entą już kolejkę, ku zaskoczeniu swoich nauczycieli Samuel podniósł kieliszek i wzniósł toast.

– No, to za flotę sowiecką! – I po chwili szeptem dodał: – Do dna!

ROZDZIAŁ 3

Pierwszy raz od bardzo dawna nad miastem pojawiło się słońce, nieśmiało przedzierające się przez chmury i rzucające na ulice przyjemne promienie. Ciągłe nagie młode drzewa wydawały się nieco piękniejsze w takiej otocze. Przechodniom poprawiały się humory. Nie byli już tylko smutnymi sylwetkami przemierzającymi przestrzenie pokryte śnieżną breją. Berlin budził się do życia tak jak cała przyroda.

Charlie „Greenman” Zielinsky siedział za kierownicą zaparkowanego peugeota. Aut w Berlinie Zachodnim było dużo. Nie tyle, co w Londynie albo Nowym Jorku, ale ich liczba była dowodem na to, że ta część miasta radzi sobie lepiej od sąsiadki. W tej sytuacji z auta można było prowadzić obserwację, nie narażając się na nadmierne zainteresowanie. Ot, jeszcze jeden pojazd stojący na ulicy odbudowywanych domów we francuskiej strefie miasta. Północna część Berlin-Ouest (jak mówili Francuzi o swojej strefie) nie wyglądała tak atrakcyjnie jak brytyjska, a nawet amerykańska. Było tu spokojniej, mniej tłoczno, jak to bywa z dala od centrum. Choć samo śródmieście Berlina zostało sztucznie podzielone, teraz tworzono je na nowo, jakby na przekór historii i nowym porządkom. Jednak i na tym skrawku miasta powstała dzielnica knajp, gdzie można było miło spędzić czas. Przyzwoita (jak na tę porę roku) aura wyciągnęła z domów sporo ludzi. Kręcili się po ulicach albo zasiadali przy pierwszych stolikach przed lokalami. Grubo ubrani, w kapelusze i płaszczce, co rusz zadzierali głowy do słońca, złaknieni ciepła. Panie chwaliły się nieco wyleniałymi kołnierzami z lisów i spłowiwałymi paltocikami. Garderoba pochodziła z dawnych czasów, ale miejscowi starali się pokazać, że żyją normalnie i na przyzwoitym poziomie. Charlie widział głównie ludzi starszych od siebie, po pięćdziesiątce i jeszcze bardziej wiekowych. Młodzi pracowali albo nie było ich widać. Czasem chodnikiem przeszedł jakiś były jeniec w poszarpanym szynelu, często bez którejs z kończyn. Ktoś z goszczących się wstawał i wręczał takiemu kilka fenigów. „Greenman” widział to wszystko z dogodnego punktu obserwacyjnego. Co kilka minut upewniał się, że ma kontakt z resztą ekipy i że chłopaki są na miejscach, ale nie podnoszą alarmu. On też nie dostrzegał żadnych podejrzanych sygnałów. Nikt nie siedział w aucie, nikt nie objeżdżał okolicy.

Marty wyszedł z kawiarni o długiej szklanej fasadzie, ozdobionej drewnianą elewacją, nawiązującą do stylistyki art déco. Przypominał miejscowego, choć odbiegał wiekiem od kawoszy w lokalu. Za to kulał, co miało sugerować, że jest inwalidą wojennym. Ubrany był porządnie (można wręcz powiedzieć: elegancko) w jasnoszary płaszcz, krawat i nieodłączny kapelusz. Zdaniem „Greenmana” ta elegancja nazbyt przykuwała uwagę, ale nie zamierzał o to kruszyć kopii ze swoim szefem. Mieli przecież poprawić stosunki. Marty dzierzył w dłoni gazetę. Wyszedł przed lokal, udając, że rozgląda się w obie strony, po czym machnął papierem, jakby odganiał muchę. Charlie zrozumiał, o co chodzi. Wysiadł z auta, bacząc, czy nikt nie wziął go pod obserwację. Sygnał Marty’ego postawił na nogi resztę. Było ich jeszcze dwóch. Hugh i Will błakali się na obrzeżach skweru. „Greenman” widział, jak umiejętnie podchodzą bliżej. On sam podskoczył do kiosku po przeciwnej stronie. Miał dobry wgląd w to, co działo się w kawiarni. Poprosił o papierosy i zapalki. Przesunął się, udając, że czyta tytuły wystawionych gazet i czasopism. Marty odszedł kawalek, a za nim z wnętrza wymaszerowała trójka mężczyzn. Byli dobrze odziani, ostrzyżeni nieco staroświecko, z podgolonymi bokami. Najstarszy z nich, szef, nie był starszym, ale jego twarz pokrywały zmarszczki. Sporo musiał w życiu przejść. Był siwy, szczupły i stał pewnie. Nie zakładał płaszczka, który trzymał przewieszony przez rękę. Facet był w dość frywolnym nastroju, ale nie przeszkadzało mu to w dokładnej lustracji ulicy. Zielinsky schował się więc jeszcze bardziej za kiosk. Siwy był podobno po jego stronie, ale Charlie wolał pozostać anonimowy. Tego wymagał profesjonalizm, a niechęć do niemieckich oficerów tylko pomagała. Ten tam udawał cywila, ale postawa i sposób poruszania świadczyły o tym, że facet kilka lat życia spędził w mundurze. Pomagierzy

siwego, przynajmniej o połowę od niego młodszy i niedoświadczony w szpiegowskim fachu, niezbyt dyskretnie odstawili szefa. Wydawali się bardzo nerwowi, brakowało im opanowania, jakie prezentowali ich dowódca.

„Greenman” rozejrzał się wokoło, sprawdzając, czy ktoś jeszcze widzi tych dwóch cymbałów w szarych prochowcach, przestępujących z nogi na nogę w oczekiwaniu na wóz. „Partacze. Wyłażą, chociaż nie ma transportu?” Charlie stracił jednak zainteresowanie panami przy kawiarni. W przestrzeni między kamienicą a plotem budowy innego domu spostrzegł niskiego chłopaka. On też nie potrafił się skutecznie wzmieszać się w tłum. Zerkał zza węgła, a jego dłoń chowała coś za pazuchą kangurki¹⁰. Zimowa czapka z daszkiem założona była na bakier, jakby jej właściciel chciał zamaskować twarz w trakcie popełniania niecnego czynu. „Greenman” zmienił pozycję, obchodząc kryjącego się mężczyznę szerokim łukiem. Siwy i jego obstawa ciągle tkwili przed wejściem, wystawiając się wprost idealnie na widok ukrytego obserwatora. Zielinsky przyspieszył, ale nieznacznie. Nie mógł zwracać na siebie uwagi. Ostrożnie odsunął połą płaszcz, by móc szybciej sięgnąć po broń albo małą pałkę, którą podarował mu Kermit. To chyba tym teleskopowym przyrządem przywalił „Greenmanowi” na granicy.

Facet w kangurce znów się wyłonił zza rogu. Sięgnął pod kurtkę i z czymś się szamotał. „Greenmanowi” prawie stanęło serce. Włożył rękę pod płaszcz, za pasek, gdzie trzymał pistolet. Stał się stabilnie, przenosząc ciężar ciała nieco w przód, gotowy strzelać. Od celu dzieliło go ze czterdzieści metrów, ale uznał, że nawet chybiony strzał przegoni zamachowca. Potem będzie trzeba improwizować. Tymczasem młody uporał się z kurtką i wyciągnął aparat fotograficzny z długim obiektywem. Naciśnął przód migawki. Zielinsky odetchnął, ale nie na długo. Aparat był groźniejszy niż broń. Obiektyw wskazał kilka kierunków. Mężczyzna schował leicę i chyba szykował się do zmiany pozycji na lepszą. Siwy i jego oddział ciągle stali na chodniku, choć zbliżał się już ich czarny wóz. „Greenman” miał nadzieję, że jego kumple widzą, co robi, i zaraz pójdą w jego ślady. Przyspieszył. Młody go dostrzegł i zrozumiał, że został odkryty. Obrócił się i pochyłony wcisnął w szparę w parkanie. Charlie dobiegł do plotu i zaczął się przeciskać na drugą stronę. Chłopak był zwinny. Biegł slalomem między podporami rusztowań, mijając zadziwionych pracowników budowy. Zielinsky nie zamierzał odpuszczać. Ruszył w bok, na drugą stronę budynku, mając zamiar przeciąć tamtemu drogę. Robił długie kroki, objijając się o pryzmy worków z cementem. Ktoś za nim krzyczał. Amerykanin na to nie zważał. Wpadł na błotnisty plac z pracującymi betoniarkami i składzikami z desek. W bałaganie mignęła mu jasna kangurka. Charlie miał rację. Dobrze przewidział trasę ucieczki tamtego. Wykrzesał z siebie tyle energii, ile potrafił, i puścił się biegiem. Rozchlapując błoto, nie zważając na to, że moczy buty. Ktoś obok wzywał policję. Grupa robotników na wysokości piętrowej gwizdała i świetnie się bawiła, patrząc na zdarzenie, które na chwilę przerwało monotonną pracę. Młody schylił się i przemknął pod szlabanem, wbiegając na kolejną ulicę. Było tam sporo zaparkowanych samochodów (ale o wiele mniejszy ruch) i kilka kamienic oraz willi z przestronnymi bramami. Fotograf gnał do najdalszej, co chwilę patrząc za siebie i ściskając aparat.

Dopiero teraz, na twardszym podłożu Charlie poczuł, jak zniszczył nieodpowiednie na takie gonitwy buty. Ślizgał się na zabłoconych podszewkach, usiłując utrzymać tempo. Kiedy był w połowie jezdni, usłyszał z lewej warkot silnika. Liczył, że umknie albo że kierowca zahamuje. Tymczasem tamten przyspieszył, jakby umyślnie celował w „Greenmana”. Zielinsky rzucił się szczupakiem na chodnik, tuż obok drzewa. Wóz minął go o kilkanaście centymetrów, jeszcze przyspieszając. Charlie wstał, jakby zignorował zamach. Szukał celu. Biegł, czując rosnący ból w nodze i ramieniu. Fotograf nie było widać. Amerykanin zaryzykował więc i skierował się do najbliższej dużej bramy. Dobył pałki i trzymał ją przy ciele, nie chcąc wzbudzać jeszcze większej sensacji w ulicze. Kiedy tylko wszedł w strefę mroku pod łukiem przejścia, usłyszał prędkie kroki. „Greenman” przysunął się do ściany, próbując się ukryć. Kiedy stukot obcasów zrobił się wyraźniejszy, wyskoczył i zamachnął się pałką.

Kobieta, która wyłoniła się z cienia, wrzasnęła, otwierając szeroko usta. „Greenman” nie mniej zaskoczony poślizgnął się na budowlanym błocie i poleciał na nią z impetem. Zielinsky zbierał się niezgrabnie, dotykając nieznaną w sposób co najmniej nieodpowiedni. Wreszcie podniósł się z ziemi, schował do kieszeni pałkę i podał poturbowanej niewieście obydwie dłonie.

– Bardzo przepraszam panią... – Głos mu drżał, ale wzrok ciągle szukał w ciemności fotografa. – Goniłem... goniłem złodzieja, wbiegł gdzieś tu... – W zdenerwowaniu trudno mu było zadbać o odpowiednią niemiecką wymowę. Jednak zdawało się, że poturbowana nie zwraca na to uwagi.

– Pan jest nienormalny! Atakowałam niewinną osobę...

Wyrzuciła z siebie złość, po czym zaczęła otrząpywać płaszcz i spódnicę. Rajstopy miała podarte, torebkę ubrudzoną, a włosy w nieładzie.

– Przepraszam panią raz jeszcze. – Zielinsky próbował doprowadzić garderobę kobiety do ładu, strzepując brud, ale nieznaną odsunęła się, by już jej nie dotykał.

– Proszę mnie zostawić w spokoju! – Charlie podniósł wzrok i zaskoczony stwierdził, że kobieta, którą staranował, jest niebrzydka i może tylko nieco starsza od niego. Unikala jego spojrzenia, dmuchając na zwisający u czoła lok, i usiłowała okiełznać resztę włosów. – Mój kapelusz... – wyszeptała pochylona.

„Greenman” usłużnie podał jej niewielkie nakrycie z wąskim rondem ozdobionym materiałowką kordą, po czym przyłożył dłoń do serca.

– Gdybym mógł pani to jakoś wynagrodzić... – zaczął, licząc, że jego skrucha ujmie blondynkę.

Kobieta milczała, nerwowo strącając błoto z ubrania. Szukała odpowiedniej riposty, podejrzewając, że ów nieokrzesany typek chce zacząć nieodpowiednio jakąś znajomość. Zadał jej ból, ale nie zrobił tego naumyślnie. Poza tym nie okradł jej ani nie uderzył.

– Może będzie ku temu okazja – odparła, sprawdzając torebkę. – Na razie jednak muszę doprowadzić się do ładu. – Nie chciała sprawiać wrażenia podatnej na końskie zaloty. Odwróciła się, pomaszlowała w stronę ulicy. Stała jednak.

– Proszę uważać następnym razem... Mogłam wezwać pomoc. Policję! – Chciała, by wiedział, że dzięki niej uniknął sporych problemów. – Jak się pan nazywa?

– Jestem Richard... proszę pani. – „Greenman” uklonił się i sięgnął, by unieść kapelusz, ale dopiero w owej chwili spostrzegł, że ma gołą głowę. – Nie najlepszy sposób na rozpoczęcie znajomości. – Przyglądał włosy dłonią. Kobieta uśmiechnęła się i ruszyła na ulicę.

– A pani jak ma na imię?! – krzyknął za nią.

Odnalazł kapelusz cały w błocie. Otarł go z brudu i spostrzegł niewielki połyskujący przedmiot na kostce brukowej. Była to puderniczka w kolorze złota. Zielinsky ruszył, trzymając zgubę wysoko. Chciał coś krzyknąć, ale ulica była pusta. Stropiony Charlie schował puderniczkę i poszedł w stronę kawiarni, czasem tylko zerkając na budowę.

– Gdzie cię poniosło, do cholery? – Kermit otworzył drzwi auta, obrzucając „Greenmana” spojrzeniem pełnym pogardy.

– Kąpiele błotne zimą? – zakpił McIntosh, siedzący na tylnym siedzeniu bmw.

– Hugh zabrał twój wóz, bo nie mogliśmy czekać na nieskończoność – dodał wściekły Kermit. – Wsiadaj, do jasnej cholery. Choć powinieneś iść piechotą, za karę.

Zielinsky wgramolił się na przednie siedzenie, a wóz ruszył.

– Widziałem kogoś – zaczął prosto z mostu, nie czekając na pytania i opinie o jego nieprzygotowaniu do tej pracy. – Jakiś gnojek robił zdjęcia.

– Ciekawe... – McIntosh pochylił się i patrzył na drogę.

– Nie wiem, czy obstawie czy wam w kawiarni. – „Greenman” przygryzł wargi, przypominając sobie całe zajście. – I zaznaczam: to nie był jakiś turysta czy fotoamator. Cykał z ukrycia. Być może z kilku miejsc.

– Był sam? – zapytał Kermit.

– Przy lokalu być może. Ale miał współników. Gonilem go... – Wskazał na brudne buty. – Śmierdziel zniknął, ale... po drodze o mało nie rozjechał mnie jakiś wóz.

– Pamiętasz numery? – McIntosh zadał to pytanie z obowiązku. Znał odpowiedź.

– Nie, nie zdążyłem odczytać. Ale pamiętam kolor. Spłowiwały brąz. Nie znam się na europejskich wózkach. Pracowałem głównie przy naszych. Zresztą pojawił się nagle. Dokładnie w chwili, kiedy byłem na jezdni. Uważam więc, że czekał zaparkowany i odpałił, kiedy tamtym zaczął się palić grunt pod nogami.

– Więc to wszystko prawda. – Kermit skrzywił w jakąś uliczkę, zerkając we wsteczne lustro.

– Że co proszę? – Zielinsky nie rozumiał.

– Nasz dzisiejszy rozmówca – powiedział McIntosh.

– Ten pruski szlachcic z karierą u nazistów w życiorysie?

– Ten sam.

– Mówiliście, że to spotkanie z waszymi... przepraszam – poprawił się Charlie. – Z naszymi podwykonawcami. W swej naiwności sądziłem, że to jacyś młodzi, lepsi Niemcy, a nie...

– Banda hitlerowców? – Kermit zaśmiał z politowaniem i znów skrzywił, patrząc w lustro i szukając ogona. – Wszyscy dobrzy i nieskazitelni są w Ameryce. Wyjechali długo przed wojną. Zazwyczaj czerwoni, jak ci, co uciekli na wschód, kiedy przestali być potrzebni wywiadowi. Ale większość się mocno zamerykanizowała. Nie pasują tu, nie czują klimatu zmian, jakie zaszły.

– Więc pozostają naziści. – Zielinsky poczuł się nieswojo.

– Tak, ale to tacy, którzy walczyli z Sowietami.

– Aha. – „Greenman” chciał coś dorzucić od siebie, ale nie miał siły wdawać się w dyskusję.

– Niestety tak tu jest. To nowe czasy. Może nieco schizofreniczne – przyznał McIntosh, jakby wyczuł rozterkę „Greenmana”. – Rozumiem cię. Kilka lat temu strzelałeś do nich na froncie, a teraz musimy z nimi współpracować.

– Ja tkwiłem w ich oflagu. Też za nimi nie przepadałem – dodał Kermit, któremu zebrało się na wspominki.

– Świat i wrogowie się zmieniają. Tak zawsze było w historii. Teraz trafiło na nas. Najpierw walka, a przy następnej wojnie...

– Dobra, zrozumiałem – przerwał mu „Greenman” i zaczął masować bark.

– Co właściwie ci się stało?

– Mało się nie zabiłem, goniąc tego fiuta. Jeszcze stratowałem jedną babkę.

– Warta była wypadku? – Kermit nadstawił uszu wyraźnie zainteresowany.

– Całkiem, całkiem...

– Chciałem nieśmiało przypomnieć, panie poruczniku, że ma pan we Frankfurcie żonę i dziecko. – Stary brutalnie pogrzebał jeszcze niesprecyzowane marzenia.

– Pamiętam, pamiętam, Herr Vogt – zbył go „Greenman”. Sprawdził, czy nadal ma puderniczkę w kieszeni. Nie wiedział, co ma zrobić z tym przedmiotem. – No dobra, skoro już wypominacie mi swoje stopnie, wyjaśnijcie. Jestem prostak z piechoty, ale może zrozumieć, co to wszystko znaczy.

– Nasz człowiek. Nazywamy go „Rycerzem” – zaczął stary.

– Pięknie! Pruski rycerz...

– Za dużo kłapiesz językiem, chłopcze. – McIntosh pozwolił sobie na patriarchalny ton. – To facet od zadań na specjalne zamówienie. Ma luźną organizację. Prywatna firma pomagająca ludziom na zachodzie. Nam, berlińskiej policji, partiom politycznym. Każdemu, kto ma kogoś bliskiego lub coś cennego na wschodzie. Uprzedzę twoje pytanie... – Przynął się bliżej Charliego, widząc, że „Greenman” znów ma wątpliwości. – Nie pracuje dla komunistów.

– Ale... – dodał Kermit.

– Ale za wszystkich ludzi nie ręczy. I wygląda na to, że ma rację. Ma u siebie krety.

– Linia strefy, panowie. – Kermit wyciągnął głowę ku posterunkowi na środku ulicy. Przemknęli wolno obok dwóch znużonych wartowników z brytyjskiej i francuskiej armii. Poruszanie się po zachodniej stronie było proste. Wartownicy wyglądali na mocno zziębniętych i znużonych.

– Szkoda chłopaków. Sam tkwiłem tak nieraz – zauważył „Greenman”. – Kiedyś w Ardenach, na posterunku...

– Starzejesz się – przerwał mu McIntosh i pokręcił głową jakby z niedowierzaniem. – Na wspomnienie cię bierze. O czym to ja... A tak! – Pstryknął palcami. – Śmierć Stalina niewiele u nas zmienia. Właściwie nic. Odszedł stary drań, ale walka trwa. Może nawet ostrzejsza, bo teraz o wpływy będą walczyć różne sowieckie frakcje. „Rycerz” powiedział, że wedle jego informatorów Sowietci wpadli w furję po naszej akcji na granicy. Chcą wiedzieć, ile się da. Kto to organizował? Kto od nas to nadzorował? I przede wszystkim skąd dotarła informacja o zbiegu? Po prostu ktoś się wkurzył albo chce popisać się przed nowym wodzem.

– Niech szukają – mruknął uśmiechnięty Charlie.

– Takie rzeczy wiemy i my... Mamy swoje sposoby – powiedział McIntosh. – Dziwi mnie tylko to, że wkurzają się tak bardzo. Przecież im się udało.

– Czyli?

– „Highlander” nie żyje albo został odstawiony do Pragi czy tam Moskwy. Właściwie wychodzi na to samo... – Kermit opowiadał o śmierci człowieka, jakby mówił o pogodzie. „Greenman” nie zdążył się nawet obruszyć. Po tym, co przeżył, był bliski przyjęcia podobnego sposobu myślenia.

– Więc skoro ruskie są tak wkurzone, a ja dziś przyłapałem gnojka z aparatem, to znaczy, że wasz nawrócony nazista ma u siebie wtykę. Albo całe stado, skoro ktoś skrewił i wystawił go na tak długo na ulicę po spotkaniu z wami. Badają nas?

– Byłeś w piechocie? A ja myślałem, że w żandarmerii. – Kermit spróbował skomplementować te dedukcyjne zdolności.

– Jeżeli chodzi o naszego Niemca... Masz rację. – McIntosh alias Vogt skwitował to prościej. – „Rycerz” to przedsiębiorca, nawet znany. Ale jeżeli przywłókł ogon i nie zabezpieczył się... Tak, panie Rott, oznacza to, że ma zdrajców albo, zakładając najgorsze...

– Wcale tak bardzo nie nienawidzi czerwonych – dokończył „Greenman”. – Albo lubi brać forszę od wszystkich. Boże, ale to miasto jest wielkie – stęknął, zmieniając temat na bardziej przyziemny.

– Wybrałem objazd – wytłumaczył Kermit, znów skręcając. – Znasz zasady.

– Więc myślicie, że nas wystawili? Jestem tu niecałe cztery tygodnie i już...

– Spokojnie – przerwał mu McIntosh. – Nie wiemy, co ten dzieciak widział. Zapewne mnie. Może Kermita i ludzi „Rycerza”. Najwyżej mnie wykryją. Wy chodzicie w teren. Nie znają was i jesteście, wybaczenie to określenie, mało istotni.

– Dzięki... Miło słyszeć. – „Greenman” pokręcił głową.

– Takie życie w pięknym Berlinie... – McIntosh nie sprawiał wrażenia przejętego. – Opuścimy trochę. Ja może zapuszczę brodę i mnie nie rozpoznają. – Nikt się nie uśmiechnął, słysząc ten żart.

– Coś nam grozi? – zapytał Zielinsky. – Nie wiem, jak ustawić Kathy i Joego.

– A ta dziewczyna? Teraz żonka jest ważna? – zapytał złośliwie Kermit i szturchnął Charliego.

– Pilnuj lepiej drogi, co? No pytam... Jesteście dłużej w tym syfie.

– Nie, raczej nie. – Stary odpowiedział tak, że nie poruszył mu się żaden mięsień, więc Zielinsky uznał, że stara się ukryć kłamstwo.

– Taka niepisana reguła. Nie tykamy siebie nawzajem. Od mordobicia mamy takich jak ten stary nazista „Rycerz”. Tamci mają Stasi albo też jakieś dziwaczne twory. Zależy od podwórka – uściślił Kermit, ale był dziwnie rozkojarzony.

– No to mnie pocieszylście!

Wóz minął teraz granicę strefy brytyjsko-amerykańskiej i Zielinsky zaczął rozpoznawać swój „rewir”.

– Mamy coś na dzisiaj? Muszę się przebrać, napić, przemyśleć i oczywiście napisać raport.

– Oczywiście – powtórzył McIntosh. – Dostarczysz go później. Odprawę zrobimy, kiedy przeczytam „wypracowania” reszty chłopaków. Może też kogoś widzieli.

– A może to nie „Rycerz”? Skoro ma konszachty, jest znany. Ma kumpli z wojny, na przykład w poli-
cji. Może to ktoś stamtąd?

– Gorliwość neofity...

Kermit zwalniał, wjeżdżając w dzielnice szarych, potrząskanych domów czynszowych. Tutaj ulokowano Zielinsky’ego. Zaparkował pod zięjącym pustką gmachem.

– Możliwe, Charlie, wszystko jest tu możliwe – potwierdził McIntosh. – Spróbuj go wypytać. Ważne, żeby nie zwariować. Odpuścimy na razie. Zresztą o tym zadecyduje biuro tu, w Berlinie, albo, kto wie, centrala. Wiesz, Charlie, tu będą się dziać naprawdę ważne rzeczy. Ważne dla tego miasta i dla świata. Stalin zmarł, więc wiele się może zmienić. Choć nie musi.

– No to wdpełniłmy... – powiedział „Greenman” i gwizdnął. Otworzył drzwi, choć z przyjemnością posłuchałby dalszego ciągu opowieści. Wiedział jednak, że nie może pozwolić, by samochód stał tu zbyt długo.

– Nie potrzebujesz lekarza? – zapytał zwierzchnik.

– Nie, dam radę. – „Greenman” podał rękę obu mężczyznom. – Nie takie rzeczy się przechodziło. Do wieczora!

Zamknął drzwi i podszedł do ściany. Odczekał, aż wóz odjedzie. Potem stał w żalomie dwie minuty, upewniając się, że nikt mu się nie przygląda. Znow zrobiło się szaro i pochmurnie. Charlie postawił kołnierz płaszcza i ruszył bezpieczną trasą do mieszkania. Buty go obcierały, a miał do przejścia półtora kilometra.

W budynku na ulicy Koszykowej w Warszawie panował spory ruch. W salach i gabinetach odbywały się narady. Wszystko w podniosłej atmosferze zadumy i podsumowań. Po korytarzach chodzili ludzie – milczący, unikający wymiany spojrzeń. Mimo włączonych światel budynek wydawał się ciemny, jakby nastrój żaloby przenikał wszystko wokół. W każdym departamencie i wydziale zorganizowano miejsca pamięci z popiersiem wielkiego wodza i ojca światowego proletariatu Józefa Stalina. Rzeźby stały na cokołach otoczonych czerwonymi kwiatami. Zdobyte roślin na początku marca, i to w takich ilościach, było imponującym wyczynem. Prócz kwiatów wieszano czerwone płachty materiału z przyczepionym doń czarnym pasem żałobnym. Najważniejsze upamiętnienie wodza odbywało się na schodach, blisko głównego wejścia, gdzie rzeźba, czerwień i kir były oczywiście największe. Tam było też najwięcej goździków. Prócz tego funkcjonariusze na zmianę pełnili tam warty honorowe, stojąc na baczność, zaszczytzeni tą funkcją. Któraś z sekretarek przeszła przez hall, szlochając ze szczerego żalu, i ukłoniła się popiersiu.

Jan Osawski spokojnie kroczył do gabinetu swojego przełożonego. Nie miał ochoty zagłębiać się w sprawy bieżące. Trzecią dobę nie mógł oswoić się z wieścią, która nadeszła z Moskwy. Uważał się za człowieka przytomnego i myślącego. Potrafił antycypować posunięcia wroga, kimkolwiek akurat był, a tymczasem jeszcze kilka dni temu nie wyobrażał sobie świata bez towarzysza Stalina: geniusza, nauczyciela, wielkiego zwycięzcy. Poznał ten układ, poruszał się w nim sprawnie. Teraz, dzięki umiejętnościom analitycznym, a może i dzięki strachowi, przeczuwał nadchodzącą zmianę. Osawski był rozdarty. Smucił się, ale jeszcze bardziej obawiał nowych czasów i tego, co przyniosą. I nie mógł tym się z nikim podzielić, choć podejrzewał, że wszyscy wokół rozumują podobnie. Jednocześnie ciągle dręczyło go jeszcze jedno, chyba najważniejsze, pytanie: kto teraz będzie pociągał za wszystkie sznurki?

Oficer stanął przed drzwiami w długim, wyściełanym dywanem korytarzu. Poprawił czarny dwurzędowy garnitur, który trzymał na najważniejsze uroczystości i okazje. Żaloba po wodzu postępowego świata do takich należała. Ścisnął mocniej tęczkę w dłoni, jakby upewniał się, że posiadana wiedza dodaje mu sił. Zapukał i wkroczył do sekretariatu. Kobieta, o starannie ułożonej fryzurze, siedząca za maszyną do pisania, podniosła wzrok i uśmiechnęła się ciepło. Oficer widział, że ta stara już panna chciałaby zawrzeć bliższą znajomość. Była niczego sobie, szczupła i zgrabna. Ale on nie miał ochoty na romanse. Nie w biurze, nie w centrali. Przynajmniej dopóki nie zdobędzie odpowiedniej pozycji i nie dowie się, czy takie podchody to rodzaj testu.

– Czekają na was. – Kobieta wstała i miękkiem ruchem wskazała wielkie, obite skórą drzwi gabinetu.

– Czekają? – szepnęła.

– Tak. Dwóch towarzyszy chce z wami mówić. – Sekretarka uśmiechała się niewinnie, wpatrując się w chudego kapitana. – Coś do picia?

– Co? A tak... Kawy, jeżeli można. Z cukrem.

– Oczywiście. – Kobieta dygnęła jak pensjonarka, po czym zapukała w drzwi.

Gabinety szefów robiły wrażenie. Były wysokie i przestronne, wykładane boazerią albo marmurami, czasem wszystkim po trochu. Ten akurat był biały. Podłogę zaścielał gruby dywan, przywieziony z Kaukazu. Stał tu stół konferencyjny, kilka szaf, a na ścianach wisiały dwa obrazy: stary widok i scenka rodzajowa. Najważniejszy mebel stał w głębi. Ogromne, przedwojenne (może poniemieckie) biurko. Nad nim wisiały portrety towarzyszy Bieruta i Stalina. Ten drugi, oczywiście, przewiązany był czarną szarfą.

Przy biurku zasiadało dwóch ludzi. Pułkownik Sienkiewicz był weteranem, choć w tym przypadku lepiej pasowało określenie „towarzysz broni” tajnego frontu. Siwiał, miał wysokie czoło i resztkę włosów zaczesaną do tyłu. Mocno zarysowana linia szczęki pasowała do niezwykle bystrych oczu. Nie był typem biurokraty, o czym świadczyła sylwetka energicznego mężczyzny. Nie roztył się jak wielu nieusuwalnych dyrektorów, wiceministrów i sekretarzy. Dziś szef Departamentu VII też nosił się na czarno. Tak samo jak jego gość, a może raczej przełożony... Osawski stanął na baczność i skinął głową.

– Towarzyszu pułkowniku, kapitan Jan Osawski melduje się! – Wykonał przepisowo oficjalne powitanie, domyślając się, kim jest ten drugi. Siedzący na krześle przed biurkiem mężczyzna był czterdziestolatkiem o okrągłej twarzy, poznaczonej już głębszymi bruzdami. Nie pasował do resortu. Wyglądał inaczej, wytworniej. Jego garnitur był dopasowany, nie przypominał workowatych strojów państwowej produkcji, rzucających masowo do resortowych sklepów. Jednocześnie wyraz twarzy gościa kolidował z elegancją. Mężczyzna ów starał się mocno, by zmienić emploi i ukryć swoje pochodzenie.

– Witam. Siadajcie. – Sienkiewicz wskazał wolne krzesło. – Dajcie, co tam macie. – Starał się okazywać spokój, ale denerwował się. Był mniej towarzyski niż zazwyczaj.

– Tawariszcz pałkownik... – przeszedł gładko na rosyjski. – To kapitan Osawski. Świeży nabytek z terenu. Zdolny czekista, pomysłowy i nieustępliwy. Ma na koncie rozbicia band i siatek szpiegowskich o faszystowskim rodowodzie. Dobry pedagog dla naszych, wysyłanych w teren. Ściągnąłem go tu, bo trzeba nam młodych energicznych...

– Witam... – Gość obdarzył kapitana zagadkowym spojrzeniem. Nie uśmiechnął się, nie skrzywił. Analizował.

– Kapitanie, to pułkownik Stiepan Zardow z MGB¹¹, z samej Moskwy... – oświadczył przejęty Sienkiewicz. – Zarząd Pierwszy.

Osawski wytrzymał i skupił się na patrzeniu w punkt ponad pułkownikiem „Radziecki razwiedczyk. Łubianka. Wywiad”. W umyśle oficera wyświetlały się hasła. Z początku przeraził się, ale zaraz opanował nerwy. W resorcie (ale i w terenie) najbardziej obawiano się „wizytatorów” radzieckich. Szczególnie niespodziewanych i pochodzących III Zarządu, kontrwywiadu MGB. Choć mogli nazywać się zupełnie inaczej. Pojawiali się, zwłaszcza gdy coś nie szło i nadzór nad jednostką terenową trzeba było „skorygować”.

– Znam wasze osiągnięcia. – Zardow wreszcie się rozpozgodził i nieco rozluźnił. Kapitan wprost przeciwnie. Zabrzmiało to dwuznacznie. Osawski uśmiechnął się, ale w pamięci szukał czegoś, czym mógł zwrócić uwagę radzieckich¹². „Może to jednak kontrwywiad?” Jan robił wiele w czasie wojny i tuż po niej. Przewędrował pół Polski. Uciekał przed przeszłością i szukał dla siebie jakiegoś miejsca. Wszędzie mógł zostawić ślad.

– Co sprowadza towarzysza pułkownika w tak trudnym czasie?

– Tak... – Zardow spoważniał i wyprostował się. – Czas jest smutny. Koniec pewnej wielkiej epoki. – Westchnął. – Życie jednak toczy się dalej i pracować trzeba. Świat będzie oplakiwał stratę, ale wróg nie śpi. Cieszy się raczej. A my musimy być gotowi i działać... nowatorsko. I bezpardonowo. – Chrząknął. Chyba spostrzegł, że znów mówi jak prelegent na masówce. – Mielicie sukcesy w terenie – zwrócił się do Osawskiego gość. – Teraz prowadzicie ciekawą grę z waszymi rodakami na zachodzie. Udało wam się nawet ostatnio sprowadzić tu jakiegoś jankeskiego najemnika. Bardzo mnie to ciekawi. Lubię dobre gry. – Założył nogę na nogę i splótł dłonie na udzie.

– Tak... Mam jednego Polaka z amerykańskich Kompanii Wartowniczych. To formacja przypominająca i policję, i paramilitarną służbę wartowniczą. Obiekt miał dość. Po prostu stęsknił się i wrócił. – Kapitan opowiadał o akcji jak o czymś zwyczajnym. – Zastanawiam się, czy to nie legenda. Wiemy wszyscy, jak można człowieka przygotować. My i oni ślemy tłumy informatorów na drugą stronę, ale żeby umocować się na stałe, trzeba być dobrym.

– Sprawdzacie go? Podchodzicie? – Gość wstał. Jan chciał zrobić to samo, ale Rosjanin go powstrzymał gestem. Sięgnął po angielskie papierosy i poczęstował Polaków. Potem sam zapalił i zaczął przechadzać się, niby podziwiając gabinet. Rozległo się pukanie i do wnętrza weszła sekretarka. Jakby speszona, zdenerwowana, choć uśmiechnięta, przemknęła pod bacznym spojrzeniem Sowietu i ustawiła kawę przed kapitanem.

– Więc podchodzicie tego przybysza... – Zardow odczekał, aż kobieta wyjdzie. Bardziej stwierdził, niż spytał.

– Tak. Zamierzamy go zabezpieczyć. Nie ma rodziny, krewnych. Jest sam. Przynajmniej tak to teraz wygląda.

– Kadry mamy różne. – Do rozmowy niespodziewanie dołączył Sienkiewicz. Jan spojrzął na szefa, ale nie śmiał protestować. – Zwłaszcza na niższych szczeblach.

– Tak. Przybysz jest świeży, nie może odnaleźć się do końca w nowej sytuacji. Nie trafiają do niego argumenty. – Osawski przyznał się do braku postępów.

– Ej, wy *Paliaki*. – Zardow pogroził, syjąc popiołem z papierosa. – Niecierpliwi. Za dużo chcecie naraz... Wiem, bo tak was uczono. Taki system. – Chyba też tego nie lubił. – Tutaj trzeba delikatniej, bo to materiał na długą operację. – Spojrzął na Osawskiego. Wrócił na miejsce i zgasił papierosa w kryształowej popielniczce. – Macie swoich w Niemczech, prawda? – zapytał.

– Tak. Między innymi działaliśmy przy sprawie czechosłowackiego zdrajcy, Zavicka. Towarzysze z innych departamentów, podpułkownik Światło...

– Zostawcie towarzysza Światło. – Sienkiewicz przerwał przechwałki. Prostując się mocno, złapał blat biurka. On też bał się ludzi z dziesiątego departamentu. – Ma inne... ważniejsze zadania. – Wolał ich nie precyzować.

– Światło – powiedział półszepem Zardow, jakby znał to nazwisko. Osawski nie zdziwiłby się. Podpułkownik Światło miał prawo dzwonić do samego Berii w ważnych sprawach. Radzieccy go kojarzyli.

– Na razie mam do was prośbę. – W ustach Zardowa zabrzmiało to dziwnie i nie pasowało do sowieckiego oficera. – Pilnujcie tego waszego przybysza.

– Nazwalismy go „Chevrolet” – dorzucił usłużnie Sienkiewicz.

– W porządku, może być „Chevrolet”. Macie go obstarwić i pilnować. Za tydzień, miesiąc... Jego wartość będzie rosła. Wiem, że inne plany macie... mieliście wobec takich. Teraz mi się przydadzą. Lubicie historię? – Zaskoczył kapitana, po raz kolejny zmieniając nastrój.

– Ja? – Osawski zdębiał. – Tak... chyba... – Wszystko mu się mieszało. Tak naprawdę brzydził się przestrością. Zbyt wiele mu zabrała. Zardow wyciągnął z teczki obok biurka jakąś teczkę i podał oficerowi.

– To dla was. Do przestudiowania. Macie się zapoznać, nie będę was przepytował.

– To metoda, która działa od lat... – Sienkiewicz musiał znać zawartość, bo bardzo się napuszył. – W „siódemce” wydziały grają na podstawie tego od pewnego czasu. Udało się nam załatwić wielu bandytów.

– A ponieważ wy jesteście tu nowi, musicie znać podstawy. – Zardowa zaczynała nużyć ta narada. – Zapoznacie się i za dwa tygodnie spotkamy się znowu. Omówimy wszystko. Podobne rzeczy organizowaliśmy już w Polsce i efekty były ciekawe. Chcę to powtórzyć.

– Przepraszam, nie rozumiem. – Osawski zaciągnął się dymem i zdusił zaraz pęta. Nie mógł już udawać opanowanego profesjonalisty. Ciągle był przecież prowincjuszem w stolicy.

– Będziemy pracować razem – wyjaśnił Zardow najprościej jak się dało. – Towarzysz Sienkiewicz zezwolił – powiedział zupełnie poważnie, choć mógł to być dowcip. Robiono tu wszystko, co kazali Sowietci.

– Tak więc do zobaczenia. Dziś to wszystko. – Pułkownik Zardow podniósł się z krzesła. Osawski zrozumiał, że skończono z nim rozmowę. – Przygotujcie mi coś o waszej siatce. – Sowiet prosił, nie rozkazywał. Spodobało się to Osawskiemu. Oficer z Moskwy stosował łagodniejsze, chyba nowoczesne metody. Był inny, bardziej... zagraniczny, ale na zachodnią modłę. Tak jak jego garnitur. – No, to widać, że też się cieszyacie. – Stiepan podał dłoń.

Kapitan stanął na baczność i uściśnął rękę tymczasowego przełożonego. Łękał się jak diabli. Ciągle myślał o krótkim zyciorysie w tej służbie i o każdym błędzie, jaki popełnił. Ale przecież na współpracownika wybrał go sowiecki wywiadowiec, który działał na najtrudniejszym terenie wroga.

Zimny wiatr unosił z hałd gruzów obłoki kurzu. Szczypał w oczy i uniemożliwiał oddychanie. Mężczyzna umiał jednak poruszać się w labiryncie postrzępionych ścian, nawet po ciemku. Potykał się tylko czasem o większe skrawki cegieł czy belek. Wokoło nie widać było najmniejszego światelka, niebo zasnuwały chmury. Widok zlewał się w prawie jednolitą ciemną masę. Mężczyzna parł przed siebie. Był na swoim terenie. Wiedział, co spotka go za najbliższym zakrętem, co za kolejną przecznicą. Przybywał tu często, zbyt często. Gdzieś niedaleko rozległ się gwizd lokomotywy nadjeżdżającego pociągu. Mężczyzna na jego dźwięk nadstawił uszu. Spiał się cały i ruszył biegiem, pełen nowej energii. Biegł i śmiał się coraz głośniej. Wspinał się na wzgórze gruzów. Gdy pokonał jedną przeszkodę, pojawiała się następna. Ale on się nie poddawał. Był niezmordowany. Lokomotywa gwizdała znowu, a on był już za kolejną hałdą. Na drodze pojawiła się niewyraźna postać, jak zjawą. Pociąg wciąż gwizdał.

– *Sprehen Sie Deutsch?!* – krzyknął mężczyzna. Potem padł strzał...

Dudniący huk wyrwał Jana Osawskiego z koszmaru. Usiadł na łóżku w ciemnym, pustym pokoju. Ciszę mącił tylko tykający zegar. Kapitan włączył lampkę. Światło pomagało się opanować i zapomnieć. Nalał sobie nieco wódki do szklanki na stoliku. Wypił i otarł pot z czoła. Wziął teczkę zatytułowaną po rosyjsku „Trust”. Odrzucił na podłogę i oparł się o ścianę.

– Pierdolone szwabysy... Pierdolone szwabysy... – mamrotał, dając upust złości. Nie lubił pracować z niemieckimi sąsiadami, nawet jeśli ci nie ruszali się zza Odry. Nie chciał przykładać ręki do jakichkolwiek rozgrywek w sąsiednim państwie. – Uspokój się... – szeptał. – To szansa. To wielka szansa! To nie czas na zemstę.

Charlie Zielinsky nie mógł spać tej nocy. Kręcił się po mieszkaniu, a właściwie po cuchnącym grzybem pokoiku z aneksem kuchennym. Myślał i bał się. Stał przy oknie, delikatnie odsłaniając firankę. Widok był równie nieestetyczny jak jego lokum. Ulica Apostoła Pawła była ciągle aleją ruin, pustych placów i kamienic, które cudem przetrwały bombardowania. Firma umieściła swoją ukrytą przed światem grupę w dzikim miejscu. Schönberg był nieciekawą dzielnicą między strefami, bliżej granicy ze wschodnim Berlinem. Był za to daleko od garnizonów i urzędów amerykańskich. Jednakowo blisko było stąd do centrum i brytyjskiej strefy.

„Greenman” patrzył ponad dachami podniszczonych domów, daleko na północ. Był tu ciągle nowy i nie czuł się pewnie sam. Nie był też jednak nieopierzonym nowicjuszem. Z każdą minutą wzbierała w nim chęć wyrwania się z tej nory i... Wspominał sen, jaki przyśnił mu się tej nocy. Była tam Kathy. Pobrali się w kilka tygodni po jego powrocie z wojny. Najważniejsza dziewczyna spośród kilku poznanych jeszcze w szkole. Nie cieszyła się, kiedy postanowił wrócić do wojska. Dla niej nazwał to szkoleniem młodych w okupowanych Niemczech. Ale pojechał znacznie dalej, zachęcony przez starego kumpła z czasów wojny, który teraz pracował dla nowej instytucji. Centralnej Agencji Wywiadowczej. Charlie wrócił, uporał się z szokiem, jakiego doznał w kraju przodków, ale podjął decyzję. Nie mówił żonie wszystkiego. Nie miał prawa. Jednak Kathy wyczuwała jego rozterki. Dlatego się zgodziła. Może ona też chciała opuścić Stany i zobaczyć świat.

Teraz w pamięci Zielinsky’ego odżyło wspomnienie drugiej kobiety. Nieznajomej z ciemnej bramy we francuskiej strefie. Nie był kochliwy, ale w tych trudnych chwilach chciał spróbować swoich sił we flircie. Kiedy był na froncie, łapał okazję, nawet gdy już zaczął spotykać się z Kathy. Potem się ustatkował. Ale owej nocy przemożna chęć zobaczenia nieznajomej raz jeszcze nie dawała mu spokoju. Coś po prostu kazało mu ją odszukać. Odszedł od okna. Z szafy wyciągnął grubszy sweter. Dobrał do niego krótką ciemną kurtkę i buty, lepsze niż te, które miał podczas ostatniej pogoni. Zabrał broń, pieniądze, pałkę i niemieckie dokumenty. Jeszcze przystanął przy pękniętym lustrze nad umywalką w kuchence.

– Oszalałeś, kretynie? – zapytał samego siebie. – Odbiło ci dla... – Przerwał. Nie potrafił wyjaśnić sobie tego przypływu energii. Wyszedł na korytarz. Nie zapalał żarówki. Oczy przywykły do ciemności, więc bez trudu omijał kosze, rowery, meble i inne graty cywilnych mieszkańców. Stąpał ostrożnie, nie chcąc budzić kompanów. Ludzi z zespołów lokowano blisko siebie, dla bezpieczeństwa i wzajemnego wsparcia. Piętro niżej mieszkał Marty, choć otoczenie zupełnie nie pasowało do jego stylu.

„Greenman” wyszedł na ulicę. Dozorca zamykał na noc bramę, ale Charlie wiedział, jak poradzić sobie z zamkiem. Nieco po czwartej rano ulica wyglądała jak wymarła planeta. Kilka latarni rzucało nieprzyjemne żółtawe światło na nieforemne, brzydkie nawet nocą bryły budynków. Zielinsky cofnął się na podwórze, do jednego z dwóch aut, jakie mieli do dyspozycji. Charlie lubił tego pickupa, peugeota 202. Wóz miał długi „nos” i zabawne, ukryte za atrapą chłodnicy, reflektory. Łatwo się prowadził, bo był nowszy niż ich bmw, a na dodatek nie rzucał się w oczy. Na wóz dostawczy rzadziej zwracano uwagę. Silnik zaterkotał, a Charles prędko wyjechał na ulicę, kierując się najpierw na wschód a potem na północ. Plan miasta ze schowka bardzo ułatwiał mu podróż, choć i tak polski Amerykanin zgubił się ze trzy razy. Wjechał w kwartały bez światła, za to z dziurawymi jak sito jezdniami, i musiał szukać wyjścia z matni, by nie stracić wozu (a przynajmniej nie uszkodzić zawieszenia). Podróż przez duże zniszczone miasto była jak wyprawa w dzicz. Niepokojąca, ale i ekscytująca. Przejechał obok tablic informujących o granicy stref. Na głównych arteriach niewiele się działo. Czasem ktoś śpieszył do domu. Gdzieś mignął patrol policji albo dżip żandarmerii któregoś z aliantów. Berlin spał. Tylko kilka wozów minęło peugeota. Jeden z samochodów nawrócił i zaczął przyspieszać, ale „Greenman” wjechał w zaulek i odczekał dość długo, upewniając się, że nie został namierzony, ani przez swoich, ani przez obcych. Całe to sprawdzanie się, kluczenie i wyczekiwanie zabierało więcej czasu niż jazda. Było po piętej, kiedy wreszcie Zielinsky’emu okolica wydała się bardziej znajoma. Nauczył się jej podczas rozpoznania przy kawiarni. Teraz było tu ciemno i prawie zupełnie cicho. Półcieńzarówka minęła lokal. „Gre-

enman” skreślił i minął budowę, po której ganiał za fotografem. Zatrzymał się pod drzewem i zgasił silnik. Oglądał dzielnicę, znów szukając każdego niepokojącego elementu.

– I co teraz, mistrzu? – zapytał na głos. – Koncepcję szlag trafiał?

Patrzył po oknach. Nie wiedział, od czego zacząć i czego się chwycić. W oddali, w cieniu za latarnią widział tę bramę, już zamkniętą.

– Jesteś idiotą! – Płasnął się w czoło, wściekły na siebie za porywy serca albo raczej gorącą krew. Już we Francji czy Belgii kilka razy omal nie przyplacił życiem, gdy słuchał wewnętrznego nicponia wędzającego go w problemy. Popatrzył na zegarek. Nie zamierzał bawić się w podchody w drodze powrotnej. Powinien zdążyć, zanim Marty się obudzi albo chłopaki z obstawy zaczną coś podejrzewać. Zapalił jednego, potem drugiego papierosa. Odczekał, bijąc się z myślami. Wyrzucił niedopałek przez okno i chciał zapuścić silnik, kiedy w głębi ulicy pojawił się człowiek. Charles zamarł. Nie chciał zwracać na siebie uwagi w tej okolicy. Liczył, że tamten (pijacek albo robotnik po nocnej zmianie) minie go. Pojawił się następny. Nie wyglądali na wstawionych. Znali się, coś szeptali, unikali światła latarni i gapili się po oknach i za siebie. Nie powinni szukać ogona ostentacyjnie. Charlie zsunął się pod niską tablicę rozdzielczą, ale wciąż widział nieznanym. Niepozornie ubrani mężczyźni zwolnili i wskoczyli w żalomy murów.

– Szlag! – Zielinsky walnął w obręcz kierownicy. Wystraszył się, że go dostrzegli. Postanowił czekać. Z trudem wysunął pistolet z kieszeni, czując, że może mu się przydać. Przypomnił mu się fotograf. Tamten chłopak musiał mieć wsparcie. „Może to oni? – rozważał w myślach. – Ale po nocy?” Berlin był naprawdę dziwnym miastem. A może jego fach był po prostu niecodzienny. Upłynął kwadrans i nic się nie zdarzyło. „Greenman” trwał w niewygodnej pozycji, ale nie zamierzał opuścić. Zżerała go zawodowa i osobista ciekawość. Był w zawodzie parę lat i wiedział, że coś takiego jak przypadek zdarza się bardzo rzadko. Wszystko jest jakoś ze sobą powiązane i wpływa na sprawy, którymi się zajmuje. Stracił jeszcze kilka minut, kiedy z bocznej, ciemnej uliczki wyszła trzecia postać. Zielinsky usiadł wyżej i wyteżył wzrok. W poświacie dostrzegł damską sylwetkę. Kobieta w ciemnym płaszczu szła spokojnie w głąb ulicy, prosto na ukrytych mężczyzn.

Następne zdarzenia potoczyły się bardzo szybko. „Greenman” przestał analizować i zdał się na instynkt. Nie wiedział, kim jest ta trójka, ale wszystko mówiło mu, że zaraz dojdzie do nieszczęścia. Rabunku, gwałtu czy najgorszego: zabójstwa. Nie mógł do tego dopuścić. Otworzył drzwi, ale ich nie zatrzasnął, by nie spłoszyć mężczyzn. Przebiegł na chodnik i potem pochylony, wzdłuż murów, po trawnikach biegł w cieniu. Nie spuszczał wzroku z nieświadomej zagrożenia kobiety. Niewiasta minęła jeszcze dwa wejścia do klatek schodowych, kiedy wreszcie pojęła, że nie jest sama. Stała. Pierwszy napastnik zaszedł jej drogę. Obróciła się przytomnie, szukając drogi ucieczki. Wtedy drugi drab pojawił się nieco dalej po lewej. Mogła krzyknąć, uciekać, ale stała, grzebiąc w torebce. „Greenman” przyspieszył. Zostało mu jakieś sto metrów. Wtedy kobieta rzuciła się do ucieczki, szukając jakiejś kryjówki w murach. Ten z tyłu był szybszy. Dopadł ją i złapał za nadgarstki. Kobieta krzyknęła po raz pierwszy. Nie zabrzmiało to tak, jakby się bała, ale jakby dodawała sobie odwagi. Wyrwała się z uścisku. Zwinnie machnęła torebką. Napastnik oberwał w głowę i złapał się za skroń.

– Ty szmato... – syknął po polsku. „Greenman” nie wyłapał tego od razu. Uznał, że się przesłyszał. Drugi facet doskoczył do kobiety, chcąc mocniej skrzepować jej ramiona i jednocześnie zakryć usta.

– Zamknij się, to może ci nic nie zrobimy – dyszał, usiłując dopiąć swego. Dziewczyna jednak walczyła, a szamotanina zaczęła przykuwać uwagę mieszkańców. Gdzieś dalej zapaliło się w oknie światło. Dziewczyna zrobiła wymach nogą i kopnęła faceta przed sobą. Niewiele mu zrobiła, ale powstrzymała na dość długo, aby doczekać niespodziewanej odsieczy. „Greenman” wypadł z półcienia jak duch. Trzepnął jednego pałką. Zbir zakreślił się i zachwiał. Charlie prędko poprawił uderzenie. Łobuz syknął:

– Jezu! – I opadł na bruk.

Ten drugi stracił zainteresowanie kobietą. Przesunął ją brutalnie, prawie ciskając na ziemię, i wystawił pięści, jakby chciał się boksować. Tańczył na ugiętych nogach, nie bardzo wiedząc, jak wyprowadzić cios przeciwko człowiekowi z pałką. Odczekał, aż kompan otrząśnie się po fandze w twarz. Tamten był

silny albo wprawiony w bitce, bo pozbierał się dość szybko. Skoczył. Zielinsky spostrzegł zbliżający się cień i w ułamku sekundy przesunął się, robiąc unik i unosząc przy tym pięść tak szybko i mocno, że trafiła tyпка w nos.

– Żeby cię skurwysynu... – Łobuz złapał się za nos, bulgocząc we krwi.

– No co, mądrale? Teraz ty... – Charlie rozstawił się mocno na nogach. Palkę trzymał w prawej dłoni, a palcami lewej machał na faceta z przodu. Napastnik na moment stracił rezon, słysząc mowę przodków.

– Po polsku gadasz? – stęknął, jakby nie rozumiał, co się wydarzyło. – A... – zrozumiał. – Ty jesteś od nich! – zawołał, na nowo wybuchając złością. Ruszył do ataku, zapominając o zasadach walki wręcz i trzymaniu emocji na wodzy. Wyprowadził prawy prosty, ale tak niezdarnie i na oślep, że „Greenman” z łatwością go uniknął. Gdy tylko głowa napastnika zbliżyła się bardziej, uderzył w nią palką i facet zwałił się na ziemię. Jego krwawiący z nosa kumpel chwycił go pod pachę, co rusz sprawdzając, czy Zielinsky nie rzuca się, by ich dobić. Było w tym spojrzeniu wiele obawy i wściekłości.

– Jeszcze się policzymy... – cedził niewyraźnie, dźwigając kolegę. – Jeszcze cię znajdę, skurwielu – rzucił na odchodne i obydwaj uciekli w noc.

– Nic pani nie jest? – spytał po niemiecku „Greenman” i podszedł do kobiety. Taksował ją spojrzeniem od stóp do głów, szukając ran. Kiedy dotarł wzrokiem do twarzy rozdziawił usta. – To pani... – Uniósł odruchowo palkę czapkę nad czołem i uśmiechnął się. Blondynka stała jeszcze niepewna i roztrzęsiona, ale nie tak bardzo, jak się Charlie spodziewał. Objęła się ramionami, jakby było jej zimno, i ukradkowo patrzyła po oknach i na ulicę.

– Kilka dni temu spotkaliśmy się. – „Greenman” zdjął czapkę, żeby mogła widzieć jego twarz. – Tutaj gdzieś... wpadłem na panią.

Dziewczyna wreszcie skierowała na niego oczy. Dopiero po chwili uznała, że jest bezpiecznie albo że nikt jeszcze jej nie obserwuje. Zmarszczyła brwi.

– Tak, rzeczywiście. – Pamiętała, ale humor wcale się jej nie poprawił. – Co pan tu robi? – zapytała obcesowo.

– Ja? Pytanie brzmi: kim byli oni?

– Złodzieje – odparła momentalnie, rozglądając się po ziemi, jakby coś zgubiła. – Berlin nocą jest niebezpieczny. Powinien pan o tym wiedzieć.

– Wiem, dlatego dziwię się, że pani chodzi sama o tej porze.

– Dziękuję. Dziękuję, panie...

– Richard... – przypomniał.

– Dziękuję, Richardzie

Podeszła i pocałowała mężczyznę w policzek. Napięcie sprzed chwili go opuściło. Stał się zupełnie bezbronny.

– Tak, to dziwne, że pojawiłem się tutaj – zaczął tłumaczyć. – Ale wtedy narobiłem zamieszania. Zgubiła pani pewną rzecz, a ja myślałem...

Ona nie zdzierzyła niezgrabnych tłumaczeń Richarda i parsknęła śmiechem.

– Zebrało się panu na szukanie nieznamomej o świcie w śpiącym mieście. To nawet romantyczne. Jestem Erika. – Podała dłoń, którą Zielinsky szarmancko ucałował. – Krzywdy wyrównane. A nawet więcej. Jestem pana dłużniczką. Wysłałam wcześniej do pracy. Mam kilka spraw, wolę to załatwić, kiedy jest pusto i spokojnie.

– Więc może panią podwiozę? – Charles szukał sposobu na przedłużenie spotkania. – Mam auto.

– Nie, nie, nie trzeba, to zaledwie kilka kroków. Ale jestem panu winna kawę... Jako mojemu wybawcy. – Zatrzepotała rękami, grając słabą i wdzięczną. – Dobrze zna pan polski. – Nagle zmieniła się w ciekawską obserwatorkę. Zielinsky się zmieszał. Schował palkę, o której właśnie sobie przypomniał.

– W czasie wojny można się nauczyć wielu rzeczy – rzucił niepewnie.

– W czasie wojny... Był pan na wschodzie? Na przykład w Polsce?

– Nic z tych rzeczy... – stanowczo zaprzeczył „Greenman”. – Wprost przeciwnie. Trafiłem daleko na zachód. Poznałem tam kilku Polaków. – dorzucił wątpliwe wytłumaczenie. Wzruszył ramionami, by wydać się spokojnym. Pojął, że nie przygotowano go na taką rozmowę. Legenda była dobra, ale niedokładna. Nikt z miejscowych przecież nie mógł zapomnieć tego, co robił w czasie wojny. Gdzieś z ciemności przedświt w zaczęły dochodzić odgłosy podkutych butów. Niechybnie w to miejsce zmierzał patrol policji. Ludzie widzieli wszystko i ktoś, kto miał telefon, mógł zawiadomić władze. Charlie uznał, że ma szansę wyrwać się z niezręcznej rozmowy.

– Czas na mnie. Przepraszam. Miałem dla pani puderniczkę, ale... – Poklepał się po bokach zawstydzony jak smarkacz. – Zostałem albo zgubiłem...

– Więc będzie pretekst, by spotkać się raz jeszcze – zauważyła kobieta. – Księgarnia Podróżnicza, tam pracuję. Proszę mnie kiedyś odwiedzić. Ale teraz muszę iść. Dziękuję – rzuciła przez ramię i odeszła prędko, usiłując ułożyć sobie wszystko w głowie. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, podając nazwę sklepu, ale szybko dobrze oceniła to posunięcie. Miała szansę na ciekawą znajomość.

„Greenman” chwilę śledził wzrokiem kobietę, a potem ruszył pędem do samochodu. Dwaj gliniarze pojawili się na zakręcie i zwrócili uwagę na mężczyznę. „Greenman” włączył silnik i ruszył ostro, chcąc uniknąć przesłuchania.

ROZDZIAŁ 4

Żeby nie wzbudzać podejrzeń, zwłaszcza w mieście takim jak Berlin, każdy musiał pracować, przynajmniej oficjalnie. Zielinsky szączył czarną kawę, przeglądając prasę w miejscu zatrudnienia. Firma transportowa nie była niczym wyszukany, ale dawała schronienie kilku osobom ze „stajni” McIntosha. Magazyn, w którym parkowało kilka przechodzonych ciężarówek i meblowozów, był rozległy, ciemny i cuchnący. Pokoje na piętrze również. Udekorowano je tylko plakatami ze skąpo ubranymi dziewczynami. Ludzie pracujący tu legalnie nie wiedzieli o dodatkowym pomieszczeniu dla Kermita i jego bandy. „Greenman” zachodził w głowę, jak można było utrzymać to w tajemnicy tak długo. Czyżby szoferzy byli głupi? Czy jednak oszukiwano go i wszyscy byli tu na specjalnym kontrakcie?

– Pierdolone komuchy! – Hugh opierając się łokciami o stół, czytał gazetę. – Stalin zmarł, ale wojna w Korei po staremu. Będą coś szykować na wiosnę...

– Może – odparł Zielinsky, ziewając. – W błocie, zwłaszcza w górach, trudno jest walczyć. Dopiero jak pogoda się zmieni. No, ale wtedy nasze lotnictwo... – przerwał, łypiąc na kolegę znad tekstu amerykańskiego „TIME”. Zrozumiał, że za bardzo się mądrzy jak na niezorientowanego. Jego pobyt w Azji powinien być tajny tak długo, jak to możliwe.

– Prawdę mówisz kolego, prawdę – przytaknął Hugh, przewracając stronę pisma.

Na podwórzu zatrzymał się wóz. Nie widzieli go, bo pomieszczenie nie miało okna. Potem zrobiło się głośniejsze na hali. Było to zastanawiające, bo dzień zapowiadał się nudnawo. Marty’ego, Willa i jeszcze dwóch ludzi posłano do obstawy „prawdziwych”, jak mówili na oficerów CIA, którzy nie musieli odgrywać komedii z innymi tożsamościami.

– Jak myślisz, kiedy mnie wezmą za granicę? – „Greenman” odłożył pismo i odważył się zapytać wprost. Hugh tylko pokręcił lekko głową.

– Jutro, a może za miesiąc. Wszystko zależy od naszych władców na górze – odpowiedział niskim głosem jak lektor z filmu i wskazał sufit. – Oni wiedzą więcej. Kiedy uznają, że się przydasz. – Rozparł się na krześle i położył nogę na siedzisku po drugiej stronie blatu. – Już wiesz, że jest tu niezłe tempo. Co teraz masz do roboty?

– Uczyć się miasta, wschodnioniemieckiej Stasi – odparł Zielinsky.

– Zapewne już to wszystko wiesz? – „Greenman” przytaknął, a Hugh kontynuował: – Przepytają cię. No, ale skoro jesteś taki weteran... – Wycelował palcem jak z pistoletu i udał, że strzela. – To dla ciebie nic. Bądź przygotowany na to, że częściej będziesz się nudził.

– Norma – dorzucił nieskromnie Charlie, jakby wiedział wszystko.

– Niby tak, ale tutaj... Ech, stary, nie można się zabawić, a to wszystko zamknięta forteca! Trzeba uważać na panienki, na barmanów, na wszystkich! Cholerne szpiegowskie eldorado... – zakończył z wyraźnym wstrętem.

– Panienki... – powtórzył Zielinsky, wspominając poprzedni ranek. Zaraz dodał przerażony: – Myślisz, że tu jest aż tak niebezpiecznie? Każda dziewczyna może robić dla tamtych?

Hugh zrobił minę, jakby spotkał głupawe dziecko.

– Oj, kolego, bierz się do nauki. Nie miałeś przygotowania do pracy tutaj? Dziwki są albo ich, albo nasze, ale w większości pracują na dwie strony. Tak zwane porządne... Cóż, znałem tylko kilka. Tutaj musisz mieć uszy i oczy otwarte – dodał ciszej. – Dziś chłopaki są w jednym z obozów przejściowych. Wiesz, że walą tam tłumy uciekinierów z całego wschodu. Podobno tylko w zeszłym roku w tym tłumie było stu agentów z tamtej strony. Rozumiesz? Setka! I to są tylko ci, na których trop wpadliśmy. A jest ich coraz więcej. Tam chyba mają specjalne szkoły, bo masowo ich produkują.

– Tak, zapewne mają. – „Greenman” skwitował to śmiechem, żeby znów nie palnąć czegoś o tym, jak wygląda czerwony Wschód. Był przecież w Polsce, przekonał się, jak sprawnie działa bezpieka. Drzwi do kantorka otworzyły się i w wejściu stanął Kermit. Był ubrany jak prawdziwy robotnik, miał granatowy fartuch na roboczym stroju. Ruszał szczęką, jakby zgrzytał zębami.

– Hugh, skocz na papierosa... – z trudem wypowiedział polecenie.

Hugh spojrzął na obu mężczyzn, bez słowa zabrał kurtkę i wyszedł. Kermit odczekał, aż facet się odali.

– Co ty odpierdalasz, do kurwy nędzy?! – krzyknął, podchodząc do stołu. „Greenman” nie odpowiedział. Wiedział, za co zaraz oberwie.

– Była tu policja! Spisali numery jednego z wozów. Tego, którym jeździł ty, Marty i wszyscy z twojej okolicy. Co robił w Wedding, do jasnej cholery? Majster Weltmayer jakoś to ułagodził, bo glina to jego znajomek z dawnych czasów. Powiedział, że któryś z chłopaków był u panienki. Musiałem zgrywać głupka, że to jakaś robota specjalna. Weltmayer nic nie powie, jest nasz, ale, do ciężkiego diabła – nabrał powietrza – naruszyłeś podstawowe zasady bezpieczeństwa! – Walnął dłonią w stół. – Jeszcze nigdy mi się to nie przydarzyło. Narażasz zespół, „Greenman”! – Nazwał tak Zielinsky’ego po raz pierwszy, odkąd ten przybył do Berlina. – Będą nas pilnować i o nas pytać, jak się okaże, że w tej bijatyce...

– Czemu oskarżasz mnie? – Charlie odruchowo zdecydował się na obronę.

– Bo tylko ty jesteś nowy, nie trzymasz się zasad i sądzisz, że jesteś mądrzejszy! Cholerny piechur! Nawet nie byłeś oficerem – krzychał i pluł. – To już inna wojna, piechociarzu... – Ubódł „Greenmana” tym określeniem. Równie dobrze mógłby nazwać go trędowatym albo idiotą. – Żaden z chłopaków nie wyrwałby się na miasto, ot tak, bez poinformowania zwierzchnika. Przynajmniej nie na drugi koniec Berlina. To niebezpieczne miejsce. I jeśli wplączę nas w te rozróby...

– W nic nie wplączę. – Zielinsky spuszczał z tonu. Wiedział, że nie ma dobrych kart. – Było dwóch pajaców, ale ich pogoniłem.

– A więc jednak! – Kermit klasnął w dłoń uradowany, że przecucie go nie myliło. – Powiniem cię odesłać do Frankfurtu. Albo najlepiej od razu do Stanów. – Odszedł od stołu i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. – Po co tam pojechałeś? – spytał już spokojniej.

– Miałem przecucie. – Brzmiało to idiotycznie, ale „Greenmanowi” nic lepszego nie przyszło do głowy. Kermit zaśmiał się, odchylając głowę, a potem zaczął trzeć skronie.

– Pan Rott miał przecucie.

– Tak, wiem, jestem szarakiem, ale wierz mi: coś w życiu zrobiłem. Myślałem o tym chłopaku z aparatem. O tej kobiecie, na którą wpadłem... – Zmienił priorytet zdarzeń, żeby nie wyjść na kochliwego palanta. – Czemu się tam pojawiła? Czemu zaraz zniknęła? Teraz wiem, że mieszka w pobliżu, ale sądziłem, że to coś ważnego.

Kermit słuchał i coraz szerzej otwierał oczy. Podszedł bliżej i usiadł na krześle, ciężko sapiąc.

– Zaczynasz prywatne śledztwo... Tak mam to rozumieć? Za kogo ty się, kurwa, uważasz? – mówił, nie wierząc, że musi słuchać takich bredni. – Kiedy zamierzałeś dać mi notatkę z tego wypadu? Chyba znasz zasady? Jeżeli idziesz na akcję, nawet tak bezdennie głupią, to masz się wypowiadać. Pamiętaj, to nie jest jakiś cholerny skauting.

– Wiem, rozumiem. – Zielinsky mógł powiedzieć tylko to. Nie zamierzał kłamać, że czekał na dogodny moment.

– To się kwalifikuje do postępowania wewnętrznego – oznajmił Kermit surowo. – Trzeba cię przesłuchać, gdzie byłeś po drodze...

– Proszę bardzo. – Zielinsky jeszcze udawał hardego, ale widział już w wyobraźni początek końca kariery. – Jestem lojalny. Tak, byłem w armii, w cholernej piechocie, taplałem się w bloku i nie skończyłem college’u, gdzie, jak słychać, komuchy werbowwały każdego, kogo tylko chcieli – odparł, uderzając w Kermita i jego dumę ze zdobytego przed wojną wykształcenia. Szeł tylko dziwnie się uśmiechnął.

– Pójdiesz na urlop. Może do Frankfurtu? Odwiedzisz żonę. Jak będziesz niegrzeczny, to jej powiem, że latasz za kobietami po mieście.

– To było przecucie i chyba miałem rację. – „Greenman” zachowywał spokój, trzymając się wersji z zawodowym uzasadnieniem. – Ci, którzy napadli kobietę, byli Polakami. Nie wiem, czy przyjechali ze wschodu. Raczej nie. Zagadnałem do nich, wzięli mnie za zdrajcę. Tak zrozumiałem, więc...

– Zdrajcę czyjej strony? – Kermita rozbolała głowa. – Dwóch Polaczków atakuje kobietę, a ty dorabiasz teorie. Nie mydl mi oczu, to katastrofa. Spiszesz mi wszystko, a potem zobaczę, czy iść z tym do McIntosha czy wyżej. W zasadzie powinienem tak zrobić już teraz. Wiedziałeś, że przestrzegamy tu dyscypliny, a jednak skrewileś, piechociarzu! Ale OK – westchnął po chwili. – Napisz i przynieś to do mnie. Potem spieprzaj do domu.

Wieczór był przenikliwie chłodny, wpadał w coraz głębszy odcień szarości, która niedługo miała przemienić się w czerni. Jakby olbrzymi cień pochłaniał polską stolicę. Samuel Puławski siedział na kawalku deski pod nagim drzewem nieopodal brzegu Wisły. Oparty o pień, patrzył raz na wartki nurt rzeki, raz na nowy most wychodzący spod wzgórza, na którym stał kiedyś Zamek Królewski. Czasem wędrował spojrzaniem ku Powiślu. Pociągnął haust bimbrowa z butelki i zmrużył oczy, jakby uczył się okolicy na pamięć. Nie znał jej i jeszcze nie rozumiał. Domy były pokiereszowane, tak jak ludzie. Zabytkowe mury ciągle czekały na odbudowę. Miasto, które znał z dawnych lat, nie istniało. Nie istniał też jego świat. Przygnębiała go ta ponura barwa nieba zlewająca się z kolorem miasta. To było przygłuszone, półmartwe, jeśli porównać je z Monachium czy zachodnim Berlinem. Zerwał się lodowaty wiatr. Wisła przemówiła, szumiąc niewielkimi falami bijącymi o brzeg. Czarne chorągwie i czerwone szturmówki zaczęły łopotać w długich rzędach nad zdobionymi nimi ulicami. Samuelowi zachciało się płakać. Bał się tego widoku: czerwieni, czerni i patrzących zewsząd podobizn Stalina. Ludzie niby się cieszyli, ale ostatni spędzili tysiące ludzi w Alejach mógł budzić niesmak. Przyszli sami, przekupiono ich czy zmuszono groźbą? Puławski nie miał siły ani ochoty tego roztrząsać. Tłum żałobników, czasem młodych jak on, przeraził go i pozbawił nadziei. Uciekł przed masową żałobą. Nie chciał siedzieć w pokoju i słuchać pytań redaktora o to, jak jest na Zachodzie. O tym Samuel też nie chciał już pamiętać. Zostawił wszystko, a właściwie pozbawił się szans na życie tam. Tu nie widział żadnej przyszłości dla siebie.

– Chłopaki, mieliście rację – szepnęła, powstrzymując łapiący go za gardło szloch. Dopił alkohol i rzucił butelkę za siebie. Wstał, opierając się o drzewo. Ledwo co mógł ustać po takiej ilości trunku, ale było mu już wszystko jedno. Ruszył z trudem. Rzucalo nim na boki. Wiatr rozwiewał połę wełnianego płaszcza wojskowego. Potykając się o kamienie, Puławski dotarł do linii wody. Nie myślał wiele. Wszedł w lodowaty nurt rzeki. Zimno rozchodziło się od nóg po całym ciele. On parł dalej, patrząc na przeciwny, ciemniejszy brzeg. Szedł, a zimno zmierzało do serca. Płaszcz nasiąkał wodą i ciągnął w dół. Krępował ruchy. Wreszcie desperat poczuł smak wody i zanurzył się cały. Czekał, otumaniony wódką, tracąc zmysły. Zaczął się krztusić, dusić, ale powstrzymał się od działań podpowiadanych przez instynkt. Nie próbował wracać. Kiedyś był już w podobnej sytuacji. Zostawiał za sobą wszystko, co doczesne, i mimo że cierpiał, było mu lżej.

Tak jak i kiedyś Bóg, czy kto tam był na górze, nie pozwolił mu zakończyć życia. Puławski nie słyszał plusku, gdy jakiś człowiek wskoczył do Wisły. Silne dłonie złapały go za ramiona i pociągnęły. Twarz wypłynęła na powierzchnię. Odruchowo otworzył usta i łapał powietrze. Samuel zaczął machać rękoma, bełkotać, że nie chce. Kiedy tylko wyciągnięto go na brzeg, zwymiotował, po czym padł wycieńczony i przemarznięty.

Kiedy się ocknął, lekko bolała go głowa. Pamiętał, co się stało, choć umysł podpowiadał, że to wszystko było złym, odległym snem. Teraz Samuel nie rozumiał za wiele. Było mu ciepło. Leżał w białej sali, rozświetlonej pojedynczym punkcikiem światła. Dopiero po chwili dotarło do niego, że jest pod kołdrą, ubrany w suchą piżamę. Złakł się. Podciągnął i siadł na łóżku, szukając swojego ubrania.

– Chcesz uciekać? Po nocy? – wybrzmiało w półmroku wyraźne, spokojne zapytanie.

– Kto... kto tu jest? – Puławski przyłgnął do wezgłowia łóżka, podciągając wysoko okrycie. Z czerni powoli wylaniała się sylwetka człowieka. Nieznajomy podsunął się bliżej wraz z taborettem. W pomarańczowej poświacie Samuelowi ukazała się chuda, zmęczona twarz o półprzymkniętych oczach. Spojrzenie badawcze, docieklive przewiercało Puławskiego na wylot. Twarz siedzącego przy łóżku należała do człowieka, który dużo przeszedł. Samuel nauczył się „czytać” w ludzkich obliczach tragedie podobne do nieszczęść, które jego spotkały.

– Kim pan jest? – zapytał piskliwym głosem. Fizjonomia mężczyzny ubranego w płaszcz, na który narzucony był biały fartuch, i bawiącego się kapeluszem nie przypadła mu do gustu.

– Jestem przyjacielem – odparł spokojnie chudy. – Nazywam się Rafał. Rafał Letelman. – Przerwał i czekał, aż ta informacja dotrze do świadomości niedoszłego samobójcy. Samuel zmarszczył brwi i przekreślił głowę. Wydekłomował nazwisko w myśli, poruszając bezdźwięcznie wargami.

– Znałem Letelmanów – powiedział wreszcie, nieco odważniej.

– Bardzo dobrze. – Rafał uśmiechnął się. – A ja znałem Puławskich.

– Mieliśmy wujka, kuzyna taty... Lewek, wujek Lewek ze Skierniewic. – Samuel pstryknął palcami, puszczać koldrę. Uspokoił się, a jego źrenice błysnęły z nadzieją. – Przyjeżdżał do nas, do stolicy. Był notariuszem. Kilka razy odwiedziłem ich latem, za dzieciaka. Ale to była wyprawa... – Zadrzał na wspomnienie lepszych czasów. – Potem coś się popsulo. Ciotka umarła, wujek zdziwaczał i jakoś się urwało. A myśmy też myśleli, że uciekł, jak się na wojnę zanosiło.

– Może i dobrze, że mama nie dożyła. – Rafał westchnął smutno i opuścił głowę. – Tata nie wyjechał.

– Tata? To ty jesteś... Kuzyn Rafał! – Puławski pobladł (co widać było nawet w półmroku) i osunął się na poduszce. Chciał mówić, ale żadne słowo nie przechodziło mu przez gardło.

– Może wody? – Letelman sięgnął po blaszany kubek z wodą. Ostrożnie napił nieszczęśnika. Ten pił łapczywie, nie spuszczać oka z kuzyna.

– To naprawdę ty? – Samuel nie wytrzymał, musiał się upewnić.

– O ile pamiętam... – Rafał zachichotał i sięgnął do kieszeni płaszcza. – Chcesz zobaczyć mój dowód?

– Nie, nie trzeba... – odparł zawstydzony Puławski. – Ale wyglądasz inaczej.

– Chcesz powiedzieć: staro. – Rafał znów się zaśmiał. – Jest między nami dziesięć lat różnicy.

– Może nawet więcej.

– No to dodaj do tego, bracie, kilka sympatycznych wiosen wojny... Ty też nie wyglądasz jak miły osek.

– Jak w ogóle mnie tu znalazłeś? Skąd wiedziałeś, że ja w szpitalu? To ty mnie...

– Uratowałem? Nie, to zasługa Gienka – wyjaśnił gość. – To cwany chłopak. Kiedyś z nim... powiedzmy: współpracowałem. Szukałeś kogoś z twoich krewnych i tak się złożyło, że skojarzyłem nazwisko. Gienek przyjechał do mnie, opowiedział. Mówił, że masz chandrę. Że spotkanie kogoś z rodziny ci pomoże. Że wróciłeś po tylu latach i nie możesz się odnaleźć. Wiem, wszystko jest inne, nie? – Rafał wyczuwał nawrót depresyjnych myśli u kuzyna. – Ale my żyjemy. Inne miasto, inna Polska, ale można sobie poradzić. Byłe do wiosny, jak mówią... – Poglądził krewniaka po ramieniu. – Trzeba być twardym.

– Jak udało ci się przeżyć? – Puławski zmienił temat.

– Wujek, czyli mój ojciec... siostra... i cała reszta... – mówił wolno, uważając, by głos mu nie zadrzał. Był tu, by pocieszyć młodszego kuzyna, nie mógł poddać się żalowi. – Zginęli. Ja uciekłem z transportu. Oni byli już słabi, ja mogłem walczyć. Deska w podłodze. Siup na tory, potem las. Jedni mnie ukryli. Inni ganiłi, bo za takich jak my to była kula w łeb. Potem poszedłem do oddziału i doczekałem ru-

skich – zakończył na jednym oddechu. – Gienek mnie zaprowadził do ciebie. Nie zastaliśmy cię. Zaczęliśmy pytać. Po sąsiadach, ludziach na ulicy. Tłok był, wiesz... Te uroczystości ku czci. Ktoś cię zapamiętał. Jak doszliśmy nad brzeg... Potem karetka i wylądowałaś tu – skończył, ciekawy reakcji kuzyna. Nie było żadnej. Rafał wiedział, że będzie musiał nad nim jeszcze trochę popracować, żeby krewniak wrócił do równowagi. – Nie można tak, Samuelku. Trzeba się z życiem brać za bary. Coś wymyślimy. – Odsłonił przegub i przesunął zegarek do światła. – Już późno. Słuchaj, będzie dobrze. Obiecuję ci – mówił z nadzwyczajną mocą, kiwając palcem. Samuel wreszcie popatrzył na niego, zaciekawiony. – Zajmę się tobą. – Rafał był opiekuńczy i delikatny. – Prócz siebie nie mamy nikogo... – Samuel uśmiechnął się, pierwszy raz od lat tak szczerze. Wreszcie ktoś miał się o niego troszczyć.

– Dziękuję! – Wyciągnął rękę. – Jak cię znajdę?

– Załatwiłem wszystko z konowalami i pielęgniarkami. Nie będą robić sprawy. Po prostu do wody wpadłeś. Tego się trzymaj – polecił. – A niczego ci tu nie zabraknie. Będę wpadał. Mam sporo roboty, ale dla kuzyna znajduję czas. Potem pojedziesz do mnie. Mieszkam za miastem, bo tam wygodniej, wbrew pozorom, i mniej zniszczone. No stary, trzymaj fason i do zobaczenia. Żyjemy, kuzyn, żyjemy. – Wstał, założył kapelusz i otworzył drzwi. – Serwus! – rzucił wesoło i wyszedł.

Samuel patrzył na drzwi, oczekując smutnego końca tego, co właśnie go spotkało. Spodziewał się, że facet wróci i powie mu: „Żartowałem”, ale mijały minuty i nic się nie działo. Wszystko, przez co przeszedł do tej pory, nauczyło go zawsze trzymać dystans i nie wierzyć w cuda. Ale tego dnia miał to gdzieś. Chciał uwierzyć. Monachium, wyjazd, szok po ujrzeniu miasta i nowych, innych ludzi... Jemu trzeba było bezpiecznej przystani. Uznał, że ją wreszcie znalazł.

– Rafał Letelman – powtórzył i wrócił pamięcią do rodzinnych wypraw na prowincję. Ułożył się wygodnie, splótł palce dłoni i zaczął wspominać. Przeniósł się w lepszy czas. Nie zauważył, jak zmęczony zapadł w prawdziwy, zdrowy sen.

– Nocny z was ptaszek, kapitanie – wystraszył go wesoły głos. Osawski prawie upuścił dzbanek z wodą. Odwrócił się na pięcie i przyjął coś na kształt postawy zasadniczej. Podpułkownik Światło przechadzał się jak po parku. Miał rozpiętą marynarkę, poluźniony krawat i wydawał się pozbawiony trosk.

– Lubię swoją pracę. – Jan Osawski był szczery, choć deklaracja brzmiała jak frazes. Nic dziwnego, że Światło tylko wyszczerzył zęby.

– Nie pogratulowałem wam sprawy naszego czeskiego kolegi... – Stanął przed kapitanem. – Świetna robota.

– Dziękuję, ja tylko koordynowałem kilka spraw między nami a towarzyszami z NRD. Nic szczególnego – oznajmił szczerze. – Sprawę zaś dokończyli towarzysze radzieccy.

– Nie doceniacie siebie, Osawski. – Podpułkownik wielkopańskim gestem złapał ramiona kapitana i potrząsnął, co miało być chyba wyróżnieniem. – Daleko zajdziecie, towarzyszu Janie – ocenił ze znawstwem starego wygi. – Ale wracając do tematu... – Przekrzywił głowę, gładząc podbródek. – Wiem, że towarzysze radzieccy skierowali do departamentu specjalnego wysłannika z Moskwy. – Przysunął się bliżej, nadając rozmowie bardziej poufny charakter. – Powiedźcie... Będą reorganizować czy szykują się do rozwinięcia sprawy Fielda? – Porzucił przyjazny ton i zmienił się w śledczego. – Przecież do niej kazali skierować nasze zasoby na Zachodzie. A i u nas tropią winnych przecieku o ucieczce Zawicka, prawda? Jak daleko sięga ta sprawa? Przecież ostatecznie zbiega pojmano...

Osawski przelknął ślinę i z wielkim wysiłkiem utrzymywał kontakt wzrokowy.

– Czy mam przygotować raport, towarzyszu pułkowniku? – zapytał regulaminowo.

– Nie, nic z tych rzeczy... – odparł stanowczo Światło. – Nie będziemy rozpisywać się o wkladzie towarzyszy z MGB w rozwój naszego ministerstwa. To byłaby niewdzięczność. Chce tylko zapytać po przyjacielsku. Szepnijcie mi słowo, bo jestem ciekawy. – Przymykał powieki przy każdym nowym zda-

niu, jakby chciał zahipnotyzować Jana. – Daliście mi wgląd w sprawę berlińską... – przypomniał wcześniejsze złamanie procedury. W uszach Osawskiego zabrzmiało to jak groźba.

– Nie rozumiem, czemu pułkownik Zardow nie informował kierownictwa resortu – odparł ostrożnie. Jan Światło zmieszał się.

– No cóż... – Podpułkownik rozłożył ramiona w geście niemocy. – Macie rację. Lepiej nie denerwować towarzyszy i trzymać się zasad. Nie chciałbym być po prostu zaskoczony nową sprawą – stwierdził, jednocześnie sugerując, że niewiele wie o planach Sowietów. Osawski poczuł się wyróżniony. Oto krył tajemnice nawet przed wszechmocnym Światłą. Był tu krótko, ale nie spodziewał się, że w Warszawie radzieccy mogą tak poczynać sobie z pułkownikami, a nawet i z ministrami.

– Miałeś pracy, Osawski. – Światło znowu założył dłonie za siebie. Wyglądał na zawiedzionego i zniechęconego. – Nie chcecie się ze mną zaprzyjaźnić. A szkoda, wielka szkoda, bo chciałem was zaprowadzić w ciekawe miejsca. – Kusił młodego i groził. Jan zadrżał, ważąc wszystkie za i przeciw. Sowietci byli ważni i nigdy nie okazali mu zaufania. Ale przecież Światło był ich człowiekiem. Jak każdy szef departamentu i jego zastępca. „W co tu się gra, do chuja?” Nie rozumiał, gdyż nic nie układało mu się logicznie. Wiedział tylko, że Światło go przerażał. Był tu od zawsze i mógł niemal wszystko. „A jeśli mnie sprawdzają? – myślał nerwowo. – A zresztą... Pierdolić to!”

– Pułkownik Zardow zainteresował się sprawą ściągania tu ludzi wywiadów kapitalistycznych. To znaczy naszych obywateli, którzy przebywają na Zachodzie. Osób, które zostały już zwerbowane albo dopiero zostaną. Zwłaszcza kiedy wrogie służby dowiedzą się o ich powrocie do Polski – wyrzucił niemal na jednym oddechu.

– Doprawdy? – Kącik ust podpułkownika uniósł się w grymasie triumfu. – Po to przyjeżdża tu tak doświadczony oficer? Dziękuję wam – dodał słodko. – Życzę powodzenia przy tej operacji. Szepnijcie czasem, co tam szykujecie. Jeżeli Moskwa was wyznaczyła... Cóż, Osawski, przed wami naprawdę ciekawa przyszłość. Kariera, kapitanie. – Ujął dłoń Jana i potrząsnął. Momentalnie stracił też zainteresowanie Janem. Obrócił się i powlókł w dal słabo oświetlonego korytarza. Wydał się bardziej zatroskany niż na początku tej osobliwej dyskusji. Osawski czekał, aż podpułkownik zniknie na szczycie schodów. Poluzował kołnierzyk koszuli i napił się kranowej wody prosto z dzbanka.

Bar na rogu był prawie pusty. Mimo późnego wieczora paliło się kilka zaledwie lamp. Dym z papierosów, który zawisł mgiełką w przybytku, nadał wnętrzu bardziej ponury charakter. Siwy opar i kilku ludzi w środku odstraszały widocznie nielicznych przechodniów przed wkroczeniem na kieliszek sznapsa. „Greenman” siedział na stołku w ciemnym kącie przy barze ze słuchawką przy uchu. Mówił już od kilku minut.

– Może niedługo się zobaczymy... – Charlie Zielinsky przygotowywał powoli Kathy na swoje zwolnienie z berlińskiej posady. W słuchawce usłyszał prawdziwy wybuch radości. „Ciągłe mnie kocha i tęskni” – dziwił się za każdym razem, kiedy dziewczyna z Jersey okazywała entuzjazm, zwłaszcza po tych kilku latach tułaczki po świecie. „Może ona po prostu mnie potrzebuje?” – zastanawiał się, słuchając ciepłego głosu Kathy, tkwiącej samotnie w dalekim Frankfurcie. Charlie zdobył się na kilka komentarzy i snucie marzeń o spotkaniu. Wypił nieco, więc kwieciste uprzejmości przychodziły mu łatwiej. Nie przejmował się nawet tym, że rozmowy mogły być podsłuchiwane. Mówił po angielsku w miejscu publicznym. Miał gdzieś sprawy bezpieczeństwa. Było mu głupio po wypadzie do jasnowłosej Eriki. Nie zamierzał wspominać o tej przygodzie, ale wiedział, że sprawa wyjdzie, jeżeli góra pociągnie temat i pozbawi go stanowiska. Dlatego dzwonił. Zagłuszał wyrzuty sumienia i szykował sobie grunt na przyszłość. Po poruszeniu kilku miłych, ale jednak banalnych tematów, chciał zahaczyć o najważniejsze kwestie, ale jeszcze w przebiegłości trzeźwości uznał, że to zły moment i złe miejsce. Rozmowa zeszała na temat ich syna Josepha, kiedy za szybą wejściowych drzwi pokazał się Hugh. Przytknął dłonie do szkła i wypatrywał znajomego.

– Wybacz, słonko, muszę kończyć. Praca! – Zielinsky zakończył rodzinne pogaduszki i szybko odłożył słuchawkę. Wyskoczył na środek sali i pomachał do kolegi. Hugh podniósł kciuk w górę i nacisnął klawisz. „Greenman” wskazał swój stolik w głębi, pod ścianą. Wybrany zgodnie z zasadami obserwowania pomieszczeń. Zabrał też z kontuaru jeszcze jeden kieliszek. Jego stał na stoliku, w połowie napełniony. Barman, starszy siwy pan, nie odezwał się słowem. Przeglądał gazetę, prawie przysypiając. Amerykanie usiedli. Hugh rozejrzał się po lokalu i dostrzegł jeszcze dwóch pijaczków, chwiejących się przy swoich trunkach.

– Uwielbiam ten lokal... – wymamrotał półgębkiem po angielsku. – Ma swój klimat i przyprawia o depresję. – Podniósł kieliszek i wychylił. – Ale jest dla nas bezpieczny. Jaka inna speluna byłaby dokładniej sprawdzona niż bar sąsiadujący z mieszkaniami grupy szpiegów w tak urokliwej dzielnicy? Sam widok odpycha.

Zielinsky dopił alkohol i dołał jeszcze.

– A ty w ogóle możesz ze mną rozmawiać?

– Przecież nie jesteś trędowaty. – Hugh zdjął kapelusz i rzucił na krzesło obok. Potem mówił dalej, ścisząc głos: – Kermit opisał sprawę, ale bez szczegółów. Polazłeś gdzieś sam. Nie chcę wiedzieć gdzie, ale się domyślam. Starzy wyjadacze cię oceniają, może wezwą na rozmowę lub zmontują komisję. Do tego czasu... Cholera, masz wolne – westchnął i z zazdrością spojrzął na butelkę. Charlie zrozumiał aluzję. Dołał koledze.

– Patrz, jak się cieszę. Normalnie tryskam radością.

– Nie histeryzuj, stary. – Hugh wyciągnął nogi pod stołem. – Myślisz, że to jakaś wojskowa baza, gdzie wszyscy przestrzegają regulaminów co do przecinka? – Podniósł szkło, mrugnął i wlał w siebie kolejną porcję, kwitując przyjemność głośnym westchnieniem. – To jest linia frontu – powiedział nieco zbyt głośno po angielsku, co „Greenman” skomentował, przytykając palec do ust. Alkohol rozchodził się po ciele Hugh, które z racji wykonywanego zawodu odwykło od procentów. Zbyt ostrzeżenia nie dbałym machnięciem ręki. – Czemu pozwalają nam tu siedzieć? Bo to albo nasz lokal, albo nasz barman. – Jego głowa skłoniła się w stronę kontuaru. – Stary nazista albo co gorsza: socjalista, uciekinier ze wschodu.

Coś wiedział o tym miejscu, ale Zielinsky’ego w ogóle to nie interesowało. Wolał trzymać się zasad bezpieczeństwa, żeby nie podpaść przez byle głupstwo. Hugh wpadł go pocieszyć albo wy badać na rozkaz starych.

– Odpuszczą mi? – zapytał wreszcie bez ogródek Zielinsky.

– Myślę, że tak – ocenił Hugh. – Niejeden z naszych gdzieś się wyrwał, nie mówiąc reszcie, i był z tego kłopoty. Ludzie chcą czasem odreagować gdzieś indziej, nie tylko w takich mordowniach.

– Może chcą zadbać o dyscyplinę? – drążył Charlie.

– Może... – zgodził się kumpel. – Ale brakuje nam ludzi, a tutaj, w tym zawsonym mieście, trzeba szczególnie uważać. Nie można dać się zaskoczyć, trzeba być ciągle przygotowanym na cios.

– Ja byłem uważny – przerwał mu Charlie, gapiąc się na obracaną w palcach butelkę. – Coś mnie zastanowiło. Musiałem sprawdzić – tłumaczył. Nie wracał do sprawy blondynki. Wydałoby się to teraz zbyt dziecinne. Hugh uśmiechnął się i zaczął szukać papierosów.

– Lubisz tę robotę. Żyjesz nią. To nawet się chwali. Ale nie możesz działać poza drużyną. – Zapalił lucky strike’a i poczęstował Charliego. – Jeżeli nie masz sobie nic do zarzucenia i spieszysz wszystko, może dadzą ci spokój. Ale to ostatni raz. Potem ani Kermit, ani Mac nie odpuszcą. – Zapatrzył się na Zielinsky’ego, który bawił się papierosem.

– Rozumiem, przyjąłem do wiadomości – odparł Charlie, prawie pewny, że to zawołowane ostrzeżenie od szefów. – Mam pytanie... Jesteś tu dłużej, znasz ten cały syf. Powiedz, gdzie mogliby się zatrzymać przyjezdni z Zachodu? Nie za bogaci albo tacy, co nie chcą zbyt wiele pokazywać?

– Znowu coś kombinujesz? – zapytał zaniepokojony Hugh.

– Niczego nie kombinuję. A jeżeli już, to sam. Ciebie w to nie wciągam. Spokojnie – zapewnił opanowanym głosem „Greenman”, gdy jego kolega zaczął się nerwowo wiercić.

– Chodzi ci o bandytów? Jakis półświatek?

– Nie wiem. Może i tak... – „Greenman” rozłożył ręce, udając, że nie ma żadnego punktu zaczepienia. Właściwie mówił prawdę. Chodziła mu po głowie tylko bardzo ogólna teoria, którą zamierzał zostawić dla siebie. – Powiem ci, tylko żebyś nie wypaplał komuś ze starych – zastrzegł, sugerując, że podejrzewa Hugh o szpiclowanie. – Łącząc po mieście, spotkałem dwóch nieprzyjemnych typów. Polaków, jak mi się wydaje. Byli brutalni i bardzo dziwni. Wkurzyli mnie i chciałbym ich...

– Jesteś chory. – Hugh złapał się za czoło, po czym sam napelnił kieliszek i wypił. Przysunął się z krzesłem do „Greenmana” i kładąc rękę na ramieniu, mówił mu do ucha: – Oficer wywiadu USA ma biegać po Berlinie Zachodnim i szukać jakichś gnojek?

– Nie, nie zamierzam ganiać po mieście – zaprzeczył „Greenman”, zmęczony działaniem alkoholu i tą gadaniną. Spojrzał w oczy Hugh, starając się wyglądać na trzeźwiejszego. – Chcę coś sprawdzić, póki mam chwilę... Bo to coś cholernie nie daje mi spokoju. Wszystko się łączy i przeplata, stary. Ten facet, którego przejmowaliśmy na granicy. Wkurzeni ruscy, potem spotkanie z waszymi informato-rami. Zresztą nieważne. Za wiele widziałem w życiu, by olać tak mocne przeczucie.

– To się nazywa paranoja albo... – Hugh pstryknął palcami. – Obsesja.

– Możliwe, ale czasem się przydaje. Masz tak samo. Wszyscy mamy. Inaczej nie widzielibyśmy znaków. Nikt by nas nie wybrał.

– Znaków? – powtórzył z lekkim zażenowaniem Hugh. – Powinieneś być filozofem, bo za dużo myślisz. Ale masz rację. To inny świat, inny poziom wtajemniczenia. – Zgasił papierosa i przetarł twarz. Myślał, przypominając sobie coś intensywnie. – Takich miejsc będzie sporo... W pracy odwiedzaliśmy kilka. Ale rozumiesz, że to może być ślepy strzał? Jak nic nie znajdziesz, zaczniesz szukać gdzie indziej i do reszty zwariujesz.

– Nie martw się. Znajdę sobie psychiatrę albo się do reszty rozpiję. – Zielinsky postukał w prawie pustą butelkę. Wyciągnął z kieszeni marynarki notes i ołówek. – Poproszę adresy. – Otworzył kajeck. Hugh zaczął wymieniać wszystko, co przychodziło mu na myśl.

Ciemnoszary mercedes benz V170 z 1940 roku prezentował się jak zupełnie nowa limuzyna. Karoseria lśniła, a w chromowanych zderzakach i osłonie chłodnicy odbijały się promienie słońca. Wnętrze też było dobrze utrzymane. Ze środka takiego wozu nawet przynębiający widok zniszczonej (podczas wojny i już po niej) Warszawy nie wydawał się tak dotujący. Być może Samuelowi Puławskiemu humor poprawiała aura – wreszcie słoneczna i nawet ciepła. Najbardziej jednak cieszył się, że odnalazł kogoś ze swoich. Nawet jeżeli nie widzieli się długie lata, a kuzyna zmieniła wojna, to Sami potrafił docenić uśmiech losu. Dał się zaprosić Rafałowi do domu. Była to piętrowa willa. Przetrwiała wojnę albo kuzyn ją wyremontował. Nie był to wyszukany dworek ani jakieś secesyjne чудо architektury, a zwyczajny przedwojenny dom. Otaczał go ogrodzony sad z nagimi drzewami owocowymi i ogród. Najbliższa posesja sąsiadów położona była prawie kilometr dalej. Pomiędzy nimi ciągnęły się pola i łąki otoczone lasami. Mercedes wtoczył się za bramę.

– Jesteśmy, zapraszam... – Letelman uśmiechnął się i wysiadł. Zabrał tobolek z osobistymi rzeczami Samuela i ruszył do domu. – Nie jest to pałac, ale przyzwoicie się mieszka. – Wszedł za chłopakiem do środka.

W pokojach stały meble z różnych kompletów. Wiekowe ciężkie krzesła i szafy oraz lżejsze, nowoczesne sprzęty. Rafał odsłonił okna i do wnętrza wpadło słońce. Zrobiło się przyjemnie, a nawet przytulnie. W kaflowym piecu tlił się jeszcze żar.

– Stać cię na to? – Puławski rozglądał się po wnętrzu. – Nam mówili, że komuniści niszczą kapitalistów, a ty... dobrze sobie radzisz.

– Pewnie, że niszczą – przytaknął Rafał. – Ale Polak umie się dostosować. W Polsce tak trzeba, bez względu na to, jaki ustrój panuje. Marki to zagłębie kuśnierzy. Paru naszych – powiedział dobitnie – przeżyło, to wzięłam ich pod skrzydła. Mebli tapicerowanych trzeba dużo, a państwowe zakłady nie wyrabiają się z produkcją. Szabrem też nie wypełnisz luki. – Wskazała na kilka poniemieckich mebli i zaśmiał się. – Źródło wyszło i tak, a ważni ludzie w urzędach muszą wygodnie siedzieć.

– I wtedy wkraczasz ty?

– W rzeczy samej, kuzynku. W Wołominie ubecja ma spory wydział. No to się z nimi dogadałem. A i butów potrzeba, to skombinowałem szewców. Jeżeli wiesz jak i masz choć trochę oleju w głowie, to można się ustawić. – Rafał zatarł dłonie. – No, chodź, pokażę ci pokój. Będziesz mieszkał u mnie. Odpoczniesz. Poukładasz sobie wszystko, a potem załatwię ci robotę. – Zaprowadził go po schodach na poddasze. Otworzył drzwi do jasnego pokoju z łóżkiem i szafą. – Ciasne, ale twoje. Proszę. – Przepuścił kuzyna.

– Mój pokój – powiedział cicho Samuel, jakby wypowiadał zakłęcie. – No a ty? Żona, dzieci? Nic nie mówiłeś. Nie będą mieli nic przeciwko?

Twarz Letelmana wykrzywiła się.

– Czemu to mam dla szklanki mleka kupować krowę? – Zachichotał bardzo z siebie dumny. – Był człowiek kiedyś porządny. Potem wojna była. To teraz, kiedy człowiek przy forsie, to chce sobie pożyć. A panienek dużo. Sierotki biedne, lubią, jak się nimi zaopiekujesz.

Tymi słowami zaimponował Samuelowi. Puławski robił podobnie, nie troszcząc się o przyszłość ani o to, co po nim zostanie. Z tą różnicą jednak, że na obczyźnie nie zarabiał dość, by oddać się prawdziwej rozpuście.

– No, ale nie tylko o to chodzi. – Rafał przysunął się i spojrzał surowo. – Jak człowiek jest sam, ma większe pole manewru. O rodzinę się nie boi. A jak tak właśnie staram się przydać, Samuelu. Zmienić ten burdel... – Zapadła drażniąca cisza. Sami tylko przełkną ślinę.

– Ruch oporu?! – wypalił, ale zaraz pojął, że to nie było właściwe określenie, bo Rafał znów się uśmiechnął.

– Można tak powiedzieć. Jeśli będziesz chciał, to pomożesz, jeżeli nie...

– Chcę! – Samuel zapłonął entuzjazmem. – W Niemczech robiliśmy też ciekawe rzeczy. Dużo umiem.

Uśmiech Letelmana zrobił się szerszy. Poklepał chłopaka po ramieniu.

– No to świetnie, kuzynie... Umość sobie gniazdko. Zabiorę cię potem na obiad. Wieczorem wpadnie kilku znajomych. Przedstawię cię i omówimy wszystko. Zobacysz, będzie dobrze.

Wydawało się, że z każdą kolejną godziną poświęconą na eksplorację miasto się rozrasta, dosłownie puchnie. Jeszcze kilka tygodni temu dla Charliego Zielinsky'ego był to kadłubek, ucięty przez możnych świata. Tego wieczora spostrzegł, że mieszkańcy uwięzieni w okowach tego tworu robią, co mogą, by zagospodarować tak wiele przestrzeni, jak to tylko było możliwe. Wznosili nowe budynki, zwykłe budy wciśnięte między ruiny, których nie dało się już uratować. Ludzi też było chyba więcej, jakby ktoś otworzył drogę dla uciekinierów ze Wschodu. Części aglomeracji były zróżnicowane. Oddzielone od historycznego centrum przemieniały się w kilka samodzielnych dzielnic. Zupełnie innych, biedniejszych i bardziej niebezpiecznych niż bogate śródmieście zachodniej metropolii. „Greenman” krążył po ulicach, ucząc się tego wszystkiego po raz wtóry. Zresztą tak zgłosił to przełożonym. Nie zabroniono mu opuszczać mieszkania czy dzielnic. Tylko odsunięto go od zadań. Trwało to trzeci dzień, co nie wróżyło dobrze karierze Zielinsky'ego. Starał się nie myśleć o problemie. Nie miał sobie nic do zarzucenia.

No, prawie nic. Na pewno jednak nie zdradził kraju, firmy i zespołu, a o tym wszyscy plotkowali za jego plecami, jakby miał kontakt z kimś z drugiej strony.

„Greenman” co rusz upewniał się, że żaden samochód nie trzyma się go podczas jego wycieczki po zachodnich dzielnicach strefy. Przypuszczał, że dostał zezwolenie na wyjście, bo Kermit lub sam szef szefów chciał go sprawdzić. Mogli dać mu ogon, którego nie zauważył, ale był czujny. To też stanowiło element nieustającej nauki. Charlie czytał z trudem plan miasta w migającym świetle mijanych latarni. W tej części było spokojniej na ulicach. Przechodnie też jakby pochowali się przed chłodnym, nocnym wiatrem. Nie było tu neonów, bogatych sklepów czy restauracji, które wyciągałyby ludzi z domowych pieleszy. Zielinsky zorientował się, że jest blisko celu, ostatniego punktu na liście. Zaliczył już sześć mniejszych i większych hoteli i pensjonatów. Ten zostawił sobie na sam koniec, bo uważał, że tu ma największą szansę na powodzenie. Nie miał pojęcia, jak wyłowić z morza ludzi interesujących go typów. Widział ich tylko raz, w dodatku od razu spuścił im lanie. Pozostało mu tylko zdać się na przeczuć.

Tak znalazł się pod pensjonatem Schmidt na Odenwaldstraße, przy długim ciągu podreperowanych kamienic, w ciasnej ulicy, nieopodal koszar amerykańskiej Brigade Berlin. Charles siedział kilka minut, układając sobie plan. Niepokoił się, że spotka wewnątrz kogoś niebezpiecznego. Zbadał budynek, zwykłą kamienicę z wąskim wejściem, nad którym wisiał sztyld podświetlony jedną żarówką. Do pensjonatu wchodziło się od podwórka. Od frontu znajdował się bar albo jakaś jadalnia z wejściem w bramie. Mieszkańcy spali albo oszczędzali prąd, bo tylko w jednym oknie na piętrze było jasno. Zielinsky wysiadł i przeszedł szybkim krokiem do wejścia, upewniając się, że nikt za nim nie idzie. Wszedł w korytarz. Z jadłodajni sączył się ciągle zapach gotowanego mięsa a przede wszystkim smażonej cebuli. Chciał zerknąć do wnętrza, kiedy potracił go jakiś mężczyzna. Szedł w towarzystwie kumpla. Wysoki jak Charlie, z kaszkietem opadającym głęboko na twarz, ubrany niepozornie. Obaj mężczyźni wyglądali podobnie. Nim Charlie zareagował, tamci zniknęli za drzwiami, a „Greenman” odpuścił. Przeszedł przez podwórze, wszedł do pensjonatu. W środku czuć było stęchliznę i dym papierosowy. Zaraz za drzwiami znajdowała się niewielka recepcja zrobiona z brązowego drewna, które lata świetności miało dawno za sobą. Obok znajdowały się schody wyściełane wytartym czerwonym dywanem. Całość wyglądała jak parodia jakiegoś luksusowego hotelu. Zielinsky zdjął kapelusz i stanął jak najdalej od stopni, żeby nie zaskoczył go ktoś schodzący z piętra. Zastukał w kontuar.

– Gutenabend – powiedział tak naturalnie, jak tylko potrafił.

Zza kotary po dłuższej chwili doszedł dźwięk skrzypiącego fotela. Zaraz zza zasłony wyłonił się starszy pan. Był prawie zupełnie łysy, z nędznymi resztkami włosów na bokach. Udawał hotelarza z prawdziwego zdarzenia, nosił białą koszulę i czarną kamizelkę, którą właśnie zapinał. Chyba zasnął z głową na biurku, gdyż coś odcisnęło mu się na policzku.

– Dobry wieczór – odpowiedział. – Pokój?

– Nie, nie potrzebuję. Chciałem o coś zapytać. – Zielinsky sięgnął do kieszeni płaszcza i położył na blacie banknot dziesięciomarkowy. Wiedział, że to nie luksusowy lokal i starszy niewiele zarabia. Nie potrzebował niepłacących natrętów.

– Słucham pana. – Dziadek uśmiechnął się jak uprzejmy biznesmen i schował banknot do kieszeni.

– Szukam starych znajomych, dwóch Polaków. Mieli przyjechać do miasta cztery, pięć dni temu... – Zielinsky zaczął niewinną opowiastkę.

– Jak się nazywają? – Łysy mężczyzna wyciągnął książkę meldunkową. Zielinsky usiłował szybko wylać jakieś imiona, czytając do góry nogami. Nie potrafił jednak. Wpisy były zbyt niewyraźne.

– Nie pamiętam... – Charlie wyznał szczerze, robiąc przeproszącą minę. – Jeden miał złamany nos – przypomniał sobie z ulgą. – Obaj są podobnie zbudowani jak ja. Napadnięto ich, kiedy przyjechali do miasta. Pomogłem im. Obiecali postawić kolację i pomóc z robotą w firmie przy magazynach amerykańskiej armii. Bardzo mi na tym zależy. Mieli mieszkać w tej okolicy.

– Mieli załatwić pracę? Napadli ich? – powtarzał dziadek, patrząc krzywo spod siwych, krzaczastych brwi. Układał sobie wszystko w całość, nie dając wiary tym bajkom. Zamknął ostentacyjnie księgę. „Greenman” był przygotowany na taką opcję. Wyciągnął banknot o nominale 50 marek i podał. Duży nominal jak na bezrobotnego.

– Zapewniam pana, nie jestem z policji i na pewno nie szukam kłopotów – oświadczył poważnie. – Rozumie pan, panie Schmidt.

Starszy uspokoił się, lekko uśmiechnął i zabrał banknot.

– Skoro naprawdę panu zależy... Ten ze złamanym nosem to – znów otworzył spis mieszkańców – Krzy... sz... tof – przesylibizował z trudem. – Drugi zaś... Casimir. Kowalski i Malinowski – przeczytał. Obaj podejrzewali, że nazwiska są zmyślane.

– Są u siebie? – Zielinsky aż się zatrząsł z uciechy.

– Nie... – zaprzeczył właściciel. – Wyszli po obiedzie w naszej knajpce. – Wskazał na okno, dodając zbyt wiele ważności tej garkuchni. – Pytali, jak dojechać na dworzec Zoo, więc pewnie chcieli kogoś odebrać.

– Nie wyjeżdżali? – zapytał „Greenman”.

– Nie, nie sądzę. Nie mieli bagażu... – Dziadek wykazał się spostrzegawczością i umiejętnością dedukcji. Zielinsky zaczął podejrzewać, że zawdzięcza je latom pracy w hotelu albo wcześniej był śledczym.

– Nie zwolnili też pokoiów, więc zapewne wrócą. Może niedługo, bo godzina już późna. – Łysy zerknął na zegar nad recepcją. – O tej porze lepiej tu się nie kręcić... – wyszeptał i zaczął przyglądać się Charliemu. Zielinsky uznał, że czas kończyć pogawędkę. Musiał złapać tamtych, kiedy będą wracali. Inaczej łysy opowie im o nim, opisie dokładnie i skojarzą to wypytywanie z napadem na Erikę. „Spłoszysz mi ich” – wystraszył się Charlie.

– Pięknie dziękuję – odparł i wcisnął kapelusz głęboko na czoło.

– Ci pańscy koledzy musieli wielu ludziom podpaść... albo naobiecywać – dodał starszy pan.

– Słucham? – Charlie zrobił się uważniejszy.

– Przed chwilą było tu dwóch facetów. Też pytali o Polaków. Ale znali ich imiona i nazwiska. Podobno to ich koledzy z czasów wojny, czy jakoś tak. – Przygryzł wargi, porządkując kontuar. – Ja tam nie wiem. Pan to wyjaśni...

Zielinsky wyskoczył na podwórze pełen niepokoju. Miał rację. Znalazł, kogo chciał, ale wdepnął w coś większego. „Chyba się nadajesz do tej roboty” – pochwalił go wewnętrzny głos. „Greenman” zapiął kurtkę i skierował się do auta. Chciał poczekać, zastanowić się i przestać marznąć.

W zaparkowanym samochodzie było coraz chłodniej. Będąc w miejscu dobrym do obserwacji, Zielinsky nie mógł się ruszyć i rozgrzać, spacerując. Siedział w ciemności, nie ruszając się, by nie zwracać uwagi. Marzył przy tym bardzo. Charlie spodziewał się, że tamci wrócą jeszcze tej nocy. Nie wierzył, że są na tyle bogaci i pewni siebie, by zmienić hotel na bardziej wytworny. Musieli kryć się, gdzie mogli.

– Odwaliliście znowu jakiś numer i was namierzyl? Policja? A może moi szanowni koledzy? – szeptał i rozważał różne opcje. „Jeżeli znają ich personalia, to mogą dopaść na mieście”. To wydawało się logiczne. Aparat policyjny miał po temu spore możliwości. Wystarczyło uruchomić tajniaków, informatorów i w jedną noc można było dopaść dwójkę Polaków. Tyle tylko że jakaś cząstka „Greenmana” nie zgadzała się z tą teorią. Część jego umysłu, która opierała się na doświadczeniu i od zawsze buntowała wobec zastanego świata, szeptała, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Nikt nie chciał rozgłosu, tylko dopaść tych dwóch po cichu. Właśnie teraz, nocą. Uplłynął kolejny kwadrans i w przesywyającym zimnie „Greenman” zaczął wątpić w swoje teorie.

W spowitej mgiełką prawie ciemnej ulicy wyrosły sylwetki dwóch osobników. Charliemu od razu zrobiło się ciepło. Złapał za klamkę. Przypomniała mu się przygoda z Eriką. Tym razem zaparkował lepiej, w ciemności i na uboczu. Żaden glina nie dalby rady odczytać numerów. Otworzył cicho drzwi. Chciał wyjść, ale właściwie nie wiedział, jak zagadać i nie wystraszyć figurantów. Był sam, a tamci byli ostrożni. Już nie dalby się zaskoczyć. Wysiadł i przemknął do ściany budynku obok. Słuchał kroków we mgle i patrzył na wejście do pensjonatu. W ciemności zaszumiało jeszcze głośniejsze. Gdzieś niedaleko pojawiali się kolejni ludzie. „Greenman” poczuł satysfakcję, dostrzegając, że ktoś działa podobnie, czai się cierpliwie przy noclegu poszukiwanych, zamiast biegać za nimi po mieście.

Hałas podniósł się między ścianami domów. Buty szurały na bruku, ktoś jęknął. Skądś dobiegło urwane przekleństwo. Szamotanina przesunęła się w dal, jakby bijatyka we mgle przemieszczała się w jakieś bardziej ustronne miejsce. Zielinsky sięgnął po pałkę i wbiegł w opar, usiłując zorientować się w sytuacji. W mroku podświetlonym blado odległą latarnią albo jakimś neonem widział mocujące się ze sobą cienie. Było ich kilka. Nie mógł policzyć ani nie umiał ustalić, kto z kim walczy. Słyszał tylko zadawane ciosy, szuranie podeszew i jęki. Wreszcie ktoś palnął głośniejsze dobrze znane „Kurwa twoja mać...” i syknął z bólu chyba po zadanych ciosie. „Greenman” zrozumiał wreszcie, kto jest swój, a kto nie. Zamachnął się pałką i ruszył do szarży, choć miał świadomość, że sporo ryzykuje. Wdawał się w nie swoją walkę. Odgonił dręczącą wątpliwość. Podczas starcia zawsze lepiej było mieć spokojną głowę, niczego nie roztrzasać. Sieknął bronią pierwszy cel. Tamten zgarbił się i skulił od niespodziewanego bólu. Zielinsky odciągnął go na bok i wziął na cel jeszcze jednego. Przywalił dwa razy, nim facet zrozumiał, co się dzieje. Złapał się za twarz, ale drugą ręką usiłował odgonić „Greenmana” jak natrętną muchę. Charlie zrobił unik i z bekendu trzasnął przeciwnika w brzuch. Facet syknął: „Scheisse!”, co uspokoiło Charliego. Bij Niemców, czyli właściwe osoby.

Tymczasem kolejny osilek przeskoczył za plecy Zielinsky’ego i chciał złapać go za szyję. Charlie znał te zagrywki. Schwycił grubą dłoń napastnika, wykręcił kciuk w dół z taką mocą, że palec prawie wyskoczył ze stawu. Tamten niewiele sobie z tego zrobił, więc „Greenman” całym ciężarem ciała pociągnął rękę w dół. Dopiero takie skręcenie kończyny wywołało ból nie do zniesienia. Dryblas skrzywił się, zaczął syczeć, mamrocząc przy tym coś niezrozumiale. Kiedy „Greenman” zniżył się wystarczająco, uderzył w tył kolana tamtego. Siłacz padł jak długi, a Zielinsky wyprostował się i brutalnie „wylączył” przeciwnika, kopiąc go w głowę. Zdyszany i spocony przyjął postawę do walki, czekając na kolejnego wroga, ale żaden nie nadciągnął. Dwaj Polacy kończyli zabawę ze swoimi przeciwnikami. Po kilku chwilach w zaułku było już cicho. Zarówno napadnięci, jak i ratujący trwali w kurjozalnym milczeniu, myśląc, z kim mają do czynienia i jak zacząć prezentację.

– *Vielen dank...* – zaczął niższy z dwójki. Było w jego głosie sporo zażenowania i lęku.

– Nie szprechaj mi tu. Po polsku umiem – burknął Zielinsky. Prawie nie było słychać jego amerykańskiego akcentu. Kursy przypominające i rozmowy z synem prowadzone, by dzieciak nie zapomniał języka dziadków, przyniosły rezultaty.

– Ty nasz... Znaczy się Polak? – Ten wyższy zbliżył się, opuszczając gardę.

– Tak. Ale to nie miejsce na pogaduszki. – Zielinsky rozglądnął się. – Jeżeli będzie ich więcej...

– Możliwe – odparł ten niski. – Czekamy na kumpli. Mieli tu przyjechać, a my sprawdzaliśmy, czy droga wolna.

– No to nie była wolna. Macie jakieś pomysły? Macie jakiś zapasowy lokal?

– Nie znamy miasta – przyznał ten wyższy, zawstydzony. Chodnikiem ktoś nadchodził.

– Chować się – zarządził „Greenman” i przywarł do muru, wychylając tylko głowę. Zaciśnął palce na rękojeści pałki i zbierał siły na kolejną bitkę. Nadchodzące postacie przystanąły. Usłyszał ruch trójki ludzi w zaułku. Coś przeczuł. Ktoś na chodniku zagwizdał cicho jakiś kawałek nieznanej „Greenmanowi” melodii.

– W porządku, to nasi. – Wyższy z Polaków odetchnął i wyszedł z cienia. Charles Zielinsky był sam, a ich czterech. Nie miał pojęcia, kim są, skąd przybywają, ale chciał im pomóc. Tliła się w nim iskierka

pewności, że wybrał dobrze. W chwili zaskoczenia pod domem Eriki wyzwali go z obrzydzeniem od komunistów, więc musieli być po właściwej stronie barykady.

– Macie pieniądze? – zaskoczył ich pytaniem. Tamci zjeżyli się, patrząc po sobie.

– Potrzebny wam hotel – wyjaśnił zaraz Charlie. – Tu nie zostaniecie, bo już was odkryli.

– Ma rację... – przyznał jeden z Polaków.

– Przydałyby się wam nowe dokumenty... – myślał na głos Charlie, ale nie miał pojęcia, jak zdobyć papiery wystarczająco szybko. Był obcy w tym mieście, tak samo jak oni.

– Chcieliśmy coś załatwić – zaczął tłumaczenia starszy z Polaków – ale musieliśmy przejść odprawę na granicy z NRD. To cwane bestie. Bałem się, że szybko się zorientują. Już załatwienie wizy tranzytowej było trudne.

– Rozumiem. – Zielinsky uniósł kapelusz i przetarł czoło. – Nie możemy tak stać. Mam tu auto. – Wskazał kciukiem za siebie. – Nic wyszukanego, ale chyba się pomieścimy. – Jego wzrok powędrował w górę, ku głowie najwyższego z czwórki.

– Jak się panu odwdzięczymy? Właściwie jak się mamy zwracać? – Herszt tej zbieraniny wyraźnie pozbywał się obaw.

– Karol... jestem Karol – przedstawił się po polsku Zielinsky, tak jak nazywano go wczesnym dzieciństwie.

– A dalej?

– Na razie tyle. – „Greenman” nie wymyślił dalszego ciągu bajeczki. – Was dwóch znam... Krzysztof i Kazimierz. A reszta? – Jego palec wskazał szefa i wielkoluda.

– Jestem Bernard. – Dowodzący uprzejmym gestem uchylił kapelusza. – A to „Talun”. To znaczy...

– Michał. – Siłacz przedstawił się sam.

– „Talun”. – Karol z przyjazną miną patrzył na dużego. – Rozumiem, rozumiem. Ojciec mi opowiadał, że był taki mocarz... – Podniósł kciuk do góry. – OK, panowie, skoro przełamaliśmy pierwsze lody, czas zniknąć, zanim ci tu – pokazał na nieprzytomnych na ziemi – zostaną znaleźieni przez zmartwionych kolegów.

– Gdzie się zatrzymamy? – zapytał Krzysztof, ten z opatrunkiem na nosie. Reszta podeszła bliżej, ciekawa odpowiedzi.

– Cóż... Nie będzie to hotel Savoy, ale powinniście być bezpieczni.

– Potem co?

– Potem się zobaczy...

ROZDZIAŁ 5

Szli, milcząc i śledząc w ciemności płomień zapalniczki „Greenmana”. Stąpali ostrożnie, jak polecili przewodnik, ale i tak co kilka kroków stopnie starej klatki schodowej skrzypiały pod stopami. Przystawali wtedy i czekali, aż któryś z nielicznych lokatorów wyjrzy przez drzwi i sprawdzi, co się dzieje. Na szczęście uniknęli zainteresowania. Wcześniej też nie zwrócili niczyjej uwagi, wchodząc do budynku od tyłu, po dachach garaży i składzików od strony zrujnowanej części kwartału. Wszystko po to, by nie zauważył ich dozorca, który mieszkał na parterze kamienicy Charlesa, znanego tu jako Richard Rott. „Greenman” był pewien, że ten inwalida wojenny w średnim wieku jest na liście plac jego firmy i nie omieszka donieść o nieproszonych gościach. Jak na Niemca, czyli urodzonego służbę, przystało. Wreszcie wspięli się na strych. Pachniał kurzem i stęchlizną. Dwa zapachy, z którymi Berlin miał kojarzyć się Zielinsky’emu już zawsze. Charlie znalazł skobel i założoną nań kłódkę. Odszukał jakiś pogrzebacz czy zwykły pręt i zabrał się za otwieranie drzwi. Stał zabezpieczenia była solidna. Przetrwiała wojnę i pierwsze próby Amerykanina. Ten zapierał się i syczał, ale niewiele to dawało. Człowiek, przedstawiający się jako Michał, poklepał go dobrotliwie po ramieniu i delikatnie odsunął. Przejął pręt i za drugim podejściem wyrwał zasuwę, jakby była zrobiona z papieru.

– Proszsz... – Odsunął drzwi dumny z siebie. „Greenman” pokręcił głową i wszedł do pomieszczenia, które pełne było starych gratów wyniesionych z mieszkań. Piętrzyły się połamane regały, kosze z jakimś szmatami, deski i wiadra – dosłownie wszystko, co mogło się przydać przezornym, doświadczonym przez wojnę biednym lokatorom. Na podporze gontu błysnęło szkło. Zielinsky rozpoznał kłosz od naftowej lampy. Była cała w pajęczynach, ale na dnie znalazło się jeszcze nieco nafty. Zapłonęła bez problemu.

– Siadajcie, gdzie kto może. – „Greenman” zdjął kapelusz i skinął ręką.

– Zaraz... – Facet z opatrunkiem na nosie pochylił się i zmrużył oczy. Ognik lampy odbijał się w jego oczach. – Szefie! – krzyknął, aż wszyscy zadrżeli. – To ten kutas, który nas zaprawił...

Na to hasło dowodzący odskoczył w tył, a wielkolud wyciągnął pięści gotowy walić na oślep. Facet o imieniu Kazimierz przeskoczył jakąś skrzynię, obchodząc „Greenmana” z flanki.

– Spokojnie, chłopaki. – Zielinsky cofnął się, ale nie za daleko, gotowy się bronić. – Tak, to prawda... – zaryzykował szczerością. Czwórka Polaków dyszała wściekła, wpatrując się w niego z nienawiścią. – Pogadajmy, to wyjaśnię. Myślałem, że napadacie na kobietę...

– Ruską szmatę – syknął herszt.

– No właśnie... – zgodził się Zielinsky. – Coś z nią jest nie tak. Już raz mi podpadła i chciałem to sprawdzić, kiedy natknąłem się na szanownych kolegów. – Serdecznym gestem wskazał Kazimierza i Krzysztofa.

– Chuj jesteś, nie kolega – syknął Krzyschu i splunął.

– Wiem, nie ufacie mi. – „Greenmanowi” kończyły się pomysły. – Ale wam dzisiaj pomogłem, więc chyba odkupiłem winy. Gdyby nie ja, już by was mieli. Wszystkich. Jestem po waszej stronie, a poza tym nie radzę wam robić rabanu w tym budynku. – Skierował palec w podłogę.

– Co masz na myśli? – spytał w imieniu reszty szef. Zielinsky tylko chytrze się uśmiechnął.

– Nie chcecie kłopotów... Bo wtedy nawet ja was nie uratuję.

Wódz tamtych przechylił głowę, usiłując wyczytać z twarzy „Greenmana” coś więcej. Był zaintrygowany i tracił pewność siebie. Gdyby wiedział, że ten cały Karol załatwił jego ludzi, nie pchałby się tutaj.

– Dla kogo pracujesz? – zapytał wprost. Dał znak i reszta uspokoiła się. Karol nie miał zamiaru ujawniać prawdy. Znał zasady.

– Mam kontakty. – Zabrzmiało to obiecująco. – Nie lubię tamtych... To znaczy uważam ich za wrogów i nieraz miałem z nimi do czynienia. Tak to zostawmy. Mogę wam pomóc. A wy możecie mi pomóc i wszyscy będą zadowoleni.

– Czego chcesz? – Kazik nie krył złości. – Wydasz nas glinom, co? Szantażyk?

– Nikogo nikomu nie wydam. – Karol był opanowany i starał się uspokoić zebranych. – Siadajcie. – Wskazał na podłogę. O dziwo, posłuchali. – Jak się nazywacie? – zapytał „Greenman”, patrząc na szefa grupy.

– Mówią na mnie „Hrabia”. – Bernard Nowolipczyński wydawał się dumny ze swojego przezwiska. – „Taluna” znasz. Zresztą pozostałych też – dodał załamany, bo budowana długo konspiracja rozleciała się jednego wieczoru. – Co chcesz wiedzieć o tej babie?

– Wszystko co się da. – Zielinsky założył ręce na piersi, czekając na opowieść.

– Nie mówmy mu nic. Nie wiemy, kto to jest. – Krzysiek stał pod drzwiami i z trudem panował nad drżącym ciałem.

– W sumie racja. – Ten duży rozpiął jesionkę i poprawił pasek u spodni. – Frajer pucuje się ot tak, z marszu.

„Greenman” usiłował sklecić wiarygodną legendę, ale pod taką presją improwizacja słabo mu wychodziła.

– Wyzwolili mnie jankesi i zostałem na Zachodzie. Przecież nie miałem do czego wracać...

– Skąd jesteś? – Kazik wciąż był nieufny.

– Z Gdyni. – „Greenman” zareagował od razu, tak jakby to była prawda. Prosił Boga, żeby nikt z nich nie był znad morza. – Dokładniej... Rodzice spod Wilna. W Gdańsku się urodziłem, ale zdążyłem poznać Gdynię.

Wysoki siłacz bezwiednie się uśmiechnął.

– To już lepiej. Ja też ze wschodu. Amerykanie wyzwolili mnie z Falkenau... – Charlie odszukał w pamięci nazwę obozu, jaki jego dywizja wyzwoliła pod koniec wojny.

– To dziś Czechosłowacja. Pomagałem Amerykanom szukać strażników, tłumaczyć, a potem pytali mnie o różnych przybyszów ze wschodu. Robię za gońca w jednej amerykańskiej firmie. A dorabiam jako tłumacz, jak wojsko albo nawet policja poprosi. Zwłaszcza jak przyjedzie nowa grupa uchodźców z Polski.

– Jaka dywizja cię wyzwoliła? – „Hrabia” postanowił sprawdzić faceta, pytając o szczegóły.

– 1 Dywizja. – Zielinsky odparł bez namysłu, nawet z dumą. – 18 Pułk... Stacjonują chyba ciągle w Vilsack w Bawarii, ale głowy nie dam. – Sprawiał wrażenie niezainteresowanego tą sprawą.

– Dobrze. – „Hrabia” odprężył się wreszcie. Wyprostował nogi, czując się swobodniej. – Skąd znasz tę blerwę? – W tym momencie Zielinsky ledwo powstrzymał się przed westchnieniem ulgi i otarciem potu z czoła.

– Pojawiła się w jednej aferze... – Mieszał kłamstwo z elementami prawdy. – Było pewne zamieszanie z facetem nasłanym prawdopodobnie z NRD we francuskiej strefie. – Na te słowa „Hrabia” wymienił długie spojrzenie z Kazikiem i Krzyskiem. – Pogoń, rozróżba na mieście. – Zielinsky opisał swoją goniwę za fotografem. – Ta dziewczyna kręciła się w pobliżu. Nazywa się Erika...

– ...Herpf – dokończył Kazik.

– Właśnie. Znalazłem ją, kiedy szanowni panowie chcieli jej zrobić krzywdę. Wybaczenie, nie wiedziałem, że ta panienka to nie anioł.

– Skąd właściwie o niej wiesz? – „Talun” włączył się do przesłuchania.

– Ci Amerykanie ze śledczego – Zielinsky nie precyzował, o kogo chodzi – opowiadali o tym. To grubsza sprawa. Obejmuje całe miasto, nie tylko jedną strefę. Zainteresowała mnie. Postanowiłem sprawdzić. Wiem – uprzedził kolejne zasadne pytanie. – Powiniennem to zostawić francuskiej lub amerykań-

skiej żandarmerii, ale... powiedzmy, że lubię detektywistyczną robotę. Coś wywącham, dam znać i może wezmą mnie na etat.

– Naprawdę dobry z ciebie detektyw. – Usta „Hrabiego” wygięły się w nerwowym uśmiechu, a oczy wpatrywały w Karola. Zielinsky zrozumiał, że szef go przejrzał i nie wierzy w żadne słowo tej legendy. Ale nie zamierzał robić z tego afery. Potrzebował kogoś z takimi koneksjami, jakie miał Charlie, więc grał głupiego.

– Świetnie się złożyło, że nas znalazłeś.

– Było oczywiste, że jak robicie taki numer, musicie się gdzieś schować. A że znam miasto...

– Dobrze, zostawmy to – uciął szef. – I chciałbyś wiedzieć coś więcej o tej... pani. Zapewne też chciałbyś dowiedzieć się więcej o naszych z nią stosunkach?

– Jeżeli można. – Karol momentalnie spoważniał. „Hrabia” popatrzył po swoich.

– Cóż... Dobrze. – Potarł twarz. Myślał i kalkulował. To dało się zauważyć. Zawędrowali za daleko. Za czymś bardzo ważnym dla całej czwórki. – Było nas więcej... – „Hrabia” zdecydował się mówić. – Jeden z nas... wyjechał. A właściwie został zwabiony przez tę kobietę. Przekonała go, by wrócił do domu, do Polski.

– To takie złe? – Zielinsky udał naiwnego.

– A nie? – Kazik się obruszył. – To czemu tu marki zarabiasz, zamiast szurać do swojej Gdyni?

– Daj spokój – poprosił „Hrabia”. – Jeszcze ktoś usłyszy. Wracając do tematu, tak, uważam, że to źle. Ta baba albo jej pacholki polują na takich jak Sami. To Żyd z Warszawy. Getto, potem obóz, ale przetrwał. Wyzwolili go Amerykanie w Dachau. Nie ma nikogo, ale z uporem wierzył, że jednak ktoś żyje. Mógł jechać do Izraela, bo w tym nowym państwie ludzi trzeba, ale on... źle znosi upały. Za gorąco mu, to słaby się robi. Chuchro takie. Jak mu już trudno było z tęsknotą sobie radzić, zaczął bredzić, że do Polski chce. Przyjechał kiedyś jeden Francuz i dawaj, agitować. Komuch chyba. Jak trafił do nas, do jednostki, po innych garnizonach też jeździł. Pogoniliśmy go, ale w Samim coś zostało.

– Do jednostki? – Charlie powtórzył, zaciskając usta. „Hrabia” dał mu ważną wskazówkę. Zaczynali mu ufać i nieco bardziej się otwierają. – Kompanie Wartownicze? – dopytał. Grupa się zmieszła. Łypali na siebie albo wbijali wzrok w podłogę, bali się teraz odezwać, jakby zawstydzeni, że zdradzili za wiele.

– Tak – potwierdził Bernard. – Wzięliśmy urlop, bo chcemy uratować kumpla – oświadczył zdecydowanie.

– Uważacie, że coś mu grozi? – Zielinsky docisnęła, ciekawy, kto pierwszy zacznie mówić naprawdę ciekawie.

– U tamtych? Zawsze! Ludzi z Zachodu oni nie znoszą – oznajmił „Talun”. – Ja z Wileńszczyzny, ja wiem, co to ruska swołocz i ich okupacja.

– A reszta?

– My wiemy, co to za jedni. Wielu do nas przychodziło ludzi, co uciekli z Polski. Opisać się tego nie da.

– W porządku... – Zielinsky odpuścił. Nie miał ochoty ani siły bawić się w intelektualne podchody. Za wiele się działo jak na jedną noc. – Ale może ten wasz kumpel...

– Samuel – wtrącił Kazik

– OK, Samuel. Może jest w Berlinie?

– Nie – zaprzeczył stanowczo „Hrabia”. – Pozamykał swoje sprawy, zniknął jakieś dwa tygodnie temu z jednostki, a potem... Dostałem ten list. – Z kieszeni wyciągnął złożony skrawek papieru. – *Witaj dowódcu – zaczął czytać. – Przepraszam za wszystko, ale dłużej nie mogłem... Wróciłem na stare śmieci. Jest trudno, ale się przyzwyczajam. Jestem u siebie. Tu duże zmiany. Ludzie sympatyczni, cieszą się, że będzie lepiej. Pozdrów całą naszą ferajnę.* Samuel – zakończył wyraźnie zniesmaczony i pokazał kartkę Amerykaninowi.

– Coraz ciekawiej – stwierdził „Greenman”. – Wystawił was i zwał w kierunku wschodzącego czerwonego słońca.

– Bzdura! – Bernard fuknął, jakby Charlie obraził jego inteligencję. – List przychodzi w kilka dni po jego wyjeździe? Na mój adres. Nie ma cudów... Poza tym to nie on go pisał. Nigdy by nas nie nazwał ferajną, prędzej chęwą. To w jidysz. On z Warszawy, tak się u niego na podwórku gadało. No i najważniejsze... – Wskazał podpis. – On, odkąd został na Zachodzie, nazywał siebie Samim, nie Samuelem.

– Może zdanie zmienił? – głośno myślał „Greenman”.

– Raczej ktoś go zmusił albo wysłał to za niego – stwierdził „Hrabia”.

– Odważna teza... – Zielinsky zaczął masować skronie, w których pojawił się ciężki ból. – Tylko po co?

– Właśnie – odezwał się zamyślony Krzysztof.

– Może ma kłopoty... – zastanawiał się dalej „Hrabia”. – Chcą uspić naszą czujność.

– Będziecie się martwić, jak przyjdzie drugi list. To już znacznie śmiesznie. Na razie... cóż, chłopakowi odbiło. Może ta Erika go przerobiła. Zgrabna z niej babeczka.

– Po Francuzie i ona bywała w Monachium... – zastanawiał się Kazik na głos. – Sami znikali. Mówił, że poderwał panienkę z Berlina, tę Erikę. Gadał, że odważna, że prowadzi interes z książkami. Zaczęliśmy jej szukać, jak list przyszedł. Nie było to bardzo trudne. Chcieliśmy złapać ją i pogadać po pracy, pod domem, bo w dzień ludzi dużo. To się rozglądaliśmy na chybił trafił po okolicy kilka dni.

– Gruba sprawa. Żeby wyciągać stąd na wschód jednego, z całym szacunkiem, wartownika. – Zielinskygo zaczęło mierzic to przekonanie nowych znajomych o własnej wyjątkowości.

– Nie chodzi o niego. – Bernard wstał i zaczął się przeciągać – A o nas wszystkich. O co dokładnie, to nie wiem, ale chłopaki z konspiracji, którym się udało nawiać, mówią, że nie takie sztuczki ruskie odwalają.

Karol słuchał uważnie.

– To fakt – potwierdził. – No nic, panowie turyści... Prześpijmy się i pomyślimy. Umośćcie się tutaj. Przyniosę coś do jedzenia. Jutro, jeżeli was nie wykryją, możecie przeczekać do nocy u mnie. Potem odpada. Gości miewam. – Mówił o kolegach z zespołu i sąsiadach, którzy niechybnie pilnowali go na polecenie firmy.

– Bardzo dziękujemy. – „Hrabia” się uklonił. Podszedł i uściśnął dłoń Karola. – Nie chcemy robić kłopotu.

– Nie robicie. Popytam o tę Erikę. Wy bądźcie grzeczni, bo wszyscy dostaniemy po głowie.

– Pomożesz nam odnaleźć Samiego? – wypalił „Talun”, naiwnie jak dziecko. Reszta spojrzała na niego z politowaniem.

– Wykluczone. Tam nie mam znajomych – odparł Karol spokojnie, jakby mówił do kogoś niespełna rozumu. – Jutro... jutro coś się wymyśli. – Zrobił gest, jakby salutował, i stąpając na palcach, wyszedł z kanciapy. Przez chwilę nasłuchiwał, czy na schodach nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchiwać. Właściwie zastanawiał się, czy w ogóle spotka jeszcze tę dziwną czwórkę. Spodziewał się, że uciekną przed światem. I nagle pod czaszką zagrała mu stara niemiecka piosenka marszowa, którą raz, w Nadrenii, puszczał z chłopakami na zdobytym gramofonie kolumnom niemieckich jeńców.

Auf der Heide blüht ein kleines Blümelein und das heißt: Erika...

Erika Herpf przechadzała się co jakiś czas między frontową witryną a zapleczem. Przystawała przy wystawie i patrzyła na zewnątrz. Upewniała się, że wszystko idzie jak trzeba i próbowała zająć się pracą. Nie potrafiła jednak wytrzymać zbyt długo w spokoju.

– Eriko, kochanie! – Zaniepokojony Johann wodził oczami za szefową, żując kanapkę. – Usiądź, bo mi już słabo od tego twojego dreptania. – Wziął drugi kęs i popatrzył na kobietę. – Natrętny absztyfi-

kant? – spróbował zażartować. – A może wierzyciele? – Przelknął głośno i prawie się zadławił, myśląc o tej strasznej możliwości. – Mamy długi, tak?

– Spokojnie... – Herpf rozpoznała się na pokaz. – Nic się nie dzieje. To znaczy z księgiarnią wszystko w porządku. Mamy szansę na umowę z hotelem w Barcelony. Jeżeli nie z ksiązek, to wyżyjemy z podróży. – Poglądziła starego profesora po policzku niczym dobra córka. – Nie zanudzisz się w domu na emeryturze. Nie obawiaj się.

– Więc o co chodzi? – Johann był zbyt doświadczony, by dać się, ot tak, czarować.

– Czuję się nieswojo po tym, jak zaczęło mnie dwóch pijacków. – Erika postanowiła wpleść w opowieść niektóre fakty. Było to znacznie lepsze niż tworzenie całkowicie fikcyjnych historii, które może zepsuć nawet niewielki szczegół.

– Ciągłe to przeżywasz... Powiadomiłaś policję, ale musisz uważać. To cholerne miasto. – Odwrócił się w stronę szyby, wpadając w tęskny nastrój. – Kiedyś to byłoby nie do pomyślenia. – Zacisnęła pięści. Potem zrozumiał, że powiedział coś niestosownego, gdyż nie powinien wyrażać tęsknoty za poprzednią epoką i zawstydził się. – Przepraszam. Nie o to mi chodziło. Po prostu teraz jest niebezpiecznie. Dużo obcych... – tłumaczył, gubiąc się w argumentach. Herpf zachichotała. Rozbawiła ją ta panika starego wyznawcy poprzedniego systemu.

– Wiem, Johann, kiedyś byłoby to nie do pomyślenia. To bezsporny fakt – przyznała.

Przy drzwiach rozległ się dźwięk dzwonka. Morris stanął w wejściu, wybawiając współpracowników od kontynuowania niezręcznej konwersacji.

– Cześć. Ktoś umarł?

– Erika jest niespokojna – wytłumaczył Johann, z ulgą uciekając od rozmowy o jego tęsknocie za III Rzeszą. – Po tym napadzie, rozumiesz...

Morris zamknął drzwi i zaczął zdejmować szalik z szyi.

– Mamy kawę? Bo ja mam rogaliki. – Pokazał papierową torbę.

– Zaparzę... – zaoferowała się Herpf. Poszła na zaplecze do niewielkiej kuchenki i nastawiła wodę.

– Co się dzieje? – spytał Morris, który poszedł za nią. Teraz i on był zaniepokojony.

– Wszystko w porządku.

Morris podszedł bliżej i zmrużył oczy.

– Nie znaleźli ich? – szepnął.

– Znaleźli – przyznała kobieta. – Miało być dwóch, a jest trzech, albo i więcej... Namierzyli ich w jakimś hotelu i czekali. Ale...

– Ale co, do cholery?

– Uciekli. Bili się z naszymi i uciekli. Mogą być wszędzie i co najgorsze – opadła na krzesło, zasłaniając twarz – wiedzą, że i my wiemy. Że ktoś ich sprawdził na granicy.

– Nic trudnego. Dwaj pajace, nowi w mieście. Skoro wiemy, skąd przyjechali, można ich namierzyć. – Francuz zdjął płaszcz, zrolował wokół ręki i kucnął przy dziewczynie. – I co będzie teraz? – Trącił Erikę w kolano. – Słyszysz?

– Nie wiem. Szefowie też nie wiedzą – odparła Herpf. – Poinformowali mnie tylko o tym, co zaszło. Dbają o nas. Informacja była rano w skrytce, więc się postarali.

– W dupie mam listy. Jak chcą nas zabezpieczyć? – Morris zaczął rozciągać kołnierz swetra. Poczul, że pot rosi mu czoło.

– Nie wiem. Szukają ich.

– Erika! – Morris poderwał się na równe nogi i potrząsnął koleżanką, aż syknęła z bólu. – Ocknij się, do cholery. Dowodzisz tu, nie możesz się poddać. Ty jesteś miejscowa, ale ja... Jeżeli to zaczniesz się sypać...

– Wiedziałaś, w co się pakujesz! – przypomniła Herpf, podrywając się z miejsca. Nawet Johann wysunął głowę, ciekawy, co to za kłótnia w ich kuchni. Morris podskoczył do kobiety.

– Znałeś ryzyko. – Erika machnęła palcem przed nosem Francuza. – Chciałeś pracować. Idealista...

– Nie wku... nie denerwuj mnie! – warknął Morris.

– W porządku. – Herpf nie miała siły ani ochoty tracić czasu na czcze kłótnie. – Trzeba było robić swoje, zamiast angażować się w nowe zadania. Ale cóż, rozkazy. Przynajmniej mają nam dać obstawę. Pewnie już ktoś jest w okolicy. – Skinęła głową w stronę witriny.

– Co z tego? – Morris nie był przekonany.

– Właśnie... Ktoś musi zdecydować, co dalej. Na razie robimy swoje. Może wszystko się poukłada? Czajnik zaczął syczeć. Morris zdjął go z elektrycznej maszyny.

– A ten typ? Ten, który cię uratował?

– Richard? – Przypomniła sobie twarz przystojnego mężczyzny. – Wpadłam mu w oko. Szukał mnie, bo chciał mnie zaciągnąć do łóżka.

– Ciągłe uważasz, że tu wszystko gra? – dociekał Morris.

– Może nie wszystko, ale nie wpadajmy w paranoję. – Kobieta sięgnęła po filiżanki stojące na drucianej suszarce. – Richard chciał mnie spotkać tak rano? Tak, to też cuchnie. Ale nie znał tamtych. Widziałam ich autentyczną wściekłość. Nie spodziewali się, że ktoś im przeszkodzi.

– Znasz się... – Morris zachichotał nerwowo. – Udajesz przecież zawodowo. Zresztą jako kobieta jesteś w tym doskonała. – Ujął delikatnie dłoń Eriki i ucałował. – Ale co o tym myślisz?

– Nie wiem. – Herpf zabrała rękę. – Poczekamy. Ale bądź gotów, sama nie wiem na co. Wszystko się kiedyś kończy, nasza zabawa też. Plan wykonaliśmy. Ten ostatni klient... To jego wina.

– Jego kumpli – uściślił Morris. – Banda żołdaków. – Chciał splunąć na to wspomnienie.

– Bywa, Morris, bywa... Czasem trafiasz na zgniły owoc, niezależnie od tego, jak bardzo się starałeś, i wszystko idzie w cholerę – odparła ze współczuciem i pocałowała chłopaka w policzek. – Masz rację z tym moim wybaczą. Nie można przesadzać, ale przypadki tu się nie zdarzają. To dziwne. Opisałam to wszystko. Może go znajdą? Zacznę się niepokoić, jeżeli znowu się pojawi. Non... monsieur... je demande un café... Proszę zaparzyć kawę. Tak jak potrafisz.

Pułkownik Stiepan Zardow krążył po przepastnym gabinecie przydzielonego mu domu, pochłonięty lekturą. Kapitan Osawski zaś czekał w postawie zasadniczej, wodząc oczami za położonym. Sowiet był dokładny. Co rusz kiwał głową, mamrotał pod nosem jakąś część pisanego po rosyjsku dokumentu. Wreszcie stanął, wyprostował się i cisnął skoroszytem na blat biurka. Rozpiął marynarkę i zawiesił na oparciu krzesła. Ubek nie potrafił zinterpretować tego zachowania. „Chce stworzyć swobodną atmosferę czy będzie lał w mordę?” Ważył argumenty i jednocześnie układał strategię, pomny zachowań niższych rangą Sowietów działających z nim w terenie. Stiepan zbliżył się do okna, odsunął firankę i przysiadł na parapecie. Patrzył, milcząc, na nagie jeszcze drzewa sporego ogrodu.

– Lubię to miejsce – odezwał się wreszcie. – Lubię Konstancin. Ten klimat, spokój... Byłem już tu, kilka lat temu – wspominał z przyjemnością. – Dobrze się pracowało. Blisko Warszawy, blisko terenu gry, a mimo to spokój. Bez zamieszania. – Rozglądnął się, traktując Osawskiego jak element wyposażenia. – No i jak ładnie tu. Nawet luksusowo. – Przeniósł spojrzenie na ciężkie, solidne meble. Regały z jedynie kilkoma teraz książkami, stolik, piękne krzesła i wielkie biurko, a na nim lampa z abażurem zdobionym bursztyнем. – Nawet za dużo tego. Nie godzi się, by czekista działał w takim przepychu. – Dźwignął się, założył ręce za siebie i niby od niechcenia podszedł do Osawskiego. – Tyle że mi się tu naprawdę podoba – powtórzył i podniósł wzrok. – Chciałbym pomieszkać tu trochę. – Dźgnął kapitana palcem. Ubek ani drgnął, tylko uniósł głowę, by Sowiet nie widział, jak bardzo Jan jest podenerwowany.

– Mielicie szykować się do zadania dwa tygodnie. Tymczasem co? Postanowiliście mi zaimponować? – spytał Zardow retorycznie.

– Nie... nie, towarzyszu pułkowniku. – Głos z trudem wydobył się z gardła Osawskiego. Rozumiał, że podpadł, i spodziewał się konsekwencji. „Było zostać na wsi” – szepnął bezczelny kpiarski głosik w jego głowie i zamilkł. Na tyle długo był w resorcie na pierwszej linii, by przekonać się, że działanie z własnej inicjatywy jest ryzykowne... a przede wszystkim niewskazane.

– Figurant mógł się nam zerwać. – Osawski odważył się jednak przedstawić argumenty. – Na pewno mógł stać się bezużyteczny. Ogarniała go apatia, a może i depresja. Był nieodpowiednio podchodzony. Kiedy jednak znalazł krewnego w Warszawie, odzyskał optymizm. Można kontynuować grę, wykorzystując sytuację. Zostawię tylko tych funkcjonariuszy, którym Puławski ufa. Dokładnie jednego, który wprowadzał go w nową sytuację. Podaliśmy go jako człowieka...

– Wiem, wiem. – Zardow uniósł dłoń. – I co ja mam z wami zrobić? – Udał, że załamuje ręce.

– Pozwolic działać – zaryzykował Osawski. Sowiecki pułkownik uśmiechnął się, mile zaskoczony. Miał duże doświadczenie w dobieraniu właściwych ludzi do pracy. Było to jego główne zadanie: wyłuskiwać najzdolniejsze jednostki.

– Poradzicie sobie z tym wszystkim?

– Tak... Na pewno tak! – Jan skłonił głowę jak przy meldunku. Stiepan zdawał się coraz bardziej zadowolony i skłonny wybaczyć niesubordynację i pośpiech towarzysza z Warszawy. – Figurant jest ufnym, jego stan się poprawia. Możemy budować grę – opowiadał pełen entuzjazmu Osawski. – Poza tym... List. Koledzy Puławskiego wiedzą, że u niego w porządku. Może od razu mu uwierzą, bo są zbyt zindoktrynowani kapitalistyczną propagandą – gadał, jakby recytował propagandową notatkę – ale za kilka tygodni, kto wie?

– Właśnie, tygodni... – Zardow nieco zmarkotniał. Oparł się o biurko i założył ręce na piersi. – No, siadajcie. – Wskazał wspaniałomyślnie jedno z zabytkowych krzeseł. Osawski z przyjemnością i ulgą wypełnił polecenie. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo drżą mu łydki. – Nie wiem, czy mamy aż tyle czasu. Rozumiecie? – Sowiec cedził słowa wpatrzony w dywan, potem ocknął się i spojrzął na ubekę. – To zawzięta banda. Działają impulsywnie. O ile w swojej aktywności w Niemczech Zachodnich potrafili zachować umiar i spokój, to po przecieku o ich grupie... Stracili zmysł.

– Są zmęczeni – doprecyzował Osawski.

– Tak, to też. Ale poddali się rutynie. Odstępstwo od niej pokrzyżowało im plany. Myśleli, że mają jednego wroga, a tymczasem pojawił się kolejny. Zdziałali beżmyślnie, instyktownie. I mogą przez to być nieprzewidywalni. Mamy raporty z Berlina. To może pokrzyżować nam plany? Jak uważacie?

Jan skupił się, wiedząc, że to rodzaj egzaminu.

– Mogą, towarzyszu pułkowniku. Ale nie muszą, bo nie są nam potrzebni. To znaczy lepiej, gdyby grupa była większa, bo to uwiarygadnia wszystko, ale poradzimy sobie i bez tego.

– Co zatem proponujecie? – Zardow był ciekawy opinii. Jan Osawski rozpromienił się i poprawił w krzesle.

– Trzeba być ostrożnym, ale podsuwać nowe podpowiedzi. Oni tam nie są głupi, jednak kropla drażny skalę. Gdybym wiedział, jaki jest wasz... to znaczy nasz główny cel, byłoby mi łatwiej rozpisać scenariusz. Zwłaszcza jeżeli mamy działać tak szybko. – Uśmiechnął się, wiedząc dobrze, że znów ryzykuje, wysuwając tak śmiało żądanie.

– Słucham, towarzyszu kapitanie, słucham... – Zardow sięgnął na biurko po papierosy i wspaniałomyślnie poczęstował gościa. Osawski zapalił i zaczął zwięźle referować.

Tym razem spotkanie z samym szefem odbywało się gdzie indziej. „Big Bill”, jak nazywano Williama Kinga Harveya, miał do dyspozycji wiele mieszkań. Charlesowi Zielinsky'emu wydawał się księciem albo nawet królem zachodniej strefy Berlina. Tyle tylko że nikt go nie znał. Harvey był wiecznie otoczony orszakiem dyskretnej ochrony, wożony po mieście z miejsca na miejsce. „Greenman” mógłby przeczytać sobie za zaszczyt to, że w niecały miesiąc od przybycia na nową placówkę spotyka „Big Billa”. Tyle że tego dnia nie zanośli się na miłą audyencję. Zielinsky miał stanąć przed swego rodzaju komisją, choć bardziej pasowało tu określenie „sąd”. Takie też skojarzenie miał Herr Rotte. Jednocześnie liczył, że nie będzie to sąd ostateczny w firmie. Oceniali go: Harvey, McIntosh i facet o nazwisku Preston, siwy, inteligentny, o imponującej sylwetce. Czy nazywał się tak w rzeczywistości czy podawał tylko zalegendarowane nazwisko, nie było istotne. Mężczyzna ów zajmował się kontrwywiadem Station Berlin, co „Greenmanowi” popsulo humor. Jako osoba należąca do utajnionego zespołu operacyjnego miał być konfrontowany z jeszcze jednym człowiekiem firmy.

– Panie Rotte... – Harvey splótł ręce na blacie stołu, za którym siedziała cała trójka. – Mamy tu doniesienia pańskiego przełożonego o czymś, co pozwolę sobie określić – cedził przez zęby, co nie pasowało do jego stylu brytyjskiego dyplomaty – pańską niefrasobliwością. Zanim odniosę się do wspomnianych treści, chciałbym poznać pańskie zdanie. Nie jesteśmy sądem, przyzwoitość wymaga, by wysłuchać drugiej strony. – Popatrzył w lewo, później w prawo, na kolegów. Nie oponowali. Kryli ciekawość, za maskami zimnych inkwizytorów.

– Panowie, jestem świadom, że moje zachowanie wykroczyło poza ramy działań firmy, a na dodatek mogło narazić zespół i nieznanne mi plany operacyjne. Jestem gotowy ponieść za to konsekwencje – przyznał „Greenman”. On też starał się panować nad emocjami. – Uważam jednak, że firma to miejsce dla ludzi myślących nieszablonowo i kierujących się zdrowym rozsądkiem. – Zielinsky chciał sprawić wrażenie profesjonalisty, a nie pospolitego osiłka od mokrej roboty. – Jak wiecie, panowie, moją wadą, albo raczej zaletą, jest niespokojny duch i kierowanie się własnym przeczuciem. Kilka razy ocaliło mi to życie. Tak, wiem, powiecie, że odniesienia do wojny nie są odpowiednie. Nie zgadzam się. – Zrobił wymowną pauzę, usiłując wyczytać cokolwiek ze spojrzeń członków komisji. – Zyskałem nieco doświadczenia i umiejętność obserwacji. Gdyby nie one, nikt nie zaproponowałby mi pracy w agencji. Więc robię z nich użytek i działam. Są przełożeni, rozkazy i procedury, ale – z tego, co wiem – zespoły takie jak nasz grają z wrogiem na innych zasadach. Czyżbym się mylił? – Nie spodziewał się odpowiedzi. – Jestem nowy. Może widzę więcej, bo wychodzę poza zastane zwyczaje. Dopatrzyłem się czegoś niepokojącego i postanowiłem to sprawdzić, zanim będzie za późno...

– Pieprzenie... – przerwał mu grubiańsko McIntosh. „Greenmanowi” to się nawet spodobało. Odczytał to jako dobry omen i zaczął wierzyć w sukces.

– Mogłeś sporządzić notatkę i przekazać to oficerowi dowodzącemu. – Harvey skrócił dystans. – Ta agencja docenia swoich ludzi, zwłaszcza pracujących w terenie. A ludzi ze zdolnością wnikliwej obserwacji szczególnie – dodał i wyglądało to na zawoalowany komplement dla Charliego. Podsądny uspokajał się.

– Tyle że pan... nowy raczy bawić się w kowboja! – McIntosh wybuchł gniewem, ale chyba tylko dla zasady. Zamilkł i wskazał na reprezentanta kontrwywiadu.

– Sprawdziliśmy wszystko – zaczął Preston rzeczowo. – Nie zauważono kontaktu ze stroną przeciwną. Nie sądzę, by zagrażało nam niebezpieczeństwo. Stanowi to jednak naruszenie zasad, co, zwłaszcza w Berlinie, oznacza kłopot. Nie sądzę, by był pan osobą niedojrzałą, która wymachuje legitymacją CIA, dekonspirując siebie i wszystkich wokół, ale ci po drugiej stronie nie są kretynami. Wypatrują odstępstwa od normy. – Zaczął mówić jak karcący, ale pomocny mentor. „W co wy tu gracie, do jasnej cholery?” – myślał Zielinsky. Uznał, że ktoś robi z niego głupka, lub przynajmniej usiłuje.

– Nie zgadzam się – huknął jak z armaty McIntosh. Był wyraźnie zły. – Możemy chwalić Rotta albo uznać sprawę za błahostkę, ale to nadal naruszenie zasad. Nie wiem, czy jest dla niego miejsce w mojej grupie. – Zapadła denerwująca cisza. Charlie czekał cierpliwie, choć wewnątrz się gotował. Harvey dostrzegł to i specjalnie do tego dopuścił. Wskazał palcem na „Greenmana”.

– Proszę... Opowiedz nam, jak to wygląda z twojego punktu widzenia.

Zielinsky wziął kilka głębszych oddechów. „Boże, pomóż mi, a będę już grzeczny...” – poprosił. Zaczął opowiadać. Mówił wolno, bez emocji, jak mu się wydawało. Powiedział o przecuciu, o spotkaniu z kobietą zwaną Eriką i o dwóch Polakach, którzy ją zaatakowali. Nie wspomniał o żywnym do niemieckiej piękności afekcie. To było niepotrzebne i uznane zostałoby za przejaw głupoty.

Sięgnął po szklankę z wodą i zwilżył gardło. Druga część miała być dla słuchaczy o wiele ciekawsza. Mówił o wszystkim, patrząc, jak trójka starszych panów zamiera. Chłonęli jego słowa, czasem tylko coś notując. Wreszcie zaległa cisza. Absolutna cisza. Harvey ocknął się po kilkunastu sekundach. Znowu patrzył na kompanów, jakby szukał wsparcia, ale rozumiał, że to on musi podejmować decyzje.

– Gdzie oni teraz są? – zapytał, żeby zyskać czas.

– Jeszcze tego poranka byli na poddaszu kamienicy przy ulicy Pawła Apostoła.

Zgrzytnęło krzesło i wydawało się, że McIntosh zaraz zsunie się pod stół. Pobladł, nalał sobie wody i wypił wszystko duszkiem.

– Więc odnalazłeś tych ludzi i umieściłeś w pobliżu swojej kwatery? – Harvey chciał się upewnić. – Bez nadzoru, bez naszej obstawy...

– Tak – spokojnie przytaknął Zielinsky. – Jak już wspomniałem, oni na razie niczego nie wiedzą. Mogą mnie podejrzewać o jakieś związki z firmą, ale myślą, że mieszkam w obskurnym lokalu w biednej dzielnicy.

– Boże! – wyrwało się Prestonowi. – Nie rozumiesz, że mogli cię podejść i teraz jesteś na celowniku?

– Nikt nas nie śledził. Umieć się sprawdzić. Bywałem w gorszych sytuacjach... po tamtej stronie. – Przypomniał, że jako jedyny był długo za „kurtyną”.

– Dobrze, dobrze... – mruknął Harvey.

– Znalazłeś tych Polaków, kierując się... przecuciem?

– Tak jakby. – „Greenman” nie potrafił tego wyjaśnić. – Uznałem, że dwóch facetów atakujących kobietę nie może mieszkać w pięknym hotelu – tłumaczył. – Jeżeli to Polacy, to zapewne bez stałego obywatelstwa, jak większość uciekinierów tutaj. Bez odpowiednich papierów nie mogą znaleźć lepszej pracy, więc muszą mieszkać w jakiejś norze. Przynajmniej to mi się sprawdziło. Znalazłem tę dwójkę. Ktoś na nich czekał. Zapewne czerwoni. Jeżeli Polacy są przyjezdni, to tylko ernerowska władza mogła ustalić ich nazwiska z przejścia kolejowego na granicy miasta. Być może na polecenie Sowietów. Mogli działać w ciemno i sprawdzić wszystkich przybyszów z Monachium o niemieckich nazwiskach. – Zrobił krótką pauzę i kontynuował: – I tu wracam do Eriki. Wedle szefa grupy ona i ktoś jeszcze rozpracowują środowisko polskich wartowników pilnujących obiektów US Army. Goście mieli pecha, napadając na kobietę. Po prostu nie spodziewali się mnie. Ukryli się i być może ściągnęli kumpli. Potrzebowali posiłków. A może reszta przyjechała na gotowe? Wschodni Niemcy się zdenerwowali i chcieli ich dopaść. A to dowodzi, że Erika Herpf nie jest tym, za kogo się podaje. Ma obstawę. Już jej pojawienie się przy spotkaniu z pruskim szlachcicem, który robi dla nas, było zagadkowe. Pomagała wschodnim, a może robi i dla ruskich, skoro to podobno oni tak mocno zaangażowali się w nasze sprawy po akcji na granicy? Na pewno jest ważna dla drugiej strony.

– Ciekawe... – powiedział kpiącym tonem zainteresowany Harvey. Nadal udawał gruboskórno. – Nie za wiele srok łapie za ogon? Wschodni, Sowietci...

– Może jest zdolna. – „Greenman” zaśmiał się i wzruszył ramionami.

– Nie masz dowodów... – McIntosh nie dawał się przekonać.

– Fakt. Ale mam mocne poszlaki. Można powiedzieć, że swoją akcją uratowałem tych czterech Polaków. Gdyby ich dopadli, porwaliby albo zabili. Nagłówki gazet narobiłyby nam kłopotów. Może nawet ruscy wykorzystaliby to w sprawie negocjacji w Korei? Pieprzyłoby coś o agresywnej postawie i imperia-listycznych knowaniach.

– Nie rozpędzaj się. – McIntosha denerwowało zachowanie tego polskiego Amerykanina. Nie mniej drażniło go, że facet miał poukładane w głowie, a on tego nie dostrzegł. Zaczął podejrzewać, że podrzucenie mu tego mądrali to jakiś okrutny żart „Big Billa”.

– Co twoim zdaniem teraz należy zrobić? – spytał szef.

„Greenman” chwilę myślał. Zanim odpowiedział, przypomniał sobie, że przyrzekł być grzeczny.

– To zależy od panów. Jesteście moimi przełożonymi. Podporządkuję się każdej decyzji. Taki mam obowiązek. – Nie potrafił być bardziej dyplomatyczny. „Big Bill” zachichotał.

– Cholerny sukisyn... Zostajesz na bocznym torze, ale pilnuj tej swojej czwórki. Wybadaj ich i nie pokazuj na mieście. Są w niebezpieczeństwie. Twój szef – wskazał zaskoczzonego i niezadowolonego McIntosha – da ci kogoś do pomocy. Popracujemy nad nimi. Popracujemy nad tobą i sprawdzimy tę cholerną sukę. Jak jej było? Herpf?

* * *

Dom był pogrążony w przyjemnym półmroku. Rozjaśniały go świece w kandelabrach i świecznikach, rozstawione od wejścia do głównego pokoju. Samuel Puławski stał nieco przejęty, poprawiając za duży kołnierzyk koszuli, spięty krawatem. Miał na sobie beżową marynarkę o szerokich klapach, ciut za dużą. Krawat był podobno amerykański. Jaskrawy, w gwiazdy. Całości dopełniały wyprasowane spodnie i wygodne buty. Kuzyn zapewnił mu usługę znajomego fryzjera, który sprawił, że Samuel prezentował się przyzwoicie.

– Jak panie kolego? – Rafał Letelman zszedł z piętra i przystanął w połowie schodów. Samuel gwizdnął.

– Klasa. Absolutna klasa... – Gapił się z podziwem graniczącym z uwielbieniem. Wysoki, chudy kuzyn miał na sobie ciemny, dwurzędowy garnitur w prążki i zagraniczny krawat. – Jak amerykański bankier... albo senator. – dodał Sami. Udał, że klaszcze. Letelman zaczął spinać mankiety koszuli sporymi, błyszczącymi spinkami i uśmiechał się.

– Dziękuję. Z twoich ust to prawdziwy komplement. Widywałeś pewnie jednych i drugich, co?

Samuel nadał się nieco z miną znawcy.

– Zdarzało się. Widziałem biznesmenów, a senatorowie czasem odwiedzali wojskowe sztaby.

– Tak... – Letelman zszedł po schodach. – Szwabymy tam mają dobrze – zniesmaczył się. – Amerykańskie dolary, biznes... Oj dobrze by było, gdyby u nas się tak udało. No, ale... – Zataił ręce. – Biedy nie ma, co Samuelku? – Złapał chłopaka pod ramię i poprowadził do pokoju. Były tam stoły i stoliki zastawione tacami kanapek, półmiskami i naszykowanymi talerzykami. W blasku świec połyskiwały ustawione w rzędzie butelki wódki, brandy, a nawet prawdziwej zachodniej whisky.

– Wstydu nie ma. – Rafał był dumny. – Mówiłem ci, jak kto umie, to i tutaj pożyje godnie. Ze mną nie zginiessz. A może być jeszcze lepiej... – Lekko szturchnął Samiego łokciem.

– Ja chcę pomóc. Chcę się przydać – powtórzył kolejny raz Puławski. Złapał kuzyna za poły marynarki. – Jak ci się odwdzięczę? Za dach nad głową i za ratunek. Mógłbym pomóc to wszystko wozić, no... – Wskazał na zastawione stoły. – A tak, ty wszystko sam. Ja nie jestem leń...

– Wiem, wiem. Grunt szykuję. Musiałem sprawy załatwić, pogadać. Między innymi w związku z tobą... – U drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. – Oho, już są. Otwórz – poprosił i zapiął marynarkę. Samuel spełnił prośbę. Otworzył drzwi i zachwiał się.

– Gienek?

– Szanowanie! – Druh przewodnik, który przyjmował go w stolicy, był równie elegancki jak gospodarze. Panowie uściskali się, jakby nie widzieli się co najmniej rok.

– A tu – Gienek sięgnął do kieszeni płaszczka i wyciągnął jakąś zagraniczną flaszkę – na tak zwany specjalny powód.

– Wchodź, wchodź – zawołał Rafał. – Trzeba by co skosztować na lepszy apetyt. – Przywitał się i zaraz zaczął oglądać butelkę.

Nie minęło dziesięć minut, kiedy pojawili się pozostali goście. Następny był starszy od wszystkich mężczyzna z niemal łysą głową i okularami na nosie. Wyglądał jak nauczyciel rachunków albo stary księgowy. Przedstawił się jako Romuald Brzeziński lub po prostu „Liczydło”. Potem przybył niejaki Wojtuś, zwany „Mordą”, chyba rówieśnik Rafała. Był z niego kawał przystojniaka, w stylu przedwojennego fordansera. A wyróżniała go zwłaszcza, czarna, gładko uczesana czupryna. Następnie pojawiły się panie. Zgrabne, bezpruderyjne w zachowaniu i otwarte. Trzy młódki i jedna starsza, jak domyślił się Samuel, szefowa tamtych trzech, sama też niczego sobie, dbająca o entourage.

Czuły się bardzo swobodnie, nie stroniły od sprośności i plotły różne dyrdymały. Miały podobne poglądy na wszystko, co działo się w kraju, a kuzyn Rafał wydawał się przy nich wszystkich spokojny. Ten spokój zaczął udzielać się Samiemu, kiedy poruszali coraz bardziej niebezpieczne tematy. Kiedy wódka, mieszana z whisky, uderzyła mu do głowy, bawił się wspaniale, snując opowieści o Bawarii, zachodnich Niemczech i służbie w wojsku, jak z przesadą nazywał Kompanie Wartownicze. Zyskiwał tym wielką uwagę u niewiast. Słuchały, zachwycały się i głaszały to po głowie, to po policzku, i chciały więcej i więcej. Pozostali panowie chrząkali znacząco. Tylko Letelman siedział w fotelu, z zadowoleniem obserwując, jak krewny wreszcie się odpręży i oddaje zabawie.

Goście zaczęli luzować krawaty i zdejmować marynarki. Zagrała muzyka z gramofonu. Rafał miał polskie i zagraniczne płyty. „Liczydło” zdobył się na odwagę, w czym pomogła mu odpowiednia ilość alkoholu, i zaprosił jedną z dziewczyn do tańca. Inna, ruda o czarnych oczach, przykleiła się do Samuela, mizdrząc się coraz namiętniej. Oferowała taniec, a potem chciała zaciągnąć przybysza z innego świata na piętro. Puławski zapomniał o całym bożym świecie.

– Samuele, mam sprawę. – Ze stanu błogości wyrwał go głos Rafała. Gospodarz był poważny i teraz zupełnie trzeźwy. Reszta również przestała dokazywać, jakby kto im wydał rozkaz. Ruda grzecznie odsunęła się od Samuela, dając jednak do zrozumienia, że wróci. Puławski wyczuł, że atmosfera robi się poważna, a nawet podniosła. Zebrani patrzyli na niego, czekając na to, co powie szef.

– To wielkie szczęście, że odnalazłem mojego krewniaka – zwrócił się do koleżeństwa Rafał. – To dobry człowiek o wielkim sercu. Bohater, który jak wielu z nas stracił ojczyznę i długo błąkał się za granicą. Ale wrócił... – Sięgnął po kieliszek z gruzińskim „koniakiem” i wznosił w toaście. Reszta uczyniła podobnie, co bardzo wzruszyło Samuela. – Wielu mówiło, że tacy jak my Polacy, polscy Żydzi powinni stąd uciekać. Zapomnieć o tym cmentarzysku. Nie mamy tu nikogo, a szczęście znajdziemy w Izraelu. Tak, przysnam, że myślałem o tym. Tam nowe państwo, nowe możliwości, żeby robić interesy. Ale potem Gienek powiedział, że do nas trafi on. – Wycelował palcem w Samiego. – Jak się okazało, mój kuzyn, którego nie widziałem tyle lat. I to przekonało mnie, by zostać i nie przerywać tego, co robimy, tylko... zwiększyć wysiłki. Nie sposób uciec i wszystko porzucić. Trzeba walczyć, choć to trudne i męczące. – Wstał, włożył rękę w kieszeń i podszedł do kaflowego pieca.

– Walczyć? – Sami zsunął się na brzeg krzesła i oparł łokcie o kolana. – Przecież ty robisz pieniądze... – Nie pojmował jeszcze. – Macie firmę...

– Nie tylko, chłopcze. – „Liczydło” pokiwał palcem.

– My tu, mój drogi – Rafał stanął we władczej pozie – bijemy komunistów. – Zabrzmiało to tak nierealnie, że Samuelowi zakręciło się w głowie. Dopił resztkę wódki z kieliszka i zaczął rozglądać się za flaszką. Ruda usłużnie podała butelkę.

– Że co proszę? Wy wszyscy? – Ciągle nie wierzył.

– Tak się składa, kochany... – Dziewczyna, która przed chwilą wydawała się zwykłą dziwką, poczochnała Samuela.

– Kiedy było można, zajmowaliśmy się finansowaniem oddziałów partyzanckich – tłumaczył Rafał powoli, by nie spowodować u krewniaka jeszcze większego szoku. – Ale bolszewicy zlikwidowali zbrojny opór. Wielu uciekło na zachód. Sam o tym wiesz. Spotykałeś takich ludzi. – Samuel słysząc to,

kiwnął głową. – My zaś przeszliśmy na inny poziom. Działamy na wielu polach. Nie wszystkich udało się zabić czy wypędzić. Istnieją jeszcze patrioci gotowi walczyć. Ale trzeba działać rozważnie. Poczekać na właściwą chwilę i wtedy uderzyć. Stalin zdechł, wiele może się wydarzyć. Zmienić na lepsze. Zbieramy resztki broni. Ukrywamy ją. Ale co ważniejsze, budujemy siatkę wywiadowczą. – Rafał odczekał, żeby ta nowina zrobiła wrażenie na Puławskim.

– Cholera jasna... – Sami oparł się w krzesło i zdawało mu się, że śni albo ma pijackie przewidzenia. Gapił się teraz na całą grupę, jakby chciał się upewnić, że to prawdziwi ludzie.

– Te nasze konszachty z UB, zamówienia dla nich to element gry – kontynuował Letelman. – Wkradliśmy się w ich łaski. Tu na Mazowszu i w kilku innych miejscach. Potrafimy wyluskiwać informacje, gadatliwych ludzi i dokumenty. Dziewczyny są w tym najlepsze. – Podeszedł do blondynki siedzącej na brzegu kanapy i pocałował ją w usta. – Dzięki pieniądзом komunistów zdobędziemy siłę, która ich zmiecie. Mamy łączność z Zachodem. Na razie więcej ci nie zdradzę... Możemy przekazywać nasz uropek. Możemy pomagać w przetruciu ludzi, tam i z powrotem. Dlatego, drogi kuzynie, jesteś tu z nami. Nasi współpracownicy działają po tamtej stronie. Nawet chce wracać, a nam potrzeba ludzi i rozoznania, co tam się dzieje. A najlepiej połączenia wiedzy z obu stron.

– Chciecie powiedzieć, że Erika – Samuel poderwał się z miejsca jak oparzony – pracuje dla was?

– Tak, Sami, to nasz człowiek w Berlinie – potwierdził Gienek zaskakująco poważnym tonem.

– Jestem w szoku. – Samuel padł na powrót na krzesło. – A mówili, że tu ruskie rządzą żelazną ręką...

– A nie jest tak? – Wojtuś „Morda” poczuł się dotknięty. – Nie widziałeś tych portretów, hasel. Strachu u ludzi, żeby nie wpaść łapy bezpieki? – wyliczał.

– No już, już... – uciszył go Letelman. – Wiemy o tym. Samuel też wpadł w to wszystko i trudno mu było sobie poradzić. Takich jak my jest więcej, kuzynie. Nie każdy dał się złapać na ruski lep. Wielu zginęło, walcząc. Wielu siedzi cicho, ale myśli jak my. Nawet nie wiesz, jak wysoko są ulokowani. Erika to nasza dziewczyna. Pomaga.

– No, ale to przecież...

– A co to? Nie może być dobrych Niemek? Do tego Żydówek? – Letelman skrzywił się dziwnie. – Niemców też trzeba oswobodzić. – Rafał nalał sobie jeszcze koniaku i zbierał myśli. – Chcesz nam pomóc? – zapytał po chwili.

– Tak! – Samuel wyrwał się w górę. Klasnął w dłonie, a zaraz potem, czując podniosłość chwili, stanął na baczność.

– Wiedziałem, że się nie pomyliłem. – Rafał wychylił kieliszek. Objął kuzyna i zaprezentował reszcie. – Nasz nowy członek... – oświadczył, a zebrani zaczęli gratulować. Sami promieniał ze szczęścia.

– Ja tam też... Wy wiecie, Erika wie. Mamy, to znaczy mieliśmy z kolegami taką grupę... – Wyjawienie sekretu szło mu opornie. – U Niemców ciągle dużo esesmanów. Gestapowcy czasem rządzą i to ci, co u nas mordowali. Myśmy ich umieli czasem rozpoznać. A wtedy... Wiecie... Nie mogliśmy puścić im płazem.

– Zabijaliście ich? – „Liczydło” spytał wprost, wycierając okulary.

– No, tak. Erika nie wspominała?

– Wspominała, oczywiście. – „Morda” uśmiechał się, ale wyglądał niepokojąco. – Dobrze, dobrze Sami. Biłeś jednego wroga, a teraz czas zabrać się za drugiego. Potrzeba nam takich wprawionych jak ty. – Podeszedł do chłopaka i podał mu szklanke napełnioną wódką. – Gdyby udało się też nakłonić twoich przyjaciół, rozumiesz? – szeptał. – Ty, my, oni, Erika... Pij, Samuelku, pij! – Popchnął szklanke do ust chłopaka. – Organizacja celująca w komunistów. Wy z koneksjami u Amerykanów... Za kilka lat, a może miesięcy to może dać wspaniały rezultat. Zapoczątkujemy zmiany! Pij, Samuelku...

– I opowiedz, bo to ciekawe – dołączył Letelman. – Jak ich załatwialiście? Tych cholernych szwabów.

Zrobili miejsce i usadowili Samiego na kanapie. On popijał i mówił. Ruda ułożyła się obok niego, głaszcząc po policzku, schodząc dłonią na tors i niżej. I tak bez przerwy, by było mu przyjemnie. Sa-

muel Puławski czuł, że dobrze wybrał. Chciał przynależeć do takiej chewry. Zapomniał o biedzie lokum w YMCA, o chlebie z twarogiem i szarzyźnie. Znów miał nadzieję.

Charles „Greenman” Zielinsky szedł szybkim krokiem blisko ściany kamienicy. Chronił twarz przed zacinającym zimnym deszczem, naciągając kapelusz i unosząc kołnierz płaszcza. Co kilka kroków upewniał się, że nikt nie wchodzi mu w drogę albo nie śledzi go, kryjąc się w szarzyźnie poranka. Towarzyszący mu ludzie trzymali dystans. Każdy z nich mógł być pilnowany. „Greenman” był tego świadom. Ludzie, których rozpracowywali, nie spoczywali na laurach. Pilnowali się zawsze i wszędzie. Zielinsky wszedł do bramy. Spojrzał na zegarek i ostrożnie wyjrzał zza węgła. Musiał poczekać, aż reszta zajmie swoje pozycje. Na ulicy panował niewielki ruch. W kilku sklepach i mieszkaniach paliło się światło. „Greenman” uznał wreszcie, że wystarczy czekania. Nabral powietrza i wszedł na klatkę schodową, potem na piętro i na korytarz. Sąsiadów chyba nie było albo ktoś z firmy zwinął dozór obiektu. Karol otworzył drzwi do mieszkania i zastał całą czwórkę na nogach.

– Jesteś wcześniej? – „Hrabia” odłożył gazetę, patrząc ze zdziwieniem na gospodarza. Był spięty, pozostali również. „Talun” zapinał koszulę.

– Dzień wolny czy jak? – Osilek też wyczuł jakiś podstęp.

– Tak jakby... – „Greenman” starał się nie zdradzać z niczym za wcześniej. Odsunął krzesło od stolika i usiadł, nie zdejmując płaszcza ani kapelusza. – Musimy pogadać – oświadczył, coraz bardziej zaniepokojony tym, że staje sam naprzeciwko czwórki rosłych facetów.

– Problemy? – Nowolipczyński ewidentnie się niepokoił.

– Mam przekazać wam informację. – Zielinsky mówił do szefa, sądząc, że jeżeli uda się go przekonać, pozostali także się uspokoją. – Właściwie propozycję, ofertę.

– Od kogo? – „Hrabia” zacisnął bezwiednie dłoń. Wyglądał na niemal spanikowanego.

– Spokojnie... Od dobrych, od Amerykanów.

– A więc jednak...

– Nieważne. – Zielinsky nie dbał już o zachowanie tożsamości swoich pracodawców w tajemnicy. Musiał okiełznać ludzi, których oszukiwał. Facetów, których w rzeczywistości w ogóle nie znał. Nie wiedział, jak zareagują na zagrożenie. – Ktoś pyta, czy chcecie zmienić pracę – oświadczył.

– Nie myślimy o tym... – wtrącił Kazimierz.

– OK, ale może warto. I tak pracowaliście dla rządu USA. – „Greenman” stawał się coraz bardziej dokładny. – Pilnowaliście składów paliw albo żarcia. Ale potraficie nieco więcej, prawda? – Zrobił pauzę, a przez kilka sekund ciszę zakłócał tylko odgłos kropli bijących o blaszany parapet. Potem Karol zaczął wyliczankę: – Pan Bernard, wywieziony na roboty z Lubelszczyzny w czterdziestym drugim. Miałeś, a właściwie twoi rodzice mieli spory majątek. Podobno bawiłeś się w jakąś konspirację. – Dawał upust złym emocjom związanym z podziemiem, które czasem składało się z niedoświadczonych dzieciaków. Wiedział coś o tym. Poznał to, kiedy był w Polsce. – W trzydziestym dziewiątym wojowałeś trochę z Niemcami i Sowietami – mówił dalej. – Znasz obu wrogów, co? – Nowolipczyński nie odezwał się, tylko cierpliwie słuchał. – Dalej... – „Greenman” przeniósł wzrok na kolejnego z mężczyzn. – Kazimierz Nirbergen. Polak, Niemiec? Urodzony w Gdańsku, nieprawdaż? Uniknąłeś represji wobec Polaków. Podobno zajmowałeś się szmugłem. Kto wie, może kiedyś się spotkaliśmy na plaży na wycieczce? – Usiłował zażartować, ale nikt nie miał nastroju do żartów. – Niemcy ubrali cię w mundur i wysłali na zachód. Miałeś szczęście, nie? W czterdziestym czwartym na południu Francji poddałeś się francuskim partyzantom, przedstawiając się jako pół Polak. Powiem szczerze, zazdroszczę. Spokojna służba i dobre jedzenie. – Wskazał palcem wielkoluda. – O tobie wiem więcej, bo sam sporo opowiadałeś. Jesteś spod Wilna. Twierdzisz, że byłeś w polskiej partyzantce i z polecenia dowódcy pracowałeś w szwabskich zakładach remontowych. Potem trafiłeś pod Szczecin i nawiałeś w czterdziestym szóstym...

– Czterdziestym siódmym – burknął „Talun”, jakby rok miał tu jakiegokolwiek znaczenie.

– No i na koniec Krzysztof Motyczka. Szofer, choć byłeś rolnikiem. Uciekłeś z rodziną z Wołynia. Byłeś członkiem oddziału partyzanckiego, póki Niemcy was nie rozbili. Nawet cię dorwali, ale uciekłeś. Po wojnie biegałeś się ruskich. Bieda też zaglądała w oczy, więc zaryzykowałeś. Przez Czechosłowację dotarłeś do Bawarii. Był jeszcze jeden... – Karol zdjął wreszcie kapelusz. – Samuel Puławski. Żyd z Warszawy. Też po przejściach. Krótko mówiąc, niezła menażeria. Wojenne losy nie były łatwe. Dostaliście po tyłku od ruskich i od szwabów. Trafiliście na zachód. Każdy miał do czynienia z wojskiem, więc poszliście na wartowników. Zakumplowaliście się, bo łączył was podobny los. A może coś więcej? – Polacy milczeli, nie ruszając się. – No dobrze... – Zielinsky dał za wygraną. – Powiedzmy, że troszczyście się o siebie nawzajem, a Samuel Puławski jest wam jak brat.

– A żebyś wiedział – potwierdził Michał Waniszuk.

– To się chwali, naprawdę chwali. Najciekawsze jest jednak to, że w okolicy Monachium, albo nawet w całej Bawarii, od kilku lat znikają pewni ludzie. Niemcy. Urzędnicy, biznesmeni, byli naziści, SS-mani. Nie każdy o tym wie, bo to dziś sprawy wstydliwe, ukrywane. Te zniknięcia i zgony, a także włamanie do ich domów i rabunki zaczęły się mniej więcej w czasie, kiedy wasza piątka rozpoczęła służbę w Kompaniach Wartowniczych.

– Co to za insynuacje? – „Hrabia” był adwokatem całej grupy. – Proszę o dowody.

– Spokojnie. To nawet interesujące. I żeby była jasność: ktoś wykonuje tu pozytywną robotę. – Zielinsky podniósł prawą dłoń do czoła, jakby salutował. – Jest tylko jeden mały problem. Ten tajemniczy ktoś pozbawił życia nazistę, który pracował dla Amerykanów w Bawarii. Robił to tak długo i sumiennie, że zapomniano mu jego winy w Polsce i w Rosji. Nazywał się Regner. Udawał... nie, był biznesmenem, ale koordynował sprawy budowy nowego niemieckiego wywiadu. To spowodowało zamieszanie. Śledztwo wykazało, że facet miał też kumpli na wschodzie i nie do końca grał fair. A to oznacza, że ten tajemniczy mściciel spełnił podwójnie dobry uczynek. – Przytyk była zbędny, ale „Greenman” nie mógł się powstrzymać. Z przyjemnością obserwował, jak z czwórki Polaków schodzi napięcie. – Zrobiło się gorąco, tam, na południu. Jakieś strzelaniny... Ktoś was wystawił byłym nazistom palającym żądzą zemsty? Skąd wiedział? Naraz jeden z was zniknął, a potem aż czterech ludzi wzięło urlop i wystąpiło o wize tranzytowe do Berlina Zachodniego. Pomijam fakt, że narobiliście kłopotów przełożonym, którzy musieli zmieniać grafiki. Ale ktoś wyżej, obserwujący to zamieszanie, dodał dwa do dwóch. Tak jak ja... tak jak my tutaj. Ściągnęliście na siebie podejrzania. Nie, nie mamy dowodów, ale wygląda to tak, jakbyście chcieli wiać na wschód. Albo jakbyście zwariowali. Na razie nie ma dowodów, że pracowaliście dla Wschodu. Gdybym miał wyobrażnię i znał się na ludziach, przyjąłbym, że macie prywatną firmkę, spółdzielnię zabójców albo szpiegów, bo chcecie nadgonić młodość straconą w czasie wojny, a teraz coś się spieszyło. Komuś nacisnęliście na odcisk, bawiąc się w mścicieli, a na dodatek kolega wam zwariował i przeszedł do grogu...

– Dla kogo pracujesz? – zapytał z rezygnacją Krzysztof Motyczka i przełknął ślinę.

– Dla kogoś, kto może sprawdzić to wszystko w niecałe dwie doby.

„Hrabia” siadł wreszcie.

– Nie... nie macie dowodów – powtórzył.

– Nie mamy, ale możemy mieć... – Karol się uśmiechnął. Na korytarzu dało się słyszeć kroki, co wywołało wśród Polaków silne poruszenie, ale „Greenman” uspokoił ich niebałym gestem dłoni. – Jesteśmy tu, żeby się dogadać. Na razie wygląda na to, że jesteście po właściwej stronie.

– To nie było tak. – Opanowany dotąd Nowolipczyński, o dziwo, pękł jako pierwszy. – To były skurwysyny. Zbrodniarze, których nikt nie ścigał. Mieli kumpli, wsparcie. Myśleliśmy o wywiadach, szpiegach... Chcieliśmy zakończyć kilka spraw. – Popatrzył po ludziach coraz bardziej zażenowanych sytuacją. – Trafiliśmy nie tego, co trzeba, choć też był skurwielem – przyznał wprost, wiedząc, że kłamstwo nie ma już sensu. – Ktoś nas zaczął rozgrywać. Ktoś ze wschodu się o nas dowiedział. To wina Samuela... – Ciężko było mu to przyznać. – Ta Erika, ten Francuz. Przysłali ich do nas. Myślałem, że szukają

naiwnych, żeby nakłonić do powrotu. Kiedy Samuel wyjechał... Cóż, nie wiedzieliśmy, co robić. Myśleliśmy, że go powstrzymamy, że wyrwiemy go z objętej sukki. Ale on najwyraźniej jest już daleko. – Załamał ręce i opuszczył głowę.

– I może chcielibyście jechać za nim? Wyzwolić go, co? – „Greenman” stał się napastliwy. – Banda romantycznych głupków. Co mieliście we łbach? – Postukał się palcem w czoło. – Utajnieni mściciele spod magazynu gaci... – Prychnął i zaśmiał się, co bardzo nie spodobało się Polakom.

– Przesadzasz – wysyczał „Talu”.

– Mam to w dupie. – „Greenman” pomachał mu pięścią. – Polowaliście na szwabów, a tymczasem kolega się stęsknił i jakaś siksa wam go podebrała. Pewno powiedział jej o wszystkim. Mają na was haki i dlatego się tak boicie. No dobra... – Wyprostował się, przechodząc do drugiej części opowieści. – Chwila szczerości. Wiecie, kim jest ta Erika? – Pokręcili przecząco głowami. – Ano nikim. Z zebranych informacji wynika, że to zwykła obywatelka Berlina. Niemka, Żydówka więziona z rodziną w Dachau i Ravensbrück. Czasu było niewiele, ale udało się znaleźć potwierdzenie, że kobietę ciągnęło do organizacji syjonistycznych. Izrael, rozumiecie. Potem jej przeszło. Pojechała ponoć na Bliski Wschód i wróciła. Fakt, ma w życiorysie czarną dziurę. Nie wiadomo nic o okresie pomiędzy wojną a wyjazdem do Izraela. Wróciła do miasta dopiero w czterdziestym siódmym.

– A więc jednak – zauważył Nirbergen. – Kto wyzwolił Ravensbrück? Rosjanie. Czemu nie wracała? Co robiła przed wojną?

– Spokojnie, kolego. – „Greenman” zaczął wachlować się kapeluszem. – Myślicie, że zwykła dziwnia miała by taką władzę, by przerzucać ludzi na wschód?

– Tobie też coś w niej nie podpasowało – przypomniał „Talu”.

– Owszem.

– Co z nami? – zapytał Nowolipczyński, umożliwiając „Greenmanowi” porzucenie niewygodnego tematu.

– Co mogę powiedzieć? Musicie być szczerzy z moimi szefami. Bez tego nikt i nic wam nie pomoże. Wydaje mi się, że mówicie prawdę. Nie pracujecie dla czerwonych, po prostu jesteście amatorami... – Polacy poczuli się obrażeni. – No dobrze, półamatorami, którzy wpadli w panikę, kiedy ich ograno. Popelniliście błąd, przyjeżdżając tu na prawdziwych papierach, ale to rozumiem. Nie macie nikogo od legalizacji dokumentów ani, jak sądzę, wielkich funduszy na waszą działalność. Tak o to przechodzę do sedna. Odkryliście się. Wschodni Niemcy i Rosjanie sprawdzą każdego Polaka, który przyjechał do Berlina z Monachium. Jeżeli Puławski za dużo gadał, to dobre zdanie o was mają. Amerykanie i zachodni Niemcy zaś... sami wiecie.

– Więc co dalej? Jaka kara nam grozi? – Motyczka bał się odpowiedzi i odruchowo zaczął masować szyję, jakby zaciskała się na niej pętla. Charlie stał się bezczelnie pewny siebie.

– Kara? Ktoś ryzykowałby proces bez dowodów? Nie musicie tego wszystkiego opowiadać przed sądem. Ale nie ma tak łatwo w tym głupim świecie. Moi szefowie mogą się postarać, żebyście... nie mieli tu spokojnego życia – zagroził.

– Albo... – „Hrabia” wiedział, na czym polega ta gra.

– Albo będziecie pracować dla nas. Zmienicie chlebobawcę.

Polacy zdębieli. Potem zaczęli szeptać, naradzać się gorączkowo, w podnieceniu. Mieli szansę ocalić.

– Rozumiem, że jesteście za... – „Greenman” zaklaskał cicho, przerywając narady.

– Tak – odpowiedział „Hrabia”.

– Cieszę się. Po starej znajomości... – Przyłożył rękę do serca. – Firma potrzebuje ludzi. Zdolnych, oddanych sprawie ludzi. Musi być źle, skoro zgodzili się na wasz, nazwijmy to, angaż. Na próbę. Będziecie na krótkiej smyczy i wysyłani do nie najmilszych zadań. – „Greenman” wstał. – Nie macie wyboru. Gdyby któryś się rozmyślił... Pewnie was znajda. Możecie uciec na wschód, ale to wasz koniec. Tak jak

pewnie jest już po waszym przyjacielu. Przykro mi, że ja muszę wam to zakomunikować, ale nie warto podtrzymywać złudnych nadziei. Jesteście niczyi. Bez domu i kraju – podsumował.

– My po nic, nikomu... – wyrwało się „Talunowi”. „Hrabia” kiwał głową w jakimś nerwowym odruchu. Docierała do nich świadomość klęski.

– Upolowałeś nas. Każdego swojego tak przerabiasz? – zapytał zgryźliwie Nowolipczyński.

– Nie – odparł spokojnie Karol. – Tylko takich mniej mądrych – odgryzł się i przeszedł do spraw praktycznych. – Spakujcie rzeczy – polecił. – Ekipa was odstawi do lepszego lokalu. Będzie wam wygodniej. Tam się zastanowimy, co dalej. Jak was wykorzystać. Trzeba przecież przyrzeć się tej dziuni, pani czy pannie Herpf. Musimy was sprawdzić. – Włożył kapelusz, podszedł do drzwi i złapał za klamkę.

– Komu teraz służymy? – zapytał Nirbergen.

Zielinsky spojrzął na niego przez ramię.

– Słyszeliście o czymś takim jak Centralna Agencja Wywiadowcza? – Gdańszczanin słysząc te słowa, otworzył usta, ale Karol uprzedził jego pytanie: – Tak, masz mi wierzyć. Wszyscy musicie. Nie błysnę wam żadną legitymacją. Ale spokojnie, przekonacie się. Jest taka organizacja i jest poważna. – Otworzył drzwi i wpuścił do środka zmokniętych i nieufnych Martyego i Williama, nowych opiekunów dziwnej polskiej czwórki.

ROZDZIAŁ 6

– Uwielbiam, po prostu uwielbiam takie rzeczy. A może robię się za stary? – Kermit z obrzydzeniem rozglądał się po wnętrzu ciemnej furgonetki. Poświecił latarką na zegarek. – Dwadzieścia minut... – skierował strumień światła na pozostałą trójkę: Charliego, Hugh i Williama. – Mogę to jeszcze wstrzymać – zasugerował z wahaniem. – W dzisiejszej sytuacji to może być niebezpieczne.

– Powiedz lepiej, że mi ciągle nie ufasz. – Urażony Charlie skrzywił usta. – Wszystko przebiegło poprawnie. Nie robię dla czerwonych.

– Nie, nie robisz – westchnął Kermit ponurym głosem. – Za to masz dar przekonywania góry. Ja bym to zostawił. Cholerne miasto! – Zgasił latarkę i oparł głowę o ścianę wozu. – Myślałem, że poznałem tujsze zasady. A jednak nie. – Obrócił głowę w stronę swoich ludzi. – Od dwóch dni sowieccy oficerowie opuszczają wschodni Berlin i NRD – powtórzył cicho zdanie z otrzymanego raportu, tak jakby chciał dostrzec w nim głębszy sens. – Nasi szwabscy kumple najpierw ostrzegają, że ruscy polują na źródło przecieku, próbują przyjrzeć się naszym, robią fotki przy spotkaniach, a za kilka dni... – przerwał i pstryknął palcami. – Sprawy przestają ich interesować i ważni ruscy zaczynają wyjeżdżać. Może nie masowo, ale ta nagłość niepokoi.

– Już tak tu mieliście? – Zielinsky nie zastanawiał się wcześniej nad wyjątkowością sytuacji.

– Nie. Raczej ich dowozili – odparł Hugh, jak na berlińskie warunki: weteran. – Czasem odstawiali jednego lub dwóch, ale dostawali zmienników.

– Z tego, co mówią nasi informatorzy, coś się zaczęło – dodał Kermit.

– I co? Uważasz, że to wszystko jest powiązane? Jeszcze powiedz, że mam coś z tym wspólnego. – rzucił prowokacyjnie Charlie. – Wiem, że tu nie ma przypadków, ale sam wielki Bill chyba to wszystko wymyślił. – Rozłożył dłonie, pokazując wokół.

– Bo musiał. – Kermit nie dał się wyprowadzić z równowagi. – Wyszedłeś przed szereg, naruszyłeś zasady bezpieczeństwa i...

– I dodałem nam roboty, bo wpadłem na coś niebezpiecznego?

– Spokojnie – powstrzymał go Will. – Kermit jest przepracowany. Wszyscy jesteśmy, a sam wiesz, że to nie branża handlowa. Szczególnie w tym przekłętym mieście. – Ewidentnie chciał załagodzić spór.

– Chodzi mi tylko o to, czy dasz sobie radę z tymi czterema supermenami – powiedział złośliwie Kermit, a „Greenman” nie odpowiedział. Czwórka Polaków spod Monachium podpadła mu solidnie z powodu zbyt dużej wiary w swoje możliwości.

– Nie mają wyjścia, jeżeli chcą chodzić wolno. Mogliśmy załatwić to sami, ale szefowie chcą ich. Może wschodni Niemcy wzięli nas wszystkich na tapetę i tego nie da się ukryć? Tę czwórkę lepiej trzymać przy sobie.

– Lubisz myśleć i filozofować, co? – fuknął zaskoczony Kermit. Nie potrzebował myśliciela, tylko bystrogo faceta do brudnej roboty.

– Może tak, może nie. – Zielinsky zbył docinek, by nie zaczynać kłótni. – W dupie mam Wschodnich, tu chodzi o tę kobietę. Jeżeli jest ich agentką na naszym terenie...

– ...to mamy prawo ją zdjąć! – dokończył ponuro Hugh.

– Póki jej stąd nie wywieje – zauważył Will. – Spory ruch przy tym jej sklepiku ostatnimi czasy.

– Dlatego uważam, że to niebezpieczne. – Kermit nie odpuszczał. – Można to przerwać, a dla góry wymyślimy jakieś wytłumaczenie. Lepiej czekać, obserwować ją...

– A potem powiesz, że to ja skrewiłem. – Zielinsky szyderczo wykrzywił usta. – Dziękuję, poradzę sobie. No to jak, możemy? – Uniósł broń i sprawdził magazynek. Wepchnął colta za pasek spodni i zapiął

krótką ciepłą kurtkę, podobną do tej, którą nosił w czasie wojny. Nie była praktyczna, miała nieco za pływkie kieszenie, ale nie krępowała ruchów. „Greenman” wstał, włożył kaszkiet i złapał za daszek. – Panowie, za kwadrans widzimy się znowu. – Nie czekał na pozwolenie i pożegnania, tylko otworzył drzwi.

Na zewnątrz nadchodził chmurny wieczór. „Greenman” nasunął czapkę na oczy i zeskoczył na bruk. Koledzy wychodzili za nim. Oni i reszta zespołu mieli dozorować akcję z odległości. Zabezpieczyć nowych. Kermit wyjął z wozu szeroką, przenośną radiostację handie-talkie. Wyciągnął antenę i przyłożył radiotelefon do głowy.

– Tempelhof – podał niewyszukane hasło, sygnał informujący pozostałych agentów i czekających na informacje zwierzchników, że mają zgodę na działanie. Kermit podniósł kciuk w stronę „Greenmana”. Miał wolną drogę. Wszystko było gotowe. Zielinsky wyszedł na ulicę. Nie było ruchu, zaledwie kilka osób przechodziło chodnikami. Na większych arteriach, gdzieś dalej poza kamienicami cichł już szum pracowitego dnia. Charlie upewnił się, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Przeszedł nieśpiesznie wzdłuż kilku budynków, czasem tylko zerkając w jakąś witrynę albo okno. Jego trzódka (jak nazywał czwórkę Polaków) była dalej z tyłu, posłuszna jak niewolnicy podarowani nowym panom. Miał im torować drogę, upewniając się, że jest czysto. Było. Charlie nie wylapał żadnej oznaki niebezpieczeństwa. Szeffowie (i on sam również) byli pewni, że jeżeli Herpf jest tym, za kogo uważają ją nowi, to została ostrzeżona. Musiała być objęta kontroberwacją. Od dwóch dni po ulicze z księgarską kręciło się więcej ludzi niż dotychczas. „Greenman” przeszedł przez jezdnię. Mijał domy, przy których spotkał Erikę dwa razy. „Jesteś głupi” – zrugał siebie na wspomnienie tych zdarzeń. Przeszedł pustą przecznicę z ciasno ustawionymi kamienicami, by potem stanąć przy bramie. Schował się w cieniu. Podążający za nim też się ukryli. Czekali na znak. Sklep znajdował się przy następnej uliczce, tuż za zakrętem. Można było go obejść, ale tylko przechodząc od frontu albo omijając kilka domów i wspinając się po dachach podwórkowych komórek. „Dobrze, że ja nie muszę się tak pocić” – pomyślał Zielinsky. Miał im wiele prostsze zadanie. Wszystko powinno odbyć się sprawnie i bez większego wysiłku. Zapaliły się pierwsze latarnie. Okna mieszkań zaczynały jaśnieć światłem elektrycznych żarówek. Ta część Berlina szykowała się do kolejnej, chłodnej zimnowojennej nocy. Charlie sięgnął po papierosy. Włożył jednego w usta i wykrzesał płomień z zapalniczki. Dał znak, że droga wolna. W szarzyźnie wieczora spostrzegł, jak cztery sylwetki rozchodzą się po ulicy. Dwaj osobnicy szli prosto do celu. Pozostali ich ubezpieczali. Zielinsky miał dopilnować, by nikt im nie przeszkodził.

Minęło niemal pół godziny i nic się nie wydarzyło, przynajmniej nic z tego, co zakładał pierwotny plan akcji. „Greenman” co chwilę gapił się na tarczę zegarka, przysuwając go w ciemności blisko twarzy. Chciałby popędzić wskazówki swoim spojrzeniem. Wydawało mu się, że tkwi w tej obskurnej bramie pół dnia, a nie pół godziny. Ulica milczała tak jak wtedy, kiedy Zielinsky wypatrywał Eriki. Tego wieczora był niemal przekonany, że dzielnica wie wszystko. Ludzie sterczą za firankami w ciemnych oknach i patrzą na scenę, na której on i jego ludzie byli aktorami. Charlie ostrożnie wychylił się z cienia. Czwórka Polaków była ukryta i tak jak on czekała. Niepokój zaczynał przeradzać się w irytację, którą zwiększał narastający nikotynowy głód. Na dodatek „Greenmanowi” robiło się zimno. Zimne powietrze ciągnęło od popękanego betonu wejścia. Minął kolejny kwadrans, a Zielinsky zaczął się obawiać, że spędzi na obserwacji resztę nocy. Nie podobało mu się to zupełnie, zwłaszcza że miejscówka nie nadawała się do tego. W każdej chwili ktoś mógł nadejść ulicą albo wychylić się z klatki schodowej. Tymczasem w księgarni tego dnia chyba nie zamierzali kończyć pracy.

Niebo robiło się coraz ciemniejsze. Od wschodu napływały zastępy chmur. Narastający mrok tłumiała jedynie poświata rzadkich tu latarni. Zielinsky zastanawiał się, czy tego roku wiosna w ogóle nadej-

dzie. Wychylił się znowu. W księgarni wciąż paliło się światło, ale nikt nie podchodził do drzwi. Nikt nie pokazywał się w witrynie, nie poprawiał wystroju.

– Wzmożony ruch, co? – szepnęła „Greenman”, niezadowolony z jakości obserwacji kolegów z zespołu. Dreptał w miejscu, chuchając w dłonie i próbując pokonać ziąb. Minęło kolejne pół godziny. Wszyscy inni czekali, pewnie też ledwo radzili sobie ze stresem. Akcja nie została odwołana, wszak nie stało się nic niepokojącego. W takim wypadku ktoś przecież nadałby sygnał ostrzegawczy albo dał znać, że figurantka uciekła.

– Jesteście tam... Na pewno jesteście... – wyszeptał Charles, ledwo rozwierając wargi. Usłyszał jakieś skrzypnięcie. Wysoko, na piętrze klatki schodowej. Perspektywa dekonspiracji zmobilizowała go, by działać, a przynajmniej sprawdzić, co może zrobić. Wyszedł dziarskim krokiem na chodnik. Przeszedł ulicę. Machnął kilka razy dłonią za plecami, mając nadzieję, że jego ukryta ekipa dostrzeże go i zrozumie. Charlie improwizował. Nie wiedział, jak zachowa się podejrzana. Jak zareaguje i jak została wyszkolona. Obawiał się, że dziewczyna nie da się nabrać. Serce łomotało coraz szybciej po każdym przebytym metrze. Poziom adrenaliny podnosił się gwałtownie. Cały ten stan strachu i ekscytacji bardzo go podniecał. „Greenman” dla takich momentów porzucił spokojne życie przedsiębiorcy w Stanach. Tęsknił za niebezpieczeństwem, za przygodą. Zbliżał się do księgarni. Upewnił się ostrożnie, że nie ma towarzystwa. Jeszcze zdołał przejrzeć się w szybie wystawowej tak, by przy tym wyglądać jak najbardziej naturalnie. Wszedł i dźwięk powitalnego dzwonka przerwał ciszę. Zielinsky stanął w progu, patrząc w snop światła na zapleczu. Nie odważył się jednak wejść dalej. Był sam. Nie zamierzał robić głupstw. Wreszcie zza kotary oddzielającej przejście wynurzył się otyły stary mężczyzna z zaczeską na głowie.

– Dobry wieczór – przywitał gościa. Chyba jeszcze chwilę wcześniej drzemał.

– Dobry wieczór. Jak dobrze, że ciągle jesteście otwarci... – Zielinsky zaczął odgrywać pocziwego wesółka. – Jestem Richard, Richard Rott. – Ukłonił się, niby z szacunku dla starszego pana. – Chciałbym mówić z panią Eriką.

– Panią Eriką... – Starszy poprawił go drwiącym tonem i mrugnął okiem. – Przyda się jej jakaś rozrywka, bo ona by tylko siedziała w książkach albo plotła o interesie. – Zielinsky cierpliwie znosił to gadanie, z uprzejmością wymalowaną na twarzy. Wreszcie sprzedawca skreślił za regał i wdrapał się na jakieś schody.

– Pani kierownik, mamy klienta.

– O co chodzi? – odezwała się Herpf po dłuższej chwili.

– Ktoś do ciebie. Pan Rott – wyjaśnił szefowej. Zadziałało.

– Richard... Dobry wieczór! – Erika wypadła zza kotary, odsuwając starszego pana. Była wyraźnie zaskoczona, ale zaraz zamaskowała to cudnym uśmiechem. Zielinsky przyjrzał się znów jej szczupłej figurze, osłoniętej spódnicą, kremową bluzką i narzuconym na ramiona szalem. Kobiecie zrobiło się jakoś nieswojo, bo naciągnęła chustę, zakrywając się wstydliwie.

– Pan Richard Rott... – powiedziała głośniej i podeszła do gościa, podając dłoń. „Greenman” ucałował ją zgodnie z europejskim obyczajem.

– Byłem w okolicy i przypomniałem sobie o tobie. Może dałabyś się zaprosić do kina. Albo nie, wiem! Zapraszam na kolację. – Odchylił się w kierunku drzwi. Czekał z uśmiechem i z takim czarem, na jaki było go stać.

– No nie wiem... Mam tyle pracy. – Erika przygryzła wargę. Zielinsky zauważył, że teraz to ona ocenia jego wygląd. Zrozumiał, że nie prezentuje się odpowiednio, by zapraszać kobietę do restauracji. Nie miał odwrotu. Zaryzykował.

– Idź, idź dziecko... – Johann wtrącił się w rozmowę. – Zwariujesz od tej pracy. – Odgrywał wujka Dobra Rada, ale tylko zirytował Erikę.

– Nie, raczej nie. Może kiedy indziej... – Zgromiła starego spojrzeniem za to, że wtrąca się bez potrzeby.

– Przyjemnie jest się czasem oderwać. – Zielinsky vel Rott nie przestawał kusić. Ich spojrzenia spotkały się, obydwoje wiedzieli, że to wysublimowana gra. Na kilka sekund zrobiło się cicho i bardzo niezręcznie. Johann niewiele rozumiał i tylko robił głupie miny. Na schodach zadudniło. Ktoś zbiegał prędko. „Greenman” spiął się, przygotowując do walki, ale nie wyszedł z roli. Zza kotary wypadł młody mężczyzna. Był przejęty. Wybałuszał oczy na Zielinsky’ego.

– Telefon... telefon przestał działać – zaczął tłumaczyć Erice, ciągle wpatrzony w przybysza. – Ale... ale teraz jest już w porządku – dodał pośpiesznie i przelknął ślinę. Zielinsky zauważył, że młody dał jakiś sygnał Herpf.

– Więc jak? – Charlie spróbował ostatni raz po dobroci. Miał teraz za przeciwnika młodego faceta i zapewne też starego. Był sam, ale powoli szykował się na najgorszy obrót spraw. Ostrożnie przełożył dłoni za siebie, żeby móc wysunąć z kieszeni rozkładaną pałkę.

– Pan Richard chce zaprosić mnie na kolację. – Erika wciąż się uśmiechała, ale Charlie rozumiał, że teraz gra na czas. Zrobił krok w stronę drzwi, chcąc zmusić kobietę do jakiegoś działania. Kątem oka spostrzegł ruch na ulicy. Pusta do niedawna okolica zapelniała się postaciami. Mężczyzna wyrósł przed frontem księgarni i wpadł do wnętrza.

– Idą tu! – Kazik krzyknął po polsku do Charliego, ignorując zupełnie resztę. „Greenman” obrócił głowę w stronę pracowników.

– Zabieramy ich – rozkazał po polsku.

– Polak? – Najbardziej zdziwił się Johann. Jego twarz wykrzywiła się, jakby zjadł cytrynę. Erika stała zaskoczona, ale Morris zdecydował się na działanie. Złapał za jakąś książkę i cisnął w przeciwnika, a potem skoczył na obcego z krzykiem. Kazimierz zdołał się uchylić i poczęstował niższego od siebie młodzieńca ciosem w podbródek. Francuz zachwiał się, po czym poleciał na stoły z wolumenami, które zrzucił je na podłogę. „Greenman” przeskoczył oszołomionego księgarza i złapał kobietę za nadgarstki.

– Idziesz z nami! – syknął.

Stary próbował protestować, ale nie miał jak zatrzymać intruzów. Kazik pchnął go w stronę regału i stary stracił resztkę zapału. Szum na ulicy nie ustawał. W oknach w pobliskich domach światła gasły i zapalały się. Ludzie w ciemności oglądali zamieszanie. W poświacie latarni zwały się dwie grupy ludzi. Jedna była liczniejsza, ale musiała bić się z nieustępliwymi Polakami „Greenmana”.

– Czekali... – wydyszał Kazik i nie kończąc, rzucił się do walki na pięści. Zielinsky przycisnął kobietę, a ta syknęła z bólu. Charlie sięgnął po pistolet. Z balastem w postaci więźnia tylko tak mógł pomóc walczącym zjadale rodakom. Wyszedł przed sklep i zrozumiał, jaką przewagę mają sojusznicy księgarzy. „Zaraz! A co mi szkodzi? Nie jestem u siebie!” – odezwał się w nim buntowniczy głos. Odbezpieczył pistolet i wycelował w jednego z przeciwników. Erika szarpnęła się i spróbowała podbić broń, ale Charlie ścisnął ją tak, że prawie straciła oddech. Wystrzał był głośny i odbił się echem po ulicy. Nieliczne światła w mieszkaniach zaczęły gasnąć. Zielinsky strzelił drugi raz. Teraz celnie. Człowiek w ciemnym ubraniu złapał się za bok i zwałił na plecy. „Hrabia”, któremu zagrażał postrzelony teraz zbior, mógł zająć się kolejnym gagatkiem. Zawarczały gdzieś silniki pędzących aut. Zielinsky wiedział, że w planie było przerzucenie „zdobyczy” do furgonetki. Tyle tylko że z oddali dochodziły pojedyncze wystrzały. Odsiecz też napotkała problemy. Ktoś strzelił obok, bardzo blisko, i pocisk wybił dziurę w witrynie. Zielinsky tylko się uchylił (wiedział, że stojąc na tle szyby, jest doskonałym celem), szukając strzelca.

– Rzuć broń – rozkazał ktoś spokojnie. Mówił po niemiecku i był ukryty w mroku. – Jest nas więcej. Mamy więcej broni.

Dwa dostawcze auta wypadły z za zakrętu. Charlie poznał jedno z nich: prawie go potrafiło wtedy, pod kawiarnią, gdy ścigał fotografa. Siedzący w wozach ludzie rozsypali się zwinnie po ulicy, mierząc z pistoletów. Jeden z nich stanął przy „Greenmanie” z lufą wycelowaną w jego głowę.

– Rzuć to! – poleciał. „Greenman” gotował się z bezsilnej złości, ale ciągle myślał, jak może wybrnąć z tego wszystkiego. – Nie będę powtarzał – ostrzegł przeciwnik i zimna lufa uderzyła Polaka w bok głowy. Charlie puścił kobietę i uniósł rękę z dyndającym na palcu coltem.

– Wsiadać! – Głos z ciemności rozkazywał dalej. Nieznani oprawcy rzucili się na czwórkę zrezygnowanych Polaków. Wykręcono im ręce i wepchnięto do auta. Erikę też rzucono na ciemną pakę. Hałas w dali narastał. Były to strzały, policyjne gwizdki i jeszcze ryk kolejnych silników. „Uratuj nas – myślał gorączkowo „Greenman”, rozwścieczony porażką. – Nie, nie zdążą!” Nie byłby sobą, gdyby dał się skrepić i porwać bez walki. Wyprostował się. Wyszarpał utrzymaną za nadgarstek rękę, choć spowodowało to dotkliwy ból. Wyrzwał łokciem na osłep, a gość obok zgiął się wpół. Zielinsky poprawił, ale zaraz poczuł mocny cios w głowę. Prąd przeszedł jego ciało, a potem zrobiło się zupełnie ciemno.

Ciemnoszary furgon, na podwoziu małej ciężarówki opla, pędził ulicami miasta. Z początku było słychać tylko wycie silnika, którego gang rozchodził się po wąskich uliczkach. Wóz i jeszcze jeden pojazd za nim lawirowały, biorąc ciasno zakręty i niebezpiecznie chybotając się na wirażach. Zielinsky ocknął się miotany bezwładnością od ściany do ściany. Co rusz wpadał na kogoś lub czyjaś kończyzna uderzała go w bok albo w twarz. Głowa bolała go od uderzeń. Ale, jak zawsze w chwili zagrożenia, dzięki szkoleniu potrafił pokonać ból.

– Żyjecie? – wystękał, sądząc, że ma obok siebie kogoś z grupy „Hrabiego”.

– Kurwa mać! – syknął ktoś.

– *Halt's Maul!* Nie gadać – warknął jakiś Niemiec, zerkając przez szparę w drzwiach. Furgonetką rzuciło i znów więźniowie polecili na burtę, tłukąc się jeden o drugiego.

– Do dupy ta wasza organizacja... – „Greenman” wreszcie rozpoznał głos Krzysztofa. Samochód wjechał chyba na szerszą i ruchliwszą arterię, bo momentalnie przyśpieszył. Usłyszeli oddalające się klaksony i złorzeczenia, prawdopodobnie w wykonaniu przechodniów.

– Po naszymu trzeba... – Młody cherlak, korzystając z tego, że wjechali na prosty odcinek jezdni, wstał, opierając się o ścianę. Odepchnął się i rzucił na strażnika całym ciężarem. Chłop był dobrze przygotowany do walki, nawet na tak małej przestrzeni. Rąbnął Polaka mocnym ciosem dwóch pięści w okolice karku. Chudy momentalnie odpuścił. Tego było za wiele dla wątłego ciała chłopaka.

Charlie postanowił działać nieco mniej impulsywnie, choć ciągle nie potrafił normalnie myśleć. Wiedział natomiast, że aby pokonać przytomnego i wytrenowanego przeciwnika, musi zyskać przewagę. Samochodem rzuciło. Strażnik zachwiał się. Zielinsky uznał, że to doskonały moment. Oparł się o ścianę i wyprowadził cios nogą, jak uczono go w firmie, a potem na treningach w Japonii. Kopnął dwa razy w okolice kolana Niemca. Ten syknął i opadł. „Greenman” nie czekał, uderzył pięścią w skroń faceta, który zaraz zgasł jak płomień świecy zdmuchnięty przez wiatr. Furgonetka skręciła w lewo, prawie wywracając się. Silnik jęczał, a biegi zgrzytały w wyrobionej skrzyni. Na zewnątrz zrobiło się ciszej, samochód zwolnił. Gang motoru wypełniał jakąś węższą przestrzeń.

– Trzeba wiać, stary! – Zielinsky szarpnął otumanionego ciągle Motyczkę. Zaraz zaczął macać drzwi w poszukiwaniu klamki albo jakiegoś przycisku. Wiedział, że ma niedużo czasu. Jechali już chwilę, a z okolic księgarni nie było wcale daleko do granicy wschodniego Berlina. W desperacji uderzył kilka razy barkiem, ale drzwi nie chciały ustąpić. Charlie zrozumiał, że pozornie pospolity furgon był przeróbką przygotowaną na takie właśnie okazje. Więźniowie nie mogli sami wydostać się z auta. Charlie kucnął i zaczął obszukiwać ciało nieprzytomnego strażnika.

– Broń... szukaj broni! – rozkazał Krzysztofowi. Wyczuli pistolet w kaburze pod pachą Niemca. – Odsuń się! – „Greenman” przesunął Motyczkę za siebie i wycelował w środek drzwi. Wyrzwał spowodował ukłucie w bębenkach.

– Co do jasnej cholery?! – Ci w szoferce chyba dopiero zorientowali się, że coś jest nie tak. Zbyt zajęci byli ucieczką albo pościgiem.

Zielinsky strzelił jeszcze raz, tym razem lepiej zastaniając choć jedno ucho. Drzwi puściły i jedno skrzydło odskoczyło, wpuszczając falę zimnego powietrza. Charlie wysunął głowę i ujrzał, że pędzą od-

gruzowaną alejką między martwymi frontami wypalonych kamienic, smaganymi światłem reflektorów auta za nimi. Nie rozpoznał miejsca i przeraził się, że minęli granicę. Światła kolejnego samochodu urosły, przedniego motoru stało się głośniejsze. Druga część zespołu musiała spostrzec dziwne ruchy na pace pierwszego furgonu i przyspieszyła. Auto z tyłu zaczęło trąbić, kiedy szofer robił, co mógł, żeby dogonić dostawczaka. Gdzieś z boku, od szyby pasażera błysnął wystrzał. Kula nie miała szans trafić, wystrzelona w takim pędzie i na wybojach. Strzelec nie dawał jednak za wygraną.

Blaski prochowych płomieni wykwitwały raz za razem, aż wreszcie któryś pocisk przebił drzwi. Dwaj więźniowie padli płasko. Zielinsky rozumiał, że nie ma szans trafić w ruchomy cel. Czekał, jak to wszystko się rozwinie, z coraz szybciej łomoczącym sercem. Jedno tylko podtrzymywało w nim nadzieję, że nie wszystko jeszcze stracone. Jego kumple, albo policja, chcieli dopaść porywaczy. Nawet jeżeli oznaczałoby to strzelaninę. „Zachód... ciągle jesteśmy na Zachodzie!” Furgon zaczął hamować z piśkiem opon i dało się wyczuć, że kierowca musi skręcić. Gdy wóz zwolnił, Charlie uznał, że taka okazja się nie powtórzy. Pchnął lufą drzwi i mierzył, leżąc. Celował w bryłę auta, mniej więcej ponad światłami, tam, gdzie siedzieli ludzie. Uczono go tak walczyć. Strzelił dwa razy. Jadący drugim autem dali się zaskoczyć albo „Greenman” naprawdę w coś trafił. Samochodem zarzuciło i maszyna wbiła się w suche zarośla porastające skraj zrujnowanej ulicy. Furgon zaczął hamować. Skądś, przez mieszaninę hałasów, zaczęły dobiegać wyraźniejsze syreny policyjnych radiowozów.

– Skacz i wiej! – wrzasnął „Greenman”, szarpiąc Polaka za kołnierz. Młodemu nie trzeba było powtarzać. Zerwał się do skoku, wtedy auto zahamowało gwałtownie i Motyczka poleciał na koniec budy. Dekawka zatrzymała się. Faceci z przodu wybiegli z szoferki. Drugi samochód też stanął. Zielinsky uznał, że nie wymyślił nic lepszego od frontalnej szarży. Zimna kalkulacja mieszała się ze straceniowym zamysłem. Zdecydował, że nie da się wziąć żywcem i narazić na przesłuchanie. „A ile oni by wzięli? – pomyślał o grupie naiwniaków, którą wziął pod skrzydła firmy. – Na szczęście niedużo wiedzą”. Wystrzelili przez na wprost przyknięte drzwi i wyrwał na zewnątrz, spodziewając się palby ostrzału i uderzenia pocisku. Wypadł z auta, zdołał zrobić może dwa kroki i wystrzelił ostatnie pociski z magazynka, gdy wyczuł, że ma kogoś obok. Instynktownie uchylił się od ciosu. Szybko przerzucił pistolet tak, by złapać go za cofnięty, jeszcze ciepły zamek. Uderzył tym zaimprovizowanym kastetem w pierś napastnika, aż z gardzieli mężczyzny wydobył się świst powietrza. Facet zwiotczał, a Zielinsky poprawił kolejnym ciosem. Jeden z oprawców był już niegroźny. „Greenman” skoczył w bok, chcąc wbiec w lasek samosiejek opodal gmachu z rozerwaną ścianą. Niestety, przecenił swoje możliwości. Z ciemności spadł na niego cios, jeden, a potem drugi. Charlesa znokautowano kolejnym raz tego wieczora. Kiedy tracił przytomność, słyszał ciągle bliskie syreny policyjnych wozów. Wciągnięto go do auta i tym razem skrupowano mu dłonie. Zaraz potem podróż zaczęła się na nowo. Granica była bardzo blisko.

Mocne pukanie w drzwi obudziło Samuela Puławskiego. Usiłował zrozumieć, co się dzieje, gdy w wejściu stanął jakiś mężczyzna.

- Sami... – powiedział podekscytowany i włączył światło. Puławski osłonił odwykłe od jasności oczy.
- Co jest do cholery, Gienek?!
- Ubieraj się, trzeba jechać.
- Która... która godzina? – Samuel próbował po omacku odnaleźć zegarek na nocnym stoliku.
- Po czwartej. – Wczesna pora w ogóle Gienkowi nie przeszkadzała.
- Miałem do pracy iść. Do tej waszej spółdzielni, na szofera... – Puławski ciągle nie rozumiał za wiele i tylko tarł oczy.

– Tak, wiem, ale plany się zmieniły. – Kompan z miejskiej ferajny podszedł i zdjął z oparcia krzesła spodnie. – Wkładaj portki. Nowe zadanie. Rozkaz mamy! – wyszeptał konfidentycznie i mrugnął

okiem. Sami najpierw zastęgl, a zaraz potem odrzucił koldrę i wyskoczył z pieleszy, jakby poraził go prąd.

– Jak to? – Zaczął wciągać nogawki. Rozbudził się momentalnie, a oczy wręcz płonęły ciekawością i ekscytacją.

– A zobaczysz, zobaczysz... Organizacja się rozrasta. Duża sprawa się szykuje. – Gienek zacisnął kciuki w obu dłoniach. – No, ale dokładnie nie wiem. Szef, to znaczy twój kuzyn, pylkuje wszystkiego.

– Właśnie. – Sami narzucił na siebie sweter. – Zniknął po przyjęciu. Myślałem, że w interesach.

– Tak to u nas jest, kochanieńki – napuszyl się Gienek. – Robimy po kылka rzeczy naraz. Przywyknieisz. W krew ci wejdzie. Szef robi rzeczy ważne. No! – Posłaniec klasnął. – Śpiesz się, chłopaku. Przysłały wozem gońca z wiadomością dla mnie i dla ciebie. Czekał na dole, przy samochodzie. Przed świtem musimy zrobić sobie przejażdżkę.

* * *

Przez szpary w dachu i w deskach zasłaniających okna przebiegały się promienie słońca. Cienkie i pomarańczowe rozświetlały tańczący w starym budynku kurz. Charles Zielinsky leżał na boku, wciśnięty między skulone ciała półprzytomnych kompanów. Niewiele rozumiał. Podano im wszystkim jakiś narkotyk, który paraliżował, ograniczał percepcję i odbierał zdolność logicznego myślenia. Z początku mąjaczyl, że spadł do piekła, a jasność ponad nim to oddalające się niebo. Długo zajęło mu zrozumienie, że nie został potępiony, tylko zamknięto go w jakimś magazynie. Był stary, zniszczony i obrzydliwy, choć „Greenman” wciąż nie czuł zapachów i nie umiał dokładnie określić kształtów w otoczeniu. Charlie zamykał i otwierał oczy, ale nie miał pojęcia, jak wiele czasu mija między jednym a drugim przebudzeniem. Jeden z tych przebłysków świadomości spowodował rażący, ciepły promień wędrującego słońca. Zielinsky spróbował zasłonić twarz, ale nie potrafił wykonać nawet tak prostego ruchu. Przez jasną poświatę zobaczył przesuwające się sylwetki. Skupił się, jak potrafił najlepiej, i uzmysłowił sobie, że tamci mają zamiar zrobić mu krzywdę. Chciał coś powiedzieć, ale usta były zakneblowane. Słyszał kroki na betonowej posadzce pokrytej odłamkami gruzu i trzask kawałków szkła pod butami. Walcząc o przetrwanie, robił, co mógł, by wykrzesać siły i przezwyżyć niemoc.

Było ich dwóch. Potem pojawiła się jeszcze kolejna dwójka. Przyglądali się więźniom. Chyba też nad czymś się naradzali. „Greenmanowi” trudno było stwierdzić, jak długo to trwało. Otumaniony umysł płał właścicielowi figle. Zgrzytnęło coś głośno. Reszta chłopaków też wzdrygnęła się obudzona tym hałasem. Do pomieszczenia wpadło jeszcze więcej światła i świeżego powietrza. Uniosła się chmura kurzu. Dwie pary rąk złapały i dźwignęły „Greenmana”. Znowu go wleczono. Pozostałych również zabierano z kryjówki. Zielinsky zobaczył dużą ciężarówkę, do której szybko go wrzucono jak kłodę drewna. Dostrzegł jeszcze bryłę lotniczego hangaru. Nie pomylił się, oceniając budowlę. Powoli pojmował, że nie został przewieziony do normalnego więzienia Stasi, aresztu ani jednostki wojskowej. Resztę jego kompanów też wrzucono na wóz i zasłonięto plandekę. Pojazd ruszył ostro, a skrzepowani ludzie przewalali się po podłodze jak wory ziemniaków. Podróż nie trwała jednak długo. Zielinsky czuwał, bo w tej niewygodzie nie mógł zasnąć ani nawet odlecieć w sen, kojący skutki użycia przeciw niemu jakiejś chemii. Ciężarówka stanęła, a więźniów wywleczono. Wiało mocno i słońce wisiało już wysoko nad horyzontem. Charlie wylapywał tyle szczegółów, ile umiał. Bał się, że to już koniec. Że zabiją go i zakopią. Zaczął jednak tłumaczyć sobie, że tamci zadali sobie zbyt wiele trudu, by go zlikwidować dopiero teraz. Nie o to w tym wszystkim chodziło.

Ułożono go na czymś miękkim. Chyba na noszach. Przechylił głowę. Obok miał „Taluna”. Dalej stał odwrócony tyłem cywil, który prezentował coś innemu jeszcze człowiekowi. Na równej polanie stała maszyna o dziwnym kształcie. Pochylona, cylindryczna i matowozielona. Charles pojął dopiero po dłuższym przyglądaniu się, że widzi samolot. Ułożyło mu najpierw, ale zaraz dopadł go paniczny strach. Zaczął się trząść, choć jemu zdawało się, że wymachuje rękoma i nogami. Nie chciał być wywieziony. Ktoś do niego podszedł. Poglądził czoło. Kobieta. „Greenmanowi” zdawało się, że ją zna.

– Kathy? – wymamrotał, mrużąc oczy.

Ona coś odpowiedziała, ale nie zrozumiał. Nie poczuł też kolejnego ukłucia igły. Zaraz po nim zasnął.

Szare światło poranka wdzierało się przez firanki gabinetu. Żeby rozjaśnić nieco ten nijaki dzień, musiały się tu palić lampy. Pokój był wygodnie urządzony, ale nie zmieniało to faktu, że wydawał się ponury i przygnębiający. Tak samo jak jego obecny lokator. Otaczała go aura lęku i tajemnicy. Pułkownik Stiepan Zardow odłożył słuchawkę telefonu i spojrzął na bakelitowy aparat.

– Wszystko w porządku, towarzyszu? – Osawski ośmielił się zapytać, widząc zawahanie pryncypała.

– W porządku! – Zardow spojrzął z ukosa i wreszcie się uśmiechnął. Sięgnął po papierośnicę i otworzył, proponując jednego Polakowi. Jan był zbyt przejęty, by palić przy Sowiecie. – Było trochę komplikacji, ale to norma. – Stiepan zapalił i mocno się zaciągnął. – W tym fachu nie warto przywiązywać wagi do drobnostek. Zasadniczo wszystko idzie po naszej myśli. – Podszedł do okna wychodzącego na rozległe podwórze i ściany molocha ministerstwa. – Jesteście tutejsi... – zauważył. – Załatwcie, żeby przedstawili wóz z kierowcą. Wybraliście go sami, więc wierzę, że nie będzie robił kłopotów.

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku. – Jan odruchowo strzelił obcasami, choć na nogach miał lakierki, a zamiast munduru włożył dobry garnitur. – Wszyscy zaangażowani są pewni.

– Doskonale. Właśnie dlatego was wybrałem – odparł Zardow i odwrócił się. – Macie ten jakiś dodatkowy zmysł... Jak ja, kiedy byłem w waszym wieku.

Osawski z większym jeszcze zapalem chwycił za telefon i wywołał garaż. Nazwisko sowieckiego radcy Zardowa robiło piorunujące wrażenie na wszystkich, podobnie jak każda wizytacja z Kraju Rad. Nie było kłopotów z organizacją transportu.

– Auto podstawią za pięć minut, towarzyszu pułkowniku! – zameldował Jan, gdy Rosjanin wrzucił peta do filizanki z resztką kawy.

– No to weźcie płaszcz, wałówkę, jeśli macie, i cóż... w drogę. To wasz pomysł. Sam tego nie załatwię.

Szli spokojnie przez korytarze, skręcając do schodów prowadzących do wyjścia w jednej z tylnych bram gmachu. Zardow był traktowany jak udzielny książę-namiestnik, któremu nie wolno wejść w drogę. Pracownicy resortu kłaniali się, schodząc na bok. Przeważnie jednak kryli się w pokojach i gabinetach. Lepiej było unikać spotkania, skoro nie wiadomo, czemu ten oficer pojawił się w Warszawie i siedział tak długo. Osawski szedł kilka kroków z tyłu jak posłuszny ordynans. Nie omieszkiał przyglądać się reakcjom mijanych towarzyszy. Zardow budził lęk u pracowników. Natomiast Osawski, a dokładniej jego pozycja przy Sowiecie – zdziwienie. Polak pokazywał się w towarzystwie wizytatora i był traktowany jak partner. Nie było to normą, jako że radzieccy woleli przebywać we własnym gronie. Jan napawał się chwilą, wiedząc, że po kilku tygodniach przy towarzyszu zaczną go uważać za radzieckiego. A może nawet za ich człowieka, który umiejętnie wtopił się w tłum. To wiązałoby się przynajmniej z okazywaniem większego szacunku skromnemu kapitanowi z prowincji. „Właściwie kiedy mnie namierzili i wybrali?” – zastanawiał się, walcząc z uśmiechem, kiedy kolejna sekretarka strachliwie uchodziła za drzwi. „Jeszcze w czasie wojny? Gdy od razu po ucieczce dołączyłem do oddziału? Tak, to możliwe” – uznał. To była jesień, a on, Josze Osa, uciekł z pociągu, który jechał do Treblinki. Sam oddział był kiepski. Żył z napadania na młyny i istniejące jeszcze majątki. Ale grupa przygarnęła Osę jako pepeerowca. To on ukształtował ideologicznie tych kilkunastu ludzi. W czterdziestym czwartym zaczęli przebiegać się w kieleckie, już jako bojowy oddział komunistycznej Armii Ludowej. „Potem byliśmy w Gdańsku... Tam pierwsza duża robota – wspomniał z rozrzewnieniem pionierskie, choć nie tak odległe czasy. – Byłe się coś z Gdańska nie dostało się do akt”. Grzechów, które popełnił, zachłystując się władzą, bał się

najbardziej. Zwłaszcza teraz, kiedy jego kariera zaczynała naprawdę przyspieszać. Musiał jednak przezwyciężyć wspomnienia. Zatrzymał się nagle, o mało nie wpadając na Zardowa i otyłego faceta, z którym rozmawiał.

Sowiecki pułkownik zagadnął samego Józefa Światłę. Ten był w płaszczu i w kapeluszu. Wracał skądś albo gdzieś się wybierał. Rozmawiali, a Osawski stał obok jak ich zaufany. Wreszcie zaczęło do niego docierać, o co chodzi.

– Naprawdę wdzięczny jestem za waszą pracę... – Zardow z zapalem ścisnął dłonie podpułkownika. – Wiemy, wiemy dobrze, jak ciężko pracujecie, czyszcząc struktury z wrogów, odstępców reakcyjnych i zdrajców. Wiedziecie, że pracownicy średniego szczebla widzą to i podziwiają. Polska ludowa umie budować bezpieczny system. Wiem, że czynicie to pod kierownictwem samego towarzysza Berii. – Ścisnął mocniej dłonie Polaka. Światło kwaśno się uśmiechnął na te peany i ukradkiem zerknął na Osawskiego. Jan dostrzegł strach w oczach nieprzejednanego do tej pory oficera. Sprawilo mu to satysfakcję. Tamten też bał się radzieckich. A przecież rozmawiał nieraz z samym wielkim Berią, szefem całego aparatu bezpieczeństwa. „Coś się zmienia?” – to pytanie chciałby zadać Światle, ale ciągle był „za mały” na taką bezczelność.

– Wiem, że wróg próbował podnosić głowę, ale udało się wykryć spisek Amerykanów. Wspólnym wysiłkiem czekistowskiej rodziny. Teraz też pułkownik pracuje, prawda? Sprawy zachodnich kretów czy nowe zadania z góry? Plotki chodzą, że trzeba będzie nieco odświeżyć wszystko. – Dyskretnie dał sygnał, że oczekuje zmian i obydwaj słuchacze wyłapali prowokacyjny podtekst.

– Towarzysze też wykonują ważne zadania... – Polski podpułkownik wreszcie wyzwoilił się z uścisku i odpowiedział banalnym zapewnieniem. Nie dał się sprowokować do wyznań. – Sprawy wywiadu i zdobywania przewagi nad imperialistami to rzecz najważniejsza. Wychodzicie, towarzysze? Czyżby coś pilnego? – Otrząsnął się z zaskoczenia, przypominając, że i on ciągle może zadawać pytania w tym gmachu.

– Wypad za miasto... – Zardow postukał palcem w nos. – Dokąd jedziemy, kapitanie?

– Okolice Marek... – Jan był spięty. Nie wolno było mu zdradzać zbyt wiele ot tak, na korytarzu.

– Tak, zapowiada się obiecująco – odparł zadowolony Zardow. Niepokoiło to wyraźnie Światłę, a Osawskiego bawiło. – No, czas na nas. Auto pewnie już podstawili. – Nalożył kapelusz i przytrzymał rondo. – Do zobaczenia, towarzyszu podpułkowniku – powiedział wolno i wyraźnie po polsku, spoglądając prosto w oczy rozmówcy. Potem zaś patrzył długo przez ramię za odchodzącym Światłą.

Cały świat wokół wydawał się snem albo majakiem. Charles „Greenman” Zielinsky widział rzeczy i ludzi, słyszał dźwięki, ale nie przyjmował tego do świadomości. Urwane sceny, czasem ciemne. Później tak jasne, że powodowały dyskomfort. Obraz rozmywał się jak we mgłę. Charlie nie potrafił w żaden sposób zareagować. Był bezwładny. Stracił poczucie czasu i miejsca. Przynajmniej nie czuł bólu ani zmęczenia. Po prostu był bezwolną, niemyślącą masą. Wszystko, co działo się wokół, zostawało jednak gdzieś głęboko w zakamarkach umysłu i wracało. Sen albo wspomnienie? Nie potrafił wyjaśnić. Ciemny chłód nocy i trzęsące się nieznanne wnętrza, do którego wpadały błyski światła, wykwitające w mroku jak płomienie, jakby od strzałów. Dopiero po długim czasie zaczął sobie przypominać, że był w aucie. Jechało prędko, a te światła musiały być mijanymi latarniami. Ktoś krzyczał lub głośno mówił, a wszystkimi wewnątrz rzucało. Samochód musiał przed kimś uciekać.

Później przypomniało się Charliemu zimno, jeszcze większe niż teraz. Pamiętał nawet, że stoczył walkę, ale przegrał. Pamiętał widok bruku przesuwanego się przed twarzą. Ktoś go dokądś wlekl. Przez mgłę przebiegały się jakieś urywki obrazków z ciemnej hali rozświetlanej reflektorami aut. Pamiętał tylko chłód i krążące gdzieś w mroku postacie. Nie pamiętał wypowiedzianych przy nim słów. Coś mu podano. Chyba w zastrzyku, a później zrobiło się błogo i usnął. Wszystko się urwało.

Kiedy na powrót otworzył oczy, wydawało mu się, że spał tylko kilka minut. Nie widział nic. Coś zasłaniało mu oczy. Narkotyk był mocny i działał o wiele dłużej, nie pozwalał na właściwe pojmowanie czasu i miejsca. „Greenman” drgnął jak wybudzony z sennego koszmaru, wreszcie. Zaczął się miotać, usiłując zdjąć opaskę, ale został mocno przyciśnięty do podłoża. Ktoś do niego przemówił, ale Charlie nie od razu zrozumiał.

– *On kamandir?*²⁴ – Dopiero po chwili pojął sens tych słów.

– *Eto mozet byt*²⁵ – Drugi człowiek nie był pewien. Potem podniesiono „Greenmana” i wrzucono na coś twardego. Zagrał silnik i wszystko wokół zaczęło się trząść. Obok wiły się inne jęczące ciała. Droga w nieznaną wydawała się nieskończona. Charliemu Zielinsky’emu wpadła do umęczonej głowy potworna myśl, że wiozą go daleko, do samej Moskwy.

* * *

Las był wilgotny. Ziemię pokrywały plamy śniegu. Między pniami drzew unosiła się biała mgielka. Jeden człowiek musiał wejść w ten odstręczający ostęp. Patrick Laren był niewyróżniającym się zbytnio czterdziestosześcioletkiem. Miał okrągłą, bladą twarz, ogoloną na gładko. Nosił zbyt obszerne płaszcz, spodnie na szelkach i wełniany sweter. Wszystko to miało utrudnić jego ewentualną identyfikację. Laren dbał o siebie, jak tylko mógł. Ten nawyk został mu po wojnie. Sprawność fizyczna w jego pracy była sprawą kluczową, nie mniej ważną niż intelekt i umiejętność zdobywania zaufania. W ambasadzie USA oficjalnie piastował mało znaczące stanowisko, co doskonale maskowało jego prawdziwą pozycję. Tego poranka stał za grubym pniem starego dębu, przyglądając się rozległej polanie. Było zupełnie cicho i bardzo zimno. Dotarcie w tę głązję wymagało od Patricka wręcz cudów, a nie tylko szpiegowskich technik. Gubił pogoń i obserwację dobre cztery godziny. Od strony szosy dochodził dźwięk samochodowego silnika. Wóz zwolnił, po czym skręcił i przejechał kilkaset metrów przez las. Laren napiął mięśnie. Takie momenty jednocześnie go drażniły i nakręcały. Bał się wyspy, ale czekał niecierpliwie, ciekawym, kogo zaraz ujrzy lub usłyszy. Na wilgotnej ściółce słychać było szybkie kroki. Gdzieś pękła gałązka. Zbliżający się człowiek nie zważał na zasady bezpieczeństwa. Bardzo się śpieszył.

– Sztokholm! – rzucił zdyszany hasło, zbyt głośno i ze zbyt dużej odległości.

– Londyn... – odparł rozzłoszczony Patrick. – Choć nie powinienem odpowiadać, do jasnej cholery! Zwariowałeś? – wyszczał, patrząc wokół i sprawdzając, czy krzyk nie zainteresował jakiegoś kłusownika albo zbieracza chrustu. Kontakt stanął w pewnej odległości, kryjąc się za grubym pniem podobnie jak Laren. Zachowywał ostrożność, choć Patrick nie rozumiał dlaczego. Miał jego zdjęcie, dokładny opis. Prawdopodobnie kontakt chciał uniknąć pojmania we dwojkę, jakby z aresztowania w pojedynkę mógł się jakoś wyłgać.

– Sami chcieliście spotkania. – Kontakt też się nastroszył. – Zapracowany jestem. Wiesz, jak trudno było się tu wyrwać? Traktuj to jako przejaw mojej dobrej woli. Wiele dla was robię.

– Tak wiem, wiem. – Laren postanowił ułagodzić rozmówcę. – Posłuchaj, Sowietci... To ich nagle zainteresowanie, o którym pisałeś...

– Do ciężkiej cholery, żadne nagłe zainteresowanie! Oni tu są cały czas i tym kierują. Przyjechał jeden palant i zaczął coś szykować. Facet z centrali.

– Dobrze, dobrze już. – Laren wychylił się zza drzewa. – Coś więcej o nim?

– Podąłem wam wszystko, co ustaliłem. Interesuje go odcinek wschodniemiecki i wasza agentura w Polsce. Ale to coś więcej...

– Właśnie. – Patrick podrapał się w policzek. – Potrzebujemy informacji, czy przyjazd tego całego Zardowa nie wiąże się z burdelem we wschodnich Niemczech.

– Radzieccy ograniczają personel. – Kontakt był doskonale poinformowany. – Zaczynają nowy etap, co? Jeszcze niedawno chcieli wiedzieć, kto wam kabluje o Fieldzie i uciekinierach na zachód, a teraz...

– Właśnie to nas niepokoi. – Laren uciął dywagacje rozmówcy. – Robią jedno, ślą sygnały, a potem... Wiem, że miałaś rozmawiać o tym z kimś wyżej od ciebie ustawionym w systemie, ale to niebezpieczna sytuacja. To znaczy niecodzienna. Przedwczoraj uprowadzono w zachodnim Berlinie naszego agenta. Jak wy to mówicie: oficera. I czwórkę ludzi, którzy...

– ...mogli mieć z tym coś wspólnego? – Człowiek stojący kilka drzew dalej połączył wszystko i dokończył zdanie. – Nie sprawdziliście ich?

– Byli nowi, wstępnie sprawdzeni. – Laren brzmiał bardzo oficjalnie. – Tyle mi powiedziano.

– Tutaj ściągamy „nawróconych” z Zachodu. Wielu sądzi, że to pozwoli odkryć powiązania z Amerykanami albo podjąć jakąś grę. Ale to drobnica. Porywać waszego człowieka? I czemu tutaj? Czemu nie pytacie swoich w NRD?

– Pytaliśmy – odparł zwięźle Patrick.

– Więc spanikowaliście... – stwierdził kontakt z wyraźną satysfakcją w głosie i westchnął. – Co się tu wyprawia? – Wreszcie wyszedł z ukrycia i spojrzał na Amerykanina. – Istnieje możliwość, że wasz człowiek trafił tutaj, ale nie mam jeszcze potwierdzenia. To byłoby za mocne posunięcie. Chyba że chcieliby zemścić się za coś lub – przeszedł go dreszcz – to przygotowana prowokacja. – Zamyślony zrobił kilka kroków, rozgarniając topniejący śnieg. – Nie możemy się spotykać, dopóki tego nie sprawdzę – powiedział surowym tonem. – Jeżeli jest tak, jak myślę, szykuje się coś dużego i każdy, powtarzam każdy, może być zagrożony. – Uniósł kapelusze. – Bywaj. Odezwę się pierwszy. – Odwrócił się i ruszył szybko w stronę auta.

* * *

Sen był wyraźny niczym wspomnienie. Było tam zimno nocy, w powietrzu unosił się smród spalenizny, a ku niebu sięgały kikuty domów i hałdy gruzów. Przez te zasy wytyczono ścieżki, którymi w ciągu dnia przechodzili ludzie, nowi i starzy mieszkańcy miasta Danzig, teraz znów zwanego Gdańsk. W ruinach słychać było wojskowe harmonie, krzyki gwałconych kobiet i niespodziewane strzały. Człowiek w cywilnym płaszczu, nałożonym na brązowy mundur, przechadzał się w tej upiornej scenografii. Marszerował w mroku nierozświetlonym żadną latarnią, gdyż tak daleko od śródmieścia źródłem światła były tylko pojedyncze lampy naftowe i świeczki w oknach. Poza budynkami zajętymi przez władzę albo sowieckie wojsko w oknach było ciemno. Mężczyzna przeskakiwał zwinnie kopy cegieł i powalone betonowe słupy. Wyląwiał z ciemności każdy ruch, kształt i przeszkodę. Był pewien siebie jak znający swoje terytorium kot. Nie bał się, był tu panem i władcą. W kaburze na pasie nosił służbowy pistolet. W kieszeni płaszcza zaś drugą broń, ponemieckiego lugera, zwanego wśród swoich „parabelką”. Tę broń lubił, choć napawała go też wstrętem. Z nią polował na wrogów. Łowy uspokajały go, chociaż nie wiedział, do czego doprowadzą i jak długo będzie leczył rozpacz za bliskimi, których już nie było. Mężczyzna był świadom tego, że powoli wpada w błęd.

W mroku między wypalonymi kamienicami pojawiła się postać. Szła szybko, przeskakując między filarami budynku i przystając przy przejściach ulic. Mężczyzna obrał ją za cel. Przyśpieszył. Postać usłyszała kroki i zaczęła uciekać.

– Stój! – wrzasnęła mściwie i echo potwierdziło rozkaz w pustych mieszkaniach. – *Ha!* – powtórzył.

Postać miotła się, nie potrafiąc wybrać kryjówek. Mężczyzna podszedł i stanął w rozkroku. Przyglądał się. Miał przed sobą kobietę. Miała na sobie dziurawy płaszcz i za dużą czapkę na głowie. Chroniła się przed zimnem, ale przede wszystkim próbowała upodobnić się do mężczyzny. Dygotała. Znad szala patrzyły wielkie ze strachu oczy. Nieznajomy poczuł dreszcz wywołany nadchodzącym triumfem.

– *Sprichst du Deutsch?* – zapytał ostro, jak na przedstawiciela władzy przystało. Kobieta (a raczej dziewczyna) wyprężyła się.

– *Ja...* – odpowiedziała krótko, nieco spokojniejsza. Chyba myślała, że ma do czynienia ze starym mieszkańcem.

– *Sehr gut...* – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Szybkim ruchem wyciągnął pistolet z kabury i strzelił kobiecie w pierś.

Huk wystrzału prawie rozsadził głowę Jana Osawskiego. Przynajmniej tak to odebrał, wyrwijąc się ze snu z głośniejszym westchnieniem. Nie wiedział, gdzie jest. Było mu duszno i gorąco. Wstał z posłania, dołknął się do okna i odsunął grubą kotarę. Stara rama nie chciała się otworzyć, toteż kapitan prawie wyrwał ją z zawiasów. Powietrze było chłodne i przywracało zmysły. Słońce zaczęło go razić. Nie wiedział, która jest godzina, jak długo spał po podróży. Za wiele brał na siebie pracy ostatnimi dniami. Mimo satysfakcji ciężar zadania i odpowiedzialności powodował dawno zapomniany stres. Budził stare demony. Wszystko przez to, że nie chciał skompromitować się przed nadzorcami. Musiał się wyróżnić w pierwszej samodzielnie opracowanej akcji, którą szefowie tylko utrudnili. Oficer rozejrzał się po podwórzu starej fabryczki. Wartownicy siedzieli gdzieś ukryci, szutrową drogą nikt nie jechał. Panował spokój przedwiosennego wieczoru na wsi. Najważniejsze, że nikt nie widział jego nerwowego zachowania. Osawski odszukał dzbanek z wodą i wypił prosto z naczynia. Przetarł usta. Na stoliku zabręczał cicho polowy telefon. Osawski podszedł do aparatu i uniósł słuchawkę. Odruchowo stanął na baczność.

– Tak jest! Rozumiem! Dziękuję – odpowiadał krótko i przepisowo. Informacje otrzymywał zaszyfrowane, linia była specjalna, ale zasady bezpieczeństwa obowiązywały niezmiennie. Osawski podniósł głowę, spojrzął na sufit i przez chwilę układał sobie następny ruch. Musiał poinformować resztę ludzi.

Samuel Puławski krążył po pokoju, który w porównaniu z jego lokum u kuzyna przypominał więzienną celę, kwaterę w imce¹⁶ albo pierwszą stancję w zrujnowanym Monachium. Krzywa podłoga, stary stół z krzesłem, przyca a do tego zaciągnięte farbą okna, przez które wpadało tylko tyle światła, by zorientować się, że to dzień. Poza tym cuchnęło stęchlizną i mysimi odchodami. Rozległo się pukanie. Do kanciapy wszedł Rafał. Bardzo wesoly i pewny siebie.

– Cześć. Myślałem, że śpisz. Jadłeś coś? Nuda taka, nie?

– Gdzieś ty był? – zapytał zirytowany Puławski. – Gnij tu jak palant. Miała być akcja, a Gienek zamknął mnie w tym kurniku i wszyscy przepadliście. Co ty kombinujesz? To jakiś przekręt, tak? Jakies interesy robisz, a mnie oczy mydlisz. Wszyscy mydlicie.

Letelman nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

– Ale tyś groźny. Mówiłem ci: zjedz śniadanie, odpoczywaj. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. – Potem dodał poważnym tonem: – Będzie, jak mówiłem. Ciekawych rzeczy się dowiesz. Wybacz tę twoją izolację, ale... cóż, jesteśmy mocno zajęci.

Wydawał się zmęczony i mocno czymś zaferowany. Zmienił się. Sami cofnął się i opuścił ręce. Pierwszy raz, odkąd trafił pod opiekę kuzyna, dopadły go wątpliwości. Poczucie bezpieczeństwa ustąpiło miejsca strachowi, a przynajmniej niepewności.

– Ja... ja chcę do domu!

– Słucham? – zapytał Letelman. – A gdzie ty masz dom? U nas, co najwyżej u mnie... – Rafał przerwał, uznając, że brzmi zbyt agresywnie.

– A kiedy ty się z nami widziałeś? Z moim tatą, mamą. Kiedy ostatnio nas odwiedzałeś?!

– Kiedy byłem, to byłem. Nie czas na takie pytania. Siedz tu i czekaj. Niedługo się wszystko wyjaśni. – Złapał za klamkę i chciał już zamknąć drzwi, kiedy na zewnątrz zrobiło się głośno od zbliżających się aut.

– Jadą – szepnął Letelman. Zamknął drzwi na klucz i zbiegł po schodach.

Przez drewnianą bramę o wysokich skrzydłach, zwieńczonych drutem kolczastym, wtoczyły się cztery auta. Dwa ciężarowe studebakery pozbawione były wojskowych oznaczeń. Amerykańskie maszyny wydawały się mocno zmęczone trudną służbą jeszcze na frontowych szlakach. Dwa pozostałe pojazdy nie miały związku z wojskiem. Furgonetka marki Dodge, dawna karetka, została pomalowana na spłowiwały już szary kolor. Mogłaby wozić chleb albo ekipę hydrauliczków. Tylko niemiecki mercedes psuł ten cały kamuflaż. Mimo kurzu i błota granatowy lakier ciągle połyskiwał w popołudniowym słońcu. Nieliczna grupa mieszkańców starego folwarku wyszła na podwórze. Samochody zaparkowały pod ścianami zgodnie ze sztuką kamuflażu. Z mercedesa wysiadł pułkownik Zardow. Odłąd opuścił polską stolicę, przestał popisywać się ubiorem. Wyglądał jak pospolity robotnik i to o nie najwyższych poborach. Wypchane spodnie na szelkach, wygnieciona kurtka i czapka noszona na bakier sprawiały wrażenie autentycznej odzieży. Rosjanin pomógł wyjść z auta kobiecie, urodziwej blondynce, która natychmiast zwróciła uwagę Osawskiego. Kapitan podszedł szybkim krokiem do wozu i stanął na baczność.

– Towarzyszu pułkowniku – zaczął Osawski – pozwólcie zameldować. Wszystko przygotowane, teren zabezpieczony.

– Widzę, widzę... – Zardow rozejrzał się i machnął ręką. – Widzisz, co ci przywiozłem? – dodał i wskazał na Erikę.

– Witaj... – Jan przygryzł wargę, żeby zbyt mocno nie okazać radości. Zdradziły go błyszczące oczy.

– Czołem, towarzyszu kapitanie... – odparła wesoło Erika, ale zaraz potem rzuciła się Janowi na szyję. Oficer uściśnął ją mocno, ale krótko, wiedząc, że wokół patrzą dziesiątki oczu.

– No, gołąbeczki... Ile to lat? – zapytał Zardow.

– Dwa lata – powiedział Osawski.

– Kurs, potem ponad rok na Bliskim Wschodzie – uzupełniła kobieta. – Potem Berlin. Chyba już tam nie wrócę – dokończyła smutno.

– Nie martw się. Coś się wymyśli – pocieszył ją Jan, ale wiedział, że w takiej sytuacji już nic nie można zrobić. Jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Zardowa. Musiał myśleć podobnie. W tej branży nie było miejsca na sentymenty. Jeżeli coś się kończyło, to na dobre.

– Otrzymacie nowe, nie mniej odpowiedzialne zadanie. – Sowiet ludził podwładną wizją dalszej współpracy. – Teraz musimy skończyć to. – Wskazał kilku półprzytomnych ludzi z zasłoniętymi oczyma i kneblami w ustach.

– Robimy okazanie? – zapytał entuzjastycznie Jan, który też chciał zaimponować swojej agentce.

– Są zbyt otumanieni – zauważyła Erika.

– Tak, muszą dojść do siebie – zgodził się pułkownik. – Lepiej dajcie się napić czegoś ciepłego. – Potarł dłonie. – Zimno, cholera...

Pokój do narad był równie brzydki i ubogo wyposażony jak reszta obiektu. Było tu tylko więcej światła i nieco cieplej. Można było usiąść wygodnie, jako że przywieziono kilka foteli. Stiepan Zardow otaksował lokal, nie zdradzając żadnych emocji. Po prostu zdjął czapkę, cisnął ją na stół i usiadł na jednym z siedzisk.

– Herbata! – zarządził.

Osawski skinął głową i podreptał do niewielkiej kuchni, żeby postawić czajnik na kuchennej płycie.

– Dobrze to zorganizowaliście... – Sowiet wyciągnął papierosy i zaproponował Erice. – Ludzie w porządku? – Wskazał zapalniczką zasłonięte okno.

– Najlepsi, towarzyszu pułkowniku! – zaświadczył pewny siebie Osawski. – Doskonali aktorzy.

– Świetnie. – Płomień przypalił papierosa i Zardow przysunął ogień kobiecie. – Tyle tylko że to dobre do prowokacji na lokalnym odcinku. W naszej zabawie już mniej potrzebne. Trafiają na inny teren. Oczywiście jeżeli się spiszą.

– Będą się stawiać, ale potem kto wie... – odparł niezrażony Jan.

– Przygotowaliście się. Rodzina albo ich zmiennicy. – Zardow zaciągał się, a potem patrzył w obłok dymu. – Twój kolega, moja droga – zerknął na Erikę – to świetny fachowiec. Daleko zajdzie. Sam fakt, że zaproponował cię do misji, o tym świadczy. Szkoda, że miejscowi durnie posłali go na prowincję. Chyba się wystraszyli konkurencji.

Imbryk zagwizdał i Osawski poszedł zaparzyć herbatę.

– Właściwie po co to wszystko? – Pierwszy raz od ucieczki kobieta zdobyła się na zadanie tego pytania. Stiepan wyciągnął wygodnie nogi, uśmiechając się tajemniczo.

– Pojmaliście groźnych dywersantów, którzy chcieli zagrozić operacjom krajów demokratycznych – wyrecytował propagandowy banał. – Miałas rozkaz pojmać tych Polaków, gdyby znowu cię nachodzili. A że i ciebie należało ewakuować, bo się ktoś obok ciebie kręcił, upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu.

– A ten Richard to dziwny typ – wtrąciła Erika. – On robi dla Gehlena¹⁷.

– Albo dla Amerykanów, moja droga. Słyszałem już, że zrobiło się niezłe zamieszanie. Bijatyki, pościgi, a nawet strzały. Dlatego musiałaś wracać do nas. Szkoda. – Pochylił się w fotelu. – Amerykanie rozdają karty w zachodnim Berlinie. Próbowali cię podejść i stąd ta cała obstawa. Nie ma przypadków, kochana. Ci wasi Polacy albo od dawna byli na pasku CIA, albo szybko ich przekrecono. Myśleli, że pójdziesz z tobą łatwo, ale się pomylili. A może spisali na straty tę czwórkę. Trochę to komplikuje sprawę. Wiecie, że nie wolno robić krzywdy oficerom drugiej strony. Choć to są pewnie tylko podwykonawcy.

– Po co to wszystko? – Erika chciała konkretnych odpowiedzi. Pułkownik prześlizgnął się wzrokiem po jej ciele i westchnął.

– Odpocznijcie – polecił, jakby nie usłyszał pytania. – Dziś tu, potem was zabierzemy w przyjemniejsze miejsce. Zasłużyliście. – Dopalił papierosa, rzucił niedopałek na podłogę i wstał. – Teraz to już moje zadanie. Rozkazy wypełniliście. Będę was pewnie potrzebował, ale to będą drobnostki. No, kapitanie, jak z herbatą? Wypijemy, a potem pokażesz mi, towarzyszu kapitanie, gdzie się można przespać – poprosił Osawskiego, poprawiając pasek spodni. Jan chciał coś odpowiedzieć, ale zauważył, że Zardow nawet już na niego nie patrzy. Erika kiwnęła nieznacznie głową. Wiedziała, podobnie jak oficer UB, że dyskusje czy kłótnie z pułkownikiem MGB to zły pomysł. Obydwoje uświadomili sobie, że przestali być potrzebni. Nie wiedzieli, jak zacząć rozmowę o należnej im nagrodzie. Z wolna ogarniali ich niepokój.

Rozległy gabinet podpułkownika Światły był szczelnie wypełniony papierosowym dymem. Gospodarz siedział za biurkiem, paląc, ale częściej chodził po pokoju. Co rusz zerkał na jeden z telefonów na blacie. Drażnił go szmer rozmów jego kilku pomocników, którzy ślęczeli nad mapami i dyskutowali o przydzielonym zadaniu. Światło chciał ich uciszyć, żeby pozbierać myśli, ale nie mógł. Wezwał tu swoich oficerów, dużo ryzykując. Temat był wyjątkowo delikatny. Sam jednak nie potrafiłby zająć się wszystkim. Strzępy informacji, jakie zebrał podpułkownik UB, niepokoiły. Przystanął, rozpiął kołnierzyk koszuli i poluźnił krawat. Patrzył na czwórkę oficerów. „Zrozumiem ją – pocieszał samego siebie. – A jeżeli nawet nie, to...”. Znowu się odwrócił i spojrzął na najważniejszy, czerwony aparat. W tej chwili odezwał się inny dzwonek. Rozmowy ucichły. Oficerowie resortu wpatrzyli się w szefa, ale on pomachał dłonią na znak, by się nie przejmowali. Czerwony jeszcze nie dzwonił. Szef podniósł czarną słuchawkę.

– Światło... – Słuchał, sprawnie zapalając kolejnego papierosa. – Wspaniale, bardzo wam dziękuję – odpowiedział, ściskając bibułkę kącikiem ust. Próbował udawać wesołość, ale bezskutecznie. Odłożył

słuchawkę. – Towarzysze! Wszystko się zgadza. – Nerwowo zgasił w popielniczce świeżego papierosa, przyglądając się tym kilku wybrańcom. Byli młodszy o dziesięć, piętnaście lat, ale dobrze znali zwyczaje oraz podstępny bezpieczeństwa i bratniego resortu. Światło musiał wierzyć, że podwładni są mu bezgranicznie oddani i ufają każdemu słowu. Mówił szybko, ale konkretnie. Rozdysponował polecenia. Pocił się obficie, jednak zachował pozory zdecydowania.

– Teraz do pracy – powiedział po krótkiej pauzie i poprawił marynarkę. – Muszę skonsultować się z górą. Samą górą... – Zabrzmiało to wystarczająco groźnie, by podwładni natychmiast zabrali papiery i opuścili pokój. Podpułkownik wrócił do biurka. Usiadł w fotelu. Z nabożeństwem złapał za słuchawkę czerwonego telefonu. Chwilę zastanawiał się, z kim najpierw chce mówić. Opamiętał się. Przecież kolejność mogła być tylko jedna. Postukał w widelki aparatu. Zgłosił się sowiecki telefonista.

– Podpułkownik Józef Światło. Łączcie z Moskwą. Z towarzyszem Berią.

ROZDZIAŁ 7

Zielinsky przebudził się gwałtownie, dusząc się i rozpaczliwie próbując wciągnąć do płuc powietrze. Nie widział nic. Spróbował podnieść się z posłania. Usta miał czymś zatłkane, a jego krzyk brzmiał jak żałosne jęczenie. Ktoś przycisnął go do ziemi. Głowa bolała wystarczająco, aby nie mógł myśleć. Z wolna wracały zdarzenia z ostatnich dni, których nie potrafił jednak dokładnie uporządkować. Czyżbyś dłonie zdjęły knebel i opaskę. Wzrok musiał się przyzwyczaić do nowych warunków. Panował półmrok, jak na poprzednich postojach. „Greenman” zaczął dostrzegać leżących obok ludzi. Poznał ich w Berlinie. Odnalazł, uratował, a potem pchnął na akcję. Wszystko miało być proste. Nie było. Charlie poczuł strach i wstyd.

– Chłopaki – powiedział szeptem po polsku.

– No proszę... – Więzień nie zauważył, że obok stoi strażnik, młody facet w cywilnym ubraniu, za to z bronią maszynową na ramieniu. Uśmiechał się zadowolony. – Nie gadać! – polecił znacznie ostrzej i trącił „Greenmana” czubkiem buta. – Dobrze się wyspalicie? Będą was przesłuchiwać. – Obrócił się i wyszedł przez ciężkie drzwi, które zamknął na sztabę. Pozostała czwórka też była już przytomna, tylko nie odzywała się przezornie.

– Chłopaki... – „Greenman” jęknął, pełznąc do człowieka leżącego najbliżej.

– Ale żeś nas wpakował, skurwielu... – Karol rozpoznał jadowity głos Nowolipczyńskiego. „Hrabia” leżał na boku, odwrócony i zwinięty w kłębek. – Do dupy z taką organizacją – cedził roztrzęsionym głosem.

– A może to specjalnie? Może ty jesteś ich? – Teraz Kazimierz dał upust złości. – Skąd właściwie wiemy, że on jest amerykański?

– Cicho bądźcie! – syknął „Greenman” i zaczął rozglądać się po sali. – Mogą podsłuchiwać.

– W dupie to mam, zdrajco! – „Talun” też nie pozostawał dłużny. – Czekali na nas. Byli przygotowani!

– Powariowaliście. Myślałem, że jest czysto, że... – Karol właściwie nie wiedział, jak ma się bronić. On także nie tego się spodziewał. Miliony myśli przelatywały mu przez umysł. Usiłował przypomnieć sobie sekwencje zdarzeń, rozmowy i spotkania. Nawet szukać zdrajców. Mógłby oskarżyć Kermita, ale od tych hipotez tylko rozboleła go bardziej głowa. Miał sucho w ustach. Osunął się na cuchnący siennik.

– To nie tak... – wysapał cicho.

– Człowiek służył, mieszkał u szwabów od wojny i dawał radę. – „Hrabia” nie odpuszczał. – Ale przez dwóch pajaców... Najpierw Sami, teraz ty. Musiałeś się do nas przyczepić?

– I gdzie my, do cholery, jesteśmy? – Krzysztof Motyczka wydawał się najbardziej przejęty i przerażony.

– Gdybym was nie znalazł, dopadliby was wcześniej. Pod pensjonatem, bo dalsie się podejść.

– A teraz co się stało? Udało się? Zwycięstwo! – „Hrabia” wierzył w bezsilnej złości, usiłując przewrócić się na drugi bok w taki sposób, że gdyby nie okoliczności, „Greenman” uznałby te ruchy za komiczne. Sztaba w drzwiach zazgrzytała i do pokoju znowu weszli dwaj ludzie: strażnik i wysoki mężczyzna o okrągłej twarzy. Od razu było widać, że to on tu dowodzi. Stał w rozkroku, zakładając ręce za siebie. Milczał, patrząc długo na każdego z więźniów. Potem uśmiechnął się wyniosło.

– Powitać panów... – przemówił po angielsku, bez śladu akcentu. – Jestem pułkownik... X – przedstawił się niewyszukanym pseudonimem. – Będę waszym gospodarzem. Pomieszkamy sobie, porozmawiamy. Trochę tu, trochę w innych miejscach. Żeby było jasne: jeżeli od razu porzucicie złudne na-

dzieję, będzie wam u mnie dobrze. A przynajmniej nie będzie źle. Tak, wiem, że honor nakazuje stawiać opór, przynajmniej na początku, ale – zrobił krok – panowie, wy stąd nie ucieknicie.

– Gdzie... Gdzie jesteście?! – Motyczka poderwał się, usiłując wstać. Strażnik chciał go powstrzymać, ale Zardow dał znak, by sobie darował.

– Jesteście daleko od domu. – Pułkownikowi nie drgnął żaden mięsień. Krzysztof popatrzył wielkimi teraz, smutnymi oczyma i opadł na posłanie. Sowiet już wiedział, że znalazł słabe ogniwo w grupie. – Wiem, że jesteście zespołem Polaków pracujących dla, powiedzmy, US Army. – Zaczął się przechadzać, szurając głośno i jeszcze bardziej irytując jeńców. – Wiem o was sporo. Naprawdę. Nie wiem tylko, kim jest wasz piąty kolega. – Obrócił się gwałtownie, wskazując na „Greenmana”. Nawet „Hrabia” odsunął się niemal odruchowo, jakby Zielinsky był trędowaty.

– Nie znamy go. On jest z Berlina od... – zaczęła żalonym głosem Motyczka.

– Zamknij się! – wrzasnęła „Talun” i niezgrabnie poczęstował chłopaka kopniakiem.

– Panowie! – Zardow klasnął w dłonie. Grał obojętnego, ale widać było, że to zamieszanie jest mu na rękę. – Do wszystkiego dojdziemy. Nie musicie się mnie obawiać. Nie jestem potworem. Chcę wam złożyć propozycję. – Zmienił podejście, co, tak jak przewidział, przykuło ich uwagę. – Mógłbym powiedzieć, że jesteście po tej samej stronie. Możecie pomóc mi, ja wam, a kto wie, może i wasi mocodawcy będą wdzięczni.

– Czemu nie poszedłeś do nich? – „Greenman” nie potrafił się powstrzymać. Pożałował zaraz tych słów, bo zrozumiał, że udowodnił właśnie istnienie jakichś przełożonych.

– Dobre pytanie! – Zardow ukrył swój mały triumf za maską niepewności. – To delikatna sprawa, a roztrząsanie jej, kiedy nie ma zaufania pomiędzy naszymi stronami, zwiększa prawdopodobieństwo przecieku. A wtedy wszystko trafiłby szlag. – Znow się uśmiechnęła, jeszcze przymilniej. – Wierzcie mi, panowie, jesteście świadkami historycznej chwili. Na Kremlu nie ma Stalina, ale są jego współnicy. Trzeba to zmienić. Trzeba zmienić świat, a wy... nadajecie się do tego idealnie. – Zabrzmiało to pompacyjnie, ale Zardow wiedział, że da do myślenia więźniom i namiesza im w głowach. Nie pomylił się. Ludzie milczeli, trawiając jego słowa, myśląc i zapewne niewiele rozumiejąc. Nawet płaczący chuderlak w kącie przestał się ciskać.

– Zaraz was nakarmimy. Dostaniecie kawę, papierosy. Potem... potem pogadamy, ale nie w tym gronie. Wiecie, że jest tu ktoś, kogo znacie. – Wśród pojmanych zapanowało poruszenie, ale Zardow przystawił palec do ust. – Panowie, wiem. I rozumiem. Uważacie, że podstępem ściągnęłam tu pana Puławskiego? Nic podobnego. Sam chciał. Znał cel misji, którą zaplanowano dość dawno temu. Jest cały, zdrow i popiera nas. Mam nadzieję, że was przekona – zakończył Zardow, patrząc na wyraźnie zaintrygowanych więźniów.

– Chłopaki! – Samuel Puławski chwycił się za głowę, widząc starych kumpli. Stał tak w wejściu dłużej chwilę, zdziwiony i otumaniony. Reszta też nie potrafiła sobie poradzić z emocjami wywołanymi tym spotkaniem. Motyczka poderwał się z miejsca, ale zastygł jak rażony piorunem. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Inni też nie wiedzieli. Najmocniej zdezorientowany był Nowolipczyński. Ruszał ustami, nie wydając żadnego odgłosu, i kręcił głową, jakby był niespełna rozum. Nie spodziewał się jeszcze kiedykolwiek ujrzeć Puławskiego. Na pewno nie wolnego i w znośnej kondycji. Chłopak wyglądał jak dobrze prosperujący przedsiębiorca. Miał na sobie garnitur i białą koszulę. Nie przypominał więźnia. Charlie Zielinsky poderwał się i doskoczył do Samiego. Puławski wyrwał się z uścisku nieznanego, co podziało trzeźwiąco na „Greenmana”.

– Co wy tu robicie? Byliście w Monachium. Jak was ściągnęli? Wy też należycie do organizacji? Erika wam opowiedziała? – Samuel wyrzucał z siebie kolejne pytania. – Ja, ja dowiedziałem się dopiero na miejscu... – Liczył, że ktoś z nich się odezwie.

– Ty cholerny szpiclu, zdradziłeś! – „Talun” dźwignął się pochyłony, z zaciśniętymi mocno pięściami. Wypowiedział na głos to, co wszyscy pomyśleli. Siłacz nie bawił się w dalsze rozmowy, tylko wyrwał w przód, gotów chyba zabić. Zielinsky wskoczył między obu mężczyzn w ostatniej chwili. Pochwylił biorące zamach ramię i pociągnął w dół, choć nie było to łatwe, wzięwszy pod uwagę siłę przeciwnika. Wcisnął jeden palec w przegub łokciowy Michała, a drugi w nadgarstek olbrzyma. „Talun” jakby nie poczuł bólu. „Greenman” wystawił nogę i z całej siły kopnął w tył jego kolana. Wielkolud się zachwiał i wreszcie poleciał na podłogę. Gapił się rozwartymi szeroko oczami, zdziwiony, że ktoś dał mu radę, a on dał się podejść.

– Spokój, do jasnej cholery... – Charlie wyszczał z wysiłkiem, zaciskając dłoń na gardle „Taluna”. – Rozumiesz? Nie wiemy, co oni kombinują – dodał. Postukał palcem w ucho, dając do zrozumienia, że ktoś na pewno ich słucha.

– Siadaj! – rozkazał Puławskiemu Karol, pokazując kawałek podłogi przy ich posłaniach. Sami, zdumiony sprawnością nieznanego, wykonał polecenie. – Ty, będziesz grzeczny? – „Greenman” zapytał, unosząc pięść nad twarzą kolosa. „Talun” skinął potulnie. Wszyscy rozsiedli się w kółku i tylko Zielinsky zerkał co rusz na drzwi i sufit.

– Ty jesteś ten cały Samuel. – Raczej stwierdził, niż spytał.

– Tak. A ty właściwie kto?

– Przyjaciel – odpowiedział szorstko „Greenman”. „Hrabia” prychnął, ale widząc wściekłe spojrzenie Amerykanina, spuścił wzrok. – Mów mi Richard. Skąd tu się wziąłeś? Pracujesz dla Sowietów? Gdzie, do cholery, jesteście?

– Jesteśmy pod Warszawą... – odparł zdziwiony Puławski. – Nie powiedzieli wam? – „Greenman” widział w nim bezwolnego, zmanipulowanego chłopaka, a nie prowokatora.

– Warszawa... – powtórzył z rozmarzeniem „Hrabia”.

– Ochłońcie, do cholery! – Zielinsky uciął te zachwyty, intensywnie myśląc. Trudno było w nim dostrzec zmęczenie i efekty działania narkotyków. Westchnął z ulgą, słysząc, że nie jest jeszcze w Sowietach, ale ludowa Polska to też nie było przyjazne miejsce. Przynurzył się bliżej i kazał reszcie nachylić głowy.

– Co ci powiedzieli? – zapytał Puławskiego. – Po co my im?

– Znalazłem rodzinę... – zaczął Sami od rzeczy (jego zdaniem) najważniejszej. – Kuzyna Rafała. Przeżył, przeżył jak ja. Rozumiecie? – szeptał wzruszony. – Tu naprawdę jest ciężko. Bo bieda i samotnie, ale Rafał... ma taką organizację. Jak Stalin fiknął, to oni zaczęli działać ostrzej. Są w niej ubecy, wojskowi. Chcą zmienić coś w kraju...

– Zmienić w kraju... – „Talun” powtórzył, jakby to było magiczne zaklęcie.

– I na co, do cholery, im byłeś potrzebny? A potem my? – Zielinsky potrząsnął Samuelem, jakby chciał go obudzić. – Jesteś idiotą, rozumiesz? Idiotą! – wyszczał wolno. Odsunął się, usiadł w kukki i zaczął pocierać czoło.

– Mogli go zabić, a żyje... – odezwał się Krzysztof.

– Do cholery z wami! – burknął „Greenman”. – Tak długo byliście na Zachodzie, że już zapomnieliście, jak oni działają? To jest podstęp. Pierdolony podstęp. Dupy z was, nie konspiracja. Mam uwierzyć, że wasz kumpel trafił tu przypadkiem, a potem reszta waszej zgrai? Do czegoś was potrzebowali. Może tylko jego, a okazało się, że mają wszystkich. A nawet więcej! – Postukał się palcem w pierś. Współwięźniowie milczeli. Coś zaczynało do nich docierać, ale cały czas rozważali romantyczne wyobrażenie spisku, w którym mogliby wziąć udział. – Nie znamy się długo, ale wiercie mi... Sowietci są zdolni do największych kłamstw. Coś o tym wiem. – Nabrał do płuc powietrza, gotowy na decydujące wyznanie. – Byłem już tu kiedyś. Nie tak dawno temu, już po wojnie. Dostałem mocno po tyłku. Widziałem, jak ich kłamstwa niszczą ludzi. Pojmujecie? Oni są gotowi zabijać, a co dopiero opowiadać niestworzone rzeczy. Wszystko, żeby osiągnąć cel.

– Więc uważasz, że to jakaś mistyfikacja? – zapytał Kazik.

– Tak uważam – potwierdził Charlie. Spostrzegł, że Puławskiemu drży broda, a oczy nachodzą łzami.

– Nie, Rafał Letelman to mój kuzyn... – Chłopak się gotował wewnątrz, trzymając się kurczowo wspomnień ze szpitala. Chciał bardzo, żeby to była prawda, chociaż teraz widział, jak wiele nie zgadzało się w tej pięknej historii. – Może się mylisz... Na pewno się mylisz! – oświadczył i wstał. – To wielka rzecz, możemy zacząć wyzwalać kraj. Zrobić powstanie... – zaczął lkać.

– Siadaj – poprosił zażenowany Bernard. Potem skinął na „Taluna”. Siłacz pociągnął chłopaka za nogę. Ten poleciał na ziemię, a wielka dłoń zakryła Puławskiemu usta.

– Nie będzie żadnych powstań, idioto! – Zielinsky postukał się w czoło. – Przysłali go, żeby nas zmiękczył. Jest głupi albo go odwrócili.

Samuel zaczął wierzgać i kręcić głową, belkocząc coś pod duszącą go ręką.

– Ucisz się albo pójdziesz spać – szepnęła mu „Talun” do ucha. Poskutkowało.

– Jak nas zmiękczy, zaczną czarować. Brać na przesłuchania. Może wywozją? – rozważał Karol.

– Ale po co? – zapytał Bernard.

– A skąd mam wiedzieć? Gdzieś nas wpakują. Pewnie w Polsce. Przemaglują, a jak będzie po wszystkim... – Przejechał kciukiem po gardle.

– No to co teraz, do kurwy nędzy?

– Właśnie... – Charlie podrapał się w głowę, rozglądając po ich celi. – Nie zwiejemy tak po prostu. – Obrócił się do kompanów. – Możemy podjąć grę, ale nie wiem, co będzie. Rozdziela nas i będzie trudniej. Można by... – Sam wystraszył się tej myśli. Jak zawsze w podobnych chwilach stanął mu przed oczami obraz Kathy i małego Josepha. Odpędził wspomnienia. Bardziej przeszkadzały, niż mobilizowały.

– Ty! Odpowiesz mi na kilka pytań. – Stuknął Puławskiego w czoło, a ten pokiwał grzecznie głową. – Ilu ich tam jest? – „Greenman” pokazał na drzwi. – Jak daleko mamy do miasta?

– Chyba nie chcesz... – Osilek zatrwożył się, zrozumiałszy, co chodzi po głowie agentowi.

– A co? Macie lepszy pomysł? Mówiłem wam. Potrafią być okrutni i przebiegli. Więc trzeba ich zaskoczyć. Wyjść poza ich plany. A tego po nas się nie spodziewają.

Jeszcze przed południem niebo ponad starą fabryką zasnuły ciemniejsze, cięższe chmury. Zaczęło wiać i w ciągu kilkunastu minut spadły pierwsze krople nieprzyjemnego deszczu ze śniegiem. Chłód stał się nieznośny i przenikliwy, zwłaszcza dla tych kilku ludzi tkwiących na zewnątrz. Teraz oni mieli pilnować obiektu. Funkcjonariusz w narzuconej na cywilne ubranie pałatce, z ukrytym pod nią pistoletem maszynowym PPS-43, usiłował uchronić się przed tym atakiem zimy w niewielkiej stróżówce, tuż za bramą. Usłyszał ostry gwizd z zewnątrz i niechętnie opuścił suchą kryjówkę. Ten wyżej miał gorzej, choć wedle hierarchii był ważniejszy. Tkwił na malej, osłoniętej dachem wieżyczce z reflektorem, niczym marynarz na bocianim gnieździe. Tego punktu obserwacyjnego nie było widać z błotnistej drogi.

– Śpisz, do cholery?! – Rosjanin krzyknął z wysoko, z właściwą sobie wrażliwością, odróżniającą nadzorcę od podwładnego. – Przyjechał jakiś chuj. Przeogń! – rozkazał prosto. Polak jeszcze upewnił się, patrząc przez szybę wartowni, że Sowiet się nie myli. W strugach coraz mocniejszego deszczu przebiegały się podrygujące samochodowe światła.

– Kurwa! – Polak splunął niezadowolony, że nie spostrzegł auta. Wiedział, że może dostać karę. Oddział był specjalny, to i dyscyplina musiała być żelazna. Wartownik nasunął kaptur na głowę i wściekle wyszedł z pakamery. Usłyszał dźwięk wciśniętych hamulców. Otworzył kwadratowy wizjer w bramie.

– Czego tu chcecie?! – wrzasnęła najsurowiej, jak umiała. – Won! Nieczynne... – Kopnęła dla efektu w stalową płytę. Człowiek po drugiej stronie był w płaszczu, już przemoczonym. Miał pochyloną głowę, a na niej w kapeluszu. – Nie słyszycie?! Nie wolno wchodzić! – Wartownika rozjuszył ten brak posłuchu

u intruza. Obcy wreszcie pokazał twarz, a wartownik zbladł. Chciał coś mówić, ale głos uwiązał mu gardle.

– Co do jasnej cholery?! – Teraz Sowiet z wieży warczał zły. Polak nie reagował. Stał struchlały, jakby nawiedził go sam diabeł. Przybysz wyciągnął prostokątną legitymację i prawie włożył w wizjer, przed oczy nieszczęsnika.

– Kto tu dowodzi? – zapytał, ale właściwie nie oczekiwał odpowiedzi. – Prowadzić do dowódcy! – rozkazał groźnie. Strażnik posłusznie kiwnął głową i zaczął otwierać zamki w akompaniamencie krzyków z wysokości.

* * *

Drzwi rozwarły się bez ostrzeżenia. Jan Osawski poderwał się z fotela, o mało nie wrywając pukla włosów Ericę Herpf, którą gładził po głowie. Upuścił przy tym filiżankę z kawą. Miał zrugać impertynenta, ale poniechał tego. Na sam widok podpułkownika Światły stanął odruchowo na baczność. Ericę udzielił się strach dawnego kochanka, ale nie rozumiała do końca, co się dzieje. Była zbyt długo poza PRL i nie знаła lokalnych stosunków. Przynajmniej nie tych w tajnych strukturach.

Światło był wzburzony. Otyły oficer dyszał. Za nim potulnie stał zmoknięty wartownik. Zaraz dobiegło jeszcze dwóch ludzi Osawskiego: Gienek i Szymon. Stali na najniższych szczeblach ubeckiej drabiny, ale wiedzieli, kogo spotkali.

– Gdzie Zardow? A może teraz to ty dowodzisz?

– My tu nie mamy nic do gadania... – Osawskiemu zrobiło się lepiej, kiedy uzmysłowił sobie, że realny władca X Departamentu wyładuje złość na kimś innym.

– Mieli nas odwieźć – dorzuciła niepytana Erika. Światło wybałuszył oczy za okularami, nie pojmując tego lekceważenia jego stopnia i funkcji.

– Ty jesteś ta Niemka? Ta Żydówka? – Przypomniał sobie kwerendę w sprawach Osawskiego. – I nawet ciebie tu ściągnęli? – Ułożył usta, jakby miał gwizdnąć. – Odwieźć was mieli? – Kąciki ust podpułkownika uniosły się. – Dobre sobie...

– Co to za burdel?! – Od korytarza doleciał głos niezadowolonego sowieckiego oficera. Wpadł do pokoju i stanął jak wryty. Początkowo się zmieszał. Zaraz jednak uśmiechnął.

– Towarzysz Światło... – Niedowierzał i niewiele rozumiał.

– Zardow! – Światło obejrzał Sowietę od stóp do głów. Przez moment chciał skomentować jego lichy ubiór, ale powstrzymał się. – Musimy porozmawiać – rzucił urzędowym tonem. Stiepan kiwnął głową.

– Wyjdźcie... – powiedział do Osawskiego i Niemki. Para zawahała się.

– Won! Słyszeliście!?! – wybuchnął Światło. Wszyscy prócz Zardowa wybiegli z pokoju, zamykając drzwi. Podpułkownik odwrócił się i momentalnie przystąpił do ataku. – Nagrabiliście sobie! Co wy tu wyrabiacie? Bo ja już chyba wiem. Szykujecie prowokację. Bez poinformowania kierownictwa resortu i partii. – Wymachiwał pulchnym palcem. Zardow zaniósł się teatralnym nerwowym śmiechem. Usiadł na jednym z foteli i założył nogę na nogę, rozsierzdzając tym jeszcze bardziej podpułkownika.

– A od kiedy my – pokazał na siebie – mamy prosić kogokolwiek z was o pozwolenie? Poza tym mówicie do starszego stopniem oficera bratniej służby. I o czym wy bredzicie? Jaka prowokacja? Przeciw komu?

– Przeciwko kierownictwu waszej służby! – odpowiedział ubek.

– A macie dowody? – spytał Zardow i przechylił głowę. – A nawet jeśli macie, to może czynić to w porozumieniu ze zwierzchnikami?

– Nie! – Światło drgnął zadowolony, że przyłapał Sowietę na kłamstwie. – Góra nic nie wie o waszej roli tutaj. Rozumiecie, co do was mówię? Góra, Zardow.

– Brednie... – Kropla potu spłynęła Sowietowi ze skroni. – A właściwie to co wy tu robicie? – Nie zostawał dłużny. Kontratakował. – Skąd takie zainteresowanie moją osobą? – Wstał i złożył ręce za sobą. Mocował się wzrokiem z pułkownikiem. – Jak i po co mnie odnaleźliście? Może to, co mam wykonać, robię z rozkazu kierownictwa partii?

Zbił Światłą z pantafelku, który ważył teraz, kto jest istotniejszy: Ławrentij Beria czy biuro polityczne. I do niego dochodziły plotki o zaostrażającej się walce między frakcjami na Kremlu. Frakcja Berii była osamotniona. Wszystkie inne postawiły sobie za cel główny umniejszyć rolę Ławrentija lub go usunąć.

– Wy chyba wiecie, gdzie pracuję? – Ubek nie odpuszczał. Miał kłopot, który musiał rozwiązać, a gierkami zamierzał martwić się później. – Mój departament ma wejścia w wielu miejscach. Nie ma dla mnie tajemnic. Znalezienie tego obiektu nie było łatwe, ale też nie niemożliwe.

– Bravo! – Sowiet udał, że składa dłonie do okłasków. – Tylko po co? Czemu tak nagle? – Przechylił głowę, a jego źrenice się rozszerzyły. – Nie pasowało wam, że wchodzę na wasze podwórko i zabraniam mówić o mojej misji. A teraz... tak, pewnie dostaliście informację o przerzucie grupy z Berlina. Możecie przecieć wszystko. Nie powinno was to interesować, ale jednak... – Dłoń Zardowa masowała brodę. Zaczął przechadzać się wokół ubeka. – Musieliście dostać ważną informację. Na przykład, że do Polski trafił ktoś ważny. Współpracownik Amerykanów, a może ich oficer. A wy stanęliście na głowie, żeby sprawdzić, czy ja mam z tym coś wspólnego.

– Jesteście szaleni. – Podpułkownik wykonał okrężny ruch palcem przy skroni.

– Sprawa wykrytych zdrajców, którzy wrócili do krajów socjalistycznych z Zachodu – kontynuował Sowiet. – A tu dziwne przypadki. Komuś udało się zbiec. Ktoś pomagał mu w ucieczce. Poinformował Amerykanów i tylko wschodniemiecka policja udaremniła plany imperialistów. My się głowimy nad tym, kto nam miesza szyki, a przecieć to wy, towarzyszu Światło, możecie tu najwięcej. Wy tropicie wypaczenia i zdrady w kolektywie. No a teraz to nagle zainteresowanie moją misją. Przeszkadzam wam? Czy spokojna praca dla Amerykanów wam się skomplikowała?

– Bredzicie, pułkowniku! – Światło wyduł usta i zmarszczył czoło. – Nie macie dowodów. To wy szukajecie dziwaczne akcje. Zabieracie placówkom ich oficerów, choćby tę Herpf. Wiem od waszych przełożonych, że traktują was jak odstępce. Chcecie zmienić kierownictwo...

– To wy nie macie dowodów. – Zardow wyszczerzył się bezczelnie, używając tego samego argumentu.

– Mogę was aresztować i odstawić waszym. Jeszcze znajdzie się ktoś, kto was załatwi... – zauważył Światło.

Stiepan Zardow słuchał uważnie, przelitykając co rusz ślinę.

– Po co te brzydkie słowa? – Złagodniał, być może grając na czas. Oddalił się kilka metrów i przyjął nieco bardziej belferską postawę. – Jesteście inteligentni. Nawet bardzo inteligentni. Gdyby nie to, nie zajmowalibyście takich ważnych stanowisk. Pomyślcie więc. Po co trzymać się starego, skoro zaraz nadejdzie nowe? Czasy się zmieniają... ludzie też. – Grał na zwłokę, chcąc wy badać nastawienie ubeka. Światło słuchał w skupieniu, powściągając wszelkie emocje. – A gdyby, tak w teorii oczywiście – ciągnął Stiepan – ktoś postanowił uprościć system. Uczynić go bardziej przyjaznym, a do tego zabezpieczyć dotychczasowe zdobycze. – Sowiet wiedział, że Światło rozumie. – Niestety wielu ciągle chce, by pozostało tak, jak jest. Mają władzę, tak jak wy, pułkowniku. Więc trzeba ich przekonać. Ale z głową. Z sensem. No to... – rozłożył dłonie i uderzył nimi o uda – jestem. Ten wasz Osawski miał ciekawy pomysł na wabienie Polaków z Zachodu i budowanie z nich pozorowanych grup szpiegowskich. Potem wiecie, jak jest. Procesy, propaganda i stwarzanie atmosfery grozy w społeczeństwie, że niby nowa wojna. No, ale to przecieć bez sensu. Jak to się mówi po waszemu? Para w gwizdek? Chyba tak. Właśnie to trzeba zmienić. Ten bezsens. Ułagodzić wszystko i nauczyć się żyć z tym... zgniłym Zachodem. – Podrapał się w policzek, szukając jeszcze jakichś argumentów. Światło wodził za nim wzrokiem, ale milczał. – Ci ludzie, których tu mam, wezmą udział w akcji specjalnej.

– Zanim powiecie za dużo – przerwał mu ubek, ciągle pewny swej władzy i autorytetu – ja wam zadam pytanie. – Światło zbliżał się wolno. – A czy wy nie pomyśleliście, że moja, nazwijmy to, strona też chce zmian. Można byłoby się dogadać, ale tu walka idzie o co innego. – Stanął przy Zardowie, świdrując Sowietą spojrzeniem spod grubych brwi. – Wiecie? Nie? O władzę, o władzę, pułkownik. – Uśmiechnął się. Sowiet odwzajemnił uśmiech, chyba sądząc, że doszło do jakiegoś porozumienia. Światło był starszy, bardziej doświadczony. Wiedział, jak uspić czujność. Niespodziewanym ruchem złapał dłoń pułkownika. Zacisnął na niej palce, przysunął do siebie i wykręcił tak, że Zardow musiał odwrócić się tyłem. Chciał krzyknąć, protestować, ale nie zdążył. Światło wyszarpał z kieszeni obuch i uderzył nim w tył głowy Rosjanina. Zapadła cisza.

– No jak, namyśleliście się? – zapytał strażnik przez uchylone drzwi. Nie odważył się wkroczyć do celi, póki nie upewnił się, że cała piątka siedzi grzecznie pod ścianą. „Hrabia” pokiwał głową. On i reszta wyglądali teraz na nieco bardziej przybitych niż przed kilkoma chwilami.

– No jak tam? – Strażnik przekroczył próg. – Miałeś ich przekonać, żeby z nami popracowali. – Wskażał wielkim kluczem na Puławskiego.

– Wszystko w porządku, szefie, dogadamy się! – zapewnił energicznie Krzysiu Motyczka, z wyraźnym knajackim zaśpiewem. – Ważne, żeby nam razem pozwolili... Pan wie, my jeden oddział. – Złapał ostentacyjnie Samiego za szyję, przyciągnął i poczochnął mu czuprynę.

– No jak tak, to klawo – odetchnął strażnik. – Bo tu z wami gadać chcą. Jacys goście przyjechali. Też chyba w waszej sprawie.

– No proszę, proszę... – Zielinsky udawał przejętego. – To niech gadają, czekamy. Ale prośba jest. Kawy dałoby się załatwić? – Podniósł dwa blaszane kubki i zbliżył się do wartownika.

– Grzeczne z was łachudry, więc coś się załatwi... – zgodził się łaskawie ubek. – No, dawać resztę garów! – Podeszedł jeszcze bliżej, wyciągając dłoń. Popenił błąd. „Talun” skoczył jak wściekły niedźwiedź i pociągnął za ramię strażnika z taką mocą, że wydawało się, że chrupnęła kość w stawie. Ubek krzyknął, ale krótko. „Greenman” wpadł na jego zgarbione plecy, objął gardło, a drugą dłonią skręcił mu kark. Czwórka pozostałych zamarła. Nie widzieli jeszcze, żeby ktoś tak sprawnie i szybko zadał śmierć. Przynajmniej nie z tak bliska.

– Niepotrzebnie – szepnęła poruszony „Talun”, patrząc na sztywniejące ciało wartownika.

– A co? Miałem się z nim łaskotać? – odparł Zielinsky, obszukując zwłoki. Znalazł pistolet Tokariewa i dodatkowy magazynek. – Żeby nie było odwrotu. Teraz nam nie odpuszczają.

Sami zdrzął, widząc, że Amerykanin czerpie jakąś przyjemność z mściwego zabójstwa.

– A mój kuzyn? – wyjęczał.

– Kurwa, a ten swoje – zrugął go Kazik. – Nie ma, idioto, żadnego kuzyna. A nawet jeśli jest, to cholerny bezpieczniak.

„Greenman” zakradł się pod drzwi i dał znak, żeby reszta była wreszcie cicho. Nadszedł czas wielkiej improwizacji.

Światło przyglądał włosy, poprawił ubiór i wziął kilka głębokich oddechów. Dopiero wtedy wyszedł na korytarz. Osawski i Herpf czekali w głębi, paląc niespokojnie, oparci o ściany. Na widok podpułkownika zerwali się do postawy zasadniczej i zastygli w tej pozycji.

– Kapitanie! – zawołał Światło i pokazał ubeka palcem. Osawski podbiegł, gotowy wypełnić każdy rozkaz.

– Ilu masz ludzi? – wyszeptał podpułkownik, patrząc badawczo.
– Dziesięciu.
– Dobrzy i zaufani? – Światło obserwował uważnie reakcje kapitana.
– Do takich zadań... Tak, towarzyszu pułkowniku. Z warszawskiej centrali.
– Sowietów ilu? – Światło indagował wyraźnie niecierpliwym.
– Sześciu, z pułkownikiem Zardowem siedmiu. – Osawski starał się być precyzyjny.
– Teraz posłuchaj uważnie... – Podpułkownik podszedł bliżej i przysunął się do ucha Jana. – Wybierz dwóch takich, którym ufasz najbardziej. Tam – wskazał kciukiem za siebie – leży Zardow.

Osawski zatrzęsł się i prawie odskoczył zszokowany. Szukał wytłumaczenia u Eriki, ale ta nie rozumiała nawet, czego dotyczy ta szeptana rozmowa.

– Ani słowa... – Światło chwycił Jana za ubranie i przyciągnął tak blisko siebie, że Osawski wyczuł tytoniowy oddech podpułkownika. – Wdepnąłeś w gówno, Osawski, rozumiesz? Rozumiesz swoją sytuację? Przestałeś do zdrajców i ośmieliłeś się mnie nie informować.

Jan nie miał odwagi się bronić. Ostatnie zdanie Światły zadalo mu fizyczny ból. Wszechmocny podpułkownik był tak potężny, że mógł aresztować nawet radzieckich. On zaś, byle kapitan, sądził, że stanie się przy nich nietykalny.

– Jeśli mi pomożesz, masz jeszcze szansę... – Światło odepchnął Jana i wytarł dłonie z niesmakiem, jakby się ubrudził.

– Co mam zrobić? – zapytał Osawski pokornie.

– Zabierzesz Zardowa do wozu. Po cichu. Reszta naszych i Sowietci nie muszą wiedzieć. Nie kręć się bez sensu, więc może ci się uda. Potem pójdziesz ze mną po więźniów.

– Że co? – To polecenie w ogóle nie pasowało kapitanowi UB.

– Że śmo. Żadnych pytań, do kurwy nędzy. – Światło szczęka aż zgrzytnęła. – Natychmiast – dodał, nie pozwalając na żadne dalsze wahanie. Osawski namyślał się kilka sekund, rozważając, czy ma szansę wyrwać się i szukać ratunku, na przykład u radzieckich. Nie odważył się. Był za małym pionkiem na dokonywanie samodzielnych posunięć. Nabral pewności, że Światło przejął to wszystko i ma dowody, które wypłyną, nawet gdyby miał zginąć. Przejrzał to wszystko, w co wpadł Jan Osawski. Czymkolwiek to było.

Zielinsky szedł pierwszy. Kazał ludziom być cicho i przeprowadził ich korytarzem do jakiejś zakurzonej hali pełnej nieczynnych maszyn. Przez okna wpadała mdła poświata, choć były strasznie brudne. Deszcz walił w szkło, stukał o wysoki dach. Przez dziury gdzieniegdzie sączyła się woda. Słyszeli głosy wartowników. Ubecy pokrzykiwali, patrolując plac, a może i dach. Pięciu przejętych Polaków podążających za „Greenmanem” dotrzymywało kroku oficerowi. Działali jako grupa zabójców, mścicieli, wiedzieli więc co nieco o dyskrecji. Wcześniej, na znanym sobie terenie, mieli luksus doboru miejsca, czasu i sposobu przeprowadzenia ataku. Tu było inaczej. Wcześniej chyba nigdy nie znaleźli się w potrzasku. Za Charliem podążał Bernard. Tak jak pozostali uzbroił się w łom, chociaż nie wiedział, czy w ogóle da radę go użyć. Myśl o niezliczonych wrogach wokół, uzbrojonych w broń maszynową, niemalże go obezwładniała. Zielinsky dał znak uniesioną ręką. Zatrzymali się. „Greenman” podpełził do narożnika okna, chciał rozeznaczyć się w sytuacji.

– Pieprzona twierdza... – mruknął i przygryzł boleśnie wargę.

– Trzeba by poczekać do zmroku. – Bernardowi Nowolipczyńskiemu tylko to przychodziło do głowy.

– Chyba nie mamy wyjścia. – Charlie obejrzał halę. – Kryjówek nie brakuje. Ale zaraz złączą szukać swojego kumpla i pójdzie na ostro. – Martwego wartownika ukrył w dziurze w podłodze. Nie powinni

prędko odkryć trupa, ale brak jednego człowieka w oddziale zawsze alarmuje resztę. – Jak jeszcze zobaczą, że im nawialiśmy, zaczną przeczesywać teren do skutku.

– No to co teraz? – Bernard stracił swoją hardość i przycisnął do boku łom, jakby ten był rodzinnym skarbem. Na podwórzcu zawarczał silnik auta. Gdzieś z boku, z niewidocznej części placu nadjechał wolno jakiś furgon. Zatrzymał się, by zaraz zacząć cofać do wrót po drugiej stronie budynków.

– Jadą na wycieczkę? – „Greenman” myślał na głos. Wychylił się, coraz bardziej ciekawy. – To jest to, nasz sposób. – Wiedział już, jak uciekną, i to dodało mu odwagi.

– Żartujesz... Zwariowałeś, kurwa mać! – westchnął „Hrabia”.

– Posłuchaj! – warknął zirytowany „Greenman”. – Chciałeś być komandosem, to masz okazję. Co? To nie to samo, co dać facetowi w łeb w ciemnej alejce pod barem?

– To byli bandyci!

– Tam teraz też masz bandytów. – Palec „Greenmana” wskazywał za okno. – Robi się szaro. Mamy szansę, ale niewiele czasu. – Nie zamierzał dłużej dyskutować o wątpliwościach, zaczął wydawać rozkazy: – Pójdę pierwszy, bo mam broń. Ty za mną. Ten wasz byczek z lewej. Dobierz mu kogoś. Byle nie tego Samiego. Rozkleił się, może narobić szkód.

Józef Światło przestępował nerwowo z nogi na nogę, patrząc, jak dwóch funkcjonariuszy w pelerynach taszczy zawiniętego w koc sowieckiego pułkownika. Włożyli go na tył wozu z wielką ostrożnością, bojąc się go pewnie nawet w takim stanie.

– Co teraz? – zapytał Osawski.

– Pójdiesz po więźniów. – Podpułkownik ułożył sobie wszystko w głowie i opanował nerwy. – Przyprawadzisz. Ja popilnuję... – Wskazał głową furgonetkę. Komu jak komu, ale takiej figurze jak Światło nikt nie odważyłby się stawiać. Nawet Sowietci. – No jazda! Szybko, póki się nie zorientowali!

– A Erika? – Jan nieśmiało przypomniał o dziewczynie.

– Potem dojedzie – odparł podpułkownik opanowanym głosem. – Już! Nie będę tu mókł.

Jego słowa zagłuszyły odgłos kroków. Jeden z ubeków spostrzegł kilka przemieszczających się niewyraźnych sylwetek w deszczu, ale nie zdążył zareagować. „Talun” dzielił funkcjonariusza w łeb i wydawało się, że rozłupał mu czaszkę. Ubek padł bez życia. Drugiego, jeszcze niczego nieświadomego, dopadł Zielinsky. Nie bawił się w wyszukane chwytty. Po prostu uderzył rękąjęścią pistoletu w podstawę czaszki. Osawski i Światło zostali sami. Cofnęli się, widząc wycelowaną łufę tetetki. Uciekinierzy otoczyli ich półkolem. Dygoczący z zimna Puławski rozdziawił usta, nie spuszczać Jana z oka.

– Jesteśmy ważni. Możemy się wam przydać – zaczął Światło. Dobiegła reszta zbiegów. Sprawnie, bez specjalnego polecenia, odciągnęli ciała w ciemniejsze kąty. Zebrali broń. Dwa peemy¹⁸, kilka magazynków i pistolet.

– Załatw ich... – polecił „Talunowi” Karol. Siłacza nie trzeba było dwa razy prosić. Podeszed do Osawskiego i uniósł dłoń.

– Jestem podpułkownik Józef Światło. Przyjechałem tu, żeby was uratować – tłumaczył dalej gruby. Jan Osawski spojrzał na szefa z mieszkanką zaskoczenia i wyrzutu.

– Załatw go i śpieprzamy z tego Alcatraz... – zdecydował znużony „Greenman”.

– Pan jest Amerykaninem, prawda? – Światło spytał bardzo uprzejmie jak na tę okoliczność. – Alcatraz, dobre... – Zielinsky wreszcie się zaciekał. Nieco opuścił pistolet. Strugi wody zalewały twarze obu badającym się wzajemnie spojrzeniem mężczyznom. – Z Berlina wywieziono czterech Polaków, jak się okazało, oraz funkcjonariusza amerykańskiej agencji wywiadowczej. Przynajmniej tak uważał Zardow... – Światło wyprostował się i nabrał powietrza. – Tak twierdzą w waszej ambasadzie.

– Co to znaczy? – Osawski poruszył się, nie mogąc pogodzić się z grą, której nie rozumiał. Powoli zaczął domyślać się, do czego zmierza szef. „Greenman” milczał i myślał.

– Będziesz grzeczny? – zapytał wreszcie. – Do wozu! – polecił, widząc potwierdzającego Osawskiego. Cofnął się i otworzył szerzej drzwi samochodu. Wtedy jednak Jan, zamiast wykonać polecenie, rzucił się na Światłę, zasłonił się ciałem zaskoczonego oficera i ruszył wewnątrz fabryki.

– Alarm! Bandyci! Erika! – darł się.

„Greenman” odskoczył w bok, marnując sekundę czy dwie na omińnięcie Światły. Zdążył wycelować i strzelił. Osawski padł.

– Spieprzamy! – rozkazał „Greenman”. Ludzie zaczęli pakować się do samochodu. „Hrabia” z bronią wskoczył na miejsce pasażera do szoferki. „Talun” pociągnął podpułkownika, jakby ten był pluszową zabawką. Z korytarza dobiegł piskliwy kobiecy krzyk. Mieszanka niemieckiego i rosyjskiego. Jeszcze tylko Samuel tkwił jak słup. Patrzył na wijące się w bólu ciało kapitana. Ten odwrócił się i zatrzymał wreszcie wzrok na Puławskim.

– Ty głuchy?! – Motyczka wrzasnął chłopakowi w ucho i złaapał pod pachy. Rzucił na pakę otępiełego z nieznanego powodu kumpla. „Greenman” zapuścił starter i samochód wyrwał, tryskając błotem spod opon.

– Kurwa, znowu to samo... – szepnęła, wspominając podobną rejteradę.

Fabryka ożyła naraz od krzyków sowiecko-polskiej załogi. Bezpieczniacy nie bardzo wiedzieli, co się wyprawia. Ktoś pędził biegiem do celi, ledwo unikając zderzenia z autem. „Greenman” wziął zakręt. Droga nagle się skończyła. Jej kres stanowił mur i wysoka, mocna brama.

– Co teraz, kurwa?! – krzyknął panicznie „Hrabia”. – Po nas już... – Złaapał za kłamkę, chyba gotowy wyskoczyć.

– Oslaniasz! – rozkazał Karol. – Tam, na wieży! – Wskazał cel dla Bernarda. Jego opanowanie motywowało grupę. Nowolipczyński przestał dramatyzować. Otworzył drzwi i stanął na stopniu, celując w szarą plamę na ceglany podwyższeniu.

– „Talun”! – krzyknął „Greenman” i załomotał w ścianę szoferki. – Otwórz bramę!

Z góry błysnęło światło reflektora. „Hrabia” został oślepiony, pociągnął krótko za spust. Szperacz zgąsł, sypiąc iskrami i tłuczonym szkłem. Lufa peemu powędrowała nieco w bok, tam, gdzie w poświacie krótkiego wybuchu pojawił się kontur człowieka. Jeszcze trzy kule i usłyszeli jęk.

– Góra czysta! – krzyknął Bernard. Dopiero usłyszał, jak zza pleców, od dziedzińca pukają strzały. „Talun” mordował się z zasuwą, otaczany wznecającymi iskry rykoszetami. „Greenman”, wychylony z kabiny, strzelał oszczędnie, na postrach. Coraz ciemniejszą powierzchnię fabryki zaczynały rozświetlać pomarańczowe punkciki wystrzałów. Przez sypiący śnieg cięły pociski. Zza bramy zaś, gdzieś z daleka, dolatywać zaczęły odgłosy gwizdków.

Erika dobiegła do Osawskiego. Broczył krwią z przestrzelonego obojczyka, ale był przytomny. Miał szeroko otwarte oczy i zaciśnięte usta.

– Zostaw... – Pchnął kobietę, dając upust złości. Wstał i zachwiał się. Ruszył biegiem w stronę największej palby. – Dawaj! – wrzasnął do jednego z ludzi, nie patrząc, czy to Polak czy Rosjanin. Wyrwał mu pistolet maszynowy. – Zajść ich z prawej! Reszta przydusić ich ogniem! – rozkazywał jak na froncie. Ściągnął dwóch wartowników i wskazał kierunek na parterowy budynek z portiernią. Sam szedł pierwszy. Najchętniej załatwiłby to wszystko sam.

Kule wzbijały fontanny mokrej ziemi, dziurawiły wóz. Światło zakrywał głowę, usiłując rozeznaczyć się w sytuacji. Znalazł w sobie odwagę, by wyczołgać się z auta, korzystając z faktu, że zbiegowie usiłowali strzelać albo się ukryć.

– Ucieka! – krzyknął Bernard, widząc, jak ubek wydostaje się na powietrze. Skierował ku niemu broń. Wtedy dosięgła go kula i padł na śnieg. Światło zbytnio się tym nie przejął. Naogładał się śmierci. Pochylny dopadł do szoferki.

– Jankesie! – usiłował zwrócić uwagę „Greenmana”, który pomagał „Talurowi” otworzyć bramę.

– Jedziemy! Pakować się! – odparł Zielinsky, machając na grupę, a tej nie trzeba było namawiać. Musiał załadować nowy magazynek. Uciekinierzy trzymali jeszcze oprawców na dystans, ale to miało się zaraz zmienić.

– Szef! – Gnający do auta „Talurowi” spostrzegł leżącego „Hrabiego”. – Nie żyje... – dodał, zaskoczony jak dziecko.

– Jedźmy. Tu zaraz nikt nie przeżyje! – krzyknął podpułkownik i skulił się w szoferce, skupiony na skrawku szarego nieba za bramą. Ostrzał narastał, łomocząc o blachy wozu.

– Słyszałeś?! – Zielinsky wrzucił bieg i popędził silacza. Wysoki tylko złapał pistolet trzymany ciągle przez Bernarda. Wtedy gdzieś z ciemności, wyłoniło się kilka postaci. Strzelili pierwsi, trafiając „Talurowi” kilkakrotnie. Olbrzym zdołał odpowiedzieć serią strzelaną z biodra. Potem jednak osunął się i padł obok swojego martwego dowódcy. „Greenman” ruszył, zarzynając prawie silnik na zbyt niskim biegu.

– W prawo! Jedź w prawo! – poinstruował niespodziewanie podpułkownik. Furgon podskoczył na jakiejś muldzie. Bezpieczniacy rzucili się w pogoń. Osawski wybiegł na drogę, prując za oddalającym się punktem. Samuel widział go jeszcze chwilę.

– Zabij go! – krzyknął Motyczce do ucha. Wyszarpał automat i prawie na ślepo posłał długą serię. Pociski tańczyły koło postaci, póki ta nie padła. A może tak tylko Puławskiemu się wydawało. Odrzucił broń, zwinął się w kłębek i zaczął szlochać. Kazik zamknął drzwi. Nikt się nie odezwał. Przez warkot silnika było słychać dalekie serie strzałów.

– Dokąd mam jechać? – zawarczał „Greenman”, walcząc z autem rozpędzonym do maksymalnej prędkości. – Słyszysz, skurwielu?!

– Zatrzymaj się i wysadź mnie. – Światło był niesamowicie spokojny. Siedział wyprostowany i patrzył na krajobraz. – Słyszysz? Bo za chwilę będzie za późno – dodał nieco głośniejszym głosem. Zielinsky zaufał ubekowi, a właściwie własnemu przecuciu.

– Zabiją cię.

– Nie. – Światło był pewny siebie. – To w tamtym miejscu nikt nie przeżyje. Ja muszę tego dopilnować... Jesteś amerykańskim oficerem. Spokojnie, pracuję dla twoich szefów. – Światło podał mu dłoń. „Greenman” odruchowo ją uściśnął, choć nie wiedział po co. – Już wiesz, kim jestem. Podałem ci stopień i nazwisko. Moje wyznanie to akt dobrej woli. Jeżeli was złapią, powiesz wszystko i obydwaj będziemy skończeni. – Ubek poprawił kołnierz i spojrzął w boczne lustro. W zapadającym zmierzchu widać było rozbłyśki strzałów, a może łunę pożaru.

– O co tu chodzi? – Charlie odzyskał jasność umysłu na tyle, by zadać podstawowe pytanie.

– Trafiłeś w złe miejsce w złym czasie. – Światło nie przestawał patrzeć w lustro. – Może coś zrobiłeś źle. Ale wybaczą ci. Wiesz im prezent – odwrócił się do szofera. – Sowiecki oficer. Pułkownik Zardow.

– Zardow... – „Greenman” opadł na siedzenie, intensywnie szukając w pamięci tej postaci. – Słyszałem już o nim. Byłem tu w czterdziestym ósmym. – Wrócił myślami do pierwszej wizyty w kraju od czasów dzieciństwa.

– On lubił tu wpadać. Sprawdziłem. Był w lubelskim. To facet od tajnych misji. Różnych gier... Tam było coś z oddziałem podziemia, wysłannikiem Amerykanów, prawda? – postawił pytanie, ale Zielinsky

bał się odpowiedzieć. Ciągle nie czuł się pewnie przy tym dziwnym facecie w okularach. – Los sprawił ci prezent. Dorwałeś dawnego wroga. Wyrównujesz rachunki.

– Rachunki! – Usta Charliego prawie się nie poruszyły. Pamiętał teraz tamtą bitwę w lesie. Więzienie i walkę, jaką stoczył, uciekając z okrażeńia. Pamiętał, jak wywiózł do Stanów ocalałych bohaterów. A jeszcze więcej zostało tam, na placu boju. – Czego ten skurwysyn chciał od nas?

– Może sam wam odpowie. Po prostu kolejna prowokacja. Waszymi rękoma chciał zmienić układ sił. – Ubek mówił ogólnikowo i wiedział, że Amerykanin nie zrozumie. – Ty, a raczej ci, z którymi tu trafiełeś, mieli być jednymi z wielu. Taka dywersja cudzymi rękoma, żeby skompromitować kogoś ważnego. Walka buldogów pod dywanem. Tylko że brutalna i krwawa. – Potarł palce, spostrzegając, że lepią się od krwi kogoś z zabitych obok wozu nieszczęśników. Wytarł dłoń o fotel i wysiadł. – Miałeś pecha, ale teraz masz fart. Oficer, który pomagał Zardowowi, to zwyrodnialec. Uciekinier z transportu do gazu. Tam zginęła cała jego rodzina. Nienawidził Niemców. Zabijał ich, żołnierzy, cywilów, winnych i niewinnych. Ludzi pracujących dla nich uważał za śmieci. Dlatego padło na tych z Monachium. Ta dziewczyna też przeżyła wojnę.

– Jak się wytłumaczysz?

– Dam sobie radę. Powiedziałem, że idę na rozpoznanie. Powiem, że uciekłem, kiedy zaczęła się strzelanina. W resorcie myślał, że to zachodniemiecka dywersja. Ci wyżej zaś... Nieważne. Wyczyścimy to.

– Zdemaskują cię?

– Powiedziałem: wyczyścimy to. Nie martw się. Ja tu ciągle jeszcze wiele mogę. – Wyszczerył na moment zęby w uśmiechu. – Jedź lasami i, ile się da, nocą. Jadąc w dzień podziurawionym autem, nie unikniecie zainteresowania. Potem jedźcie do wsi Borkowo. To niedaleko, z dziesięć kilometrów. Jak trzeba będzie iść, trudno. Patroli na szosach może być sporo.

– A tam co?

– Tam będzie stara gospoda. Bardzo stara. W młodniku. Odbiorą was. Powinni. Ludzie z ambasady. Może im się uda na czas. I to chyba tyle... No, zjeżdżaj już. – Zamknął drzwi i odszedł jak gdyby nigdy nic, jakby zapomniał o wszystkim, co mówił. Kilka sekund później zniknął w mroku nocy.

– Co się dzieje? – Zza ścianki dobiegł głos Motyczki. – Jak kazał spierdalać, to...

– Już, już... – Zielinsky ruszył, patrząc uważnie na szutrową drogę, usiłując ułożyć sobie to wszystko jeszcze raz.

Poranek był bardzo zimny. Młode nagie drzewa otulał mokry śnieg. Było go pełno wokół. Lasek, pola, wszystko zlało się w jedną jasnoszarą breję. Świt był bardzo cichy. Nawet najslabszy podmuch wiatru nie poruszał gałęziami buków i olch. Pośrodku tego gaju stała piętrowa, na wpół zawałona i spuchnięta od wilgoci i nacisku dachu bryła drewnianej chaty. Zostało w niej tylko kilka szyb. Nawet gdyby okna się ostały, niewiele by to pomogło. Wiatr i zimno wdzierały się wielkimi szparami w spróchniałych belkach. Zielinsky podrygiwał, skacząc z nogi na nogę, i patrzył uważnie na świat na zewnątrz. Był potwornie zmęczony. Poziom adrenaliny spadł, a ciało zaczynało odmawiać posłuszeństwa. Ale jeszcze potrafił nad nim zapanować. Jak w Korei, gdzie dyscyplina oznaczała życie, a nieuwaga – śmierć. Pilnował się więc. Czasem spoglądał przez ramię na tę trójkę nieszczęśnych romantyków chcących zmieniać świat. Usiłowali spać, wciśnięci w kąty jak młode kocięta. Przygniatali przy tym skrzepowanego, ogłuszonego i rannego, ale jakimś cudem wciąż żywego Sowietę. Kilka godzin wcześniej musieli dźwigać tę kłopotliwą przesyłkę. Samochód porzucili i zamaskowali tylko trzy kilometry stąd. Nocą przekradali się przez krzaki, bojąc się pogoni i szukając drogi. Coś strzyknęło od strony ścieżki nad bajorem na północy, wyrwywając „Greenmana” z zamyślenia. Charles cofnął się odruchowo za ścianę. Chłopaki od razu poderwały się, jakby cichy dźwięk był grzmotem burzy.

- Co jest? - Puławski zbliżył się na czworakach, trzymając automat.
- Spokojnie, jeszcze nie wiem. - Charlie wciąż wypatrywał zagrożenia.
- Zwierz może?
- Cicho! - szepnął Karol.

Na tle pni dostrzegł człowieka. Był tak szary jak otoczenie, albo tylko tak się wydawało „Greenmanowi”. Zielinsky postarał się rozejrzeć dokładniej i sprawdzić, czy tamten nie ma towarzystwa.

- Ty! - Tracił Puławskiego nogą. - Sprawdź od tyłu.

Chłopak kiwnął głową z wielkimi, przerażonymi oczami. Tymczasem nieznajomy zbliżał się ostrożnie, rozglądając się i pilnując chałupy. Kiedy znalazł się na zachwaszczonym podwórzu, „Greenman” pojawił się w oknie z wycelowaną bronią.

- Stój! - rozkazał nie za głośno, po polsku.

Nieznajomy, wahał się chwilę, ale uśmiechnął.

- Pan Richard... - odezwał się po angielsku, z amerykańskim akcentem. - A właściwie Rott - poprawił się i po chwili dodał już lekko kpiarskim tonem: - Miasta się panu pomyliły?

- Ktoś ty?

- Jestem Patrick Laren - przedstawił się uprzejmie przybysz. - Pracuję w ambasadzie.

- Jesteś sam? - Charliego nie opuszczały wątpliwości.

- Niestety... - Patrick chyba naprawdę się zasmucił. - Sam wiesz, jak jest: teren trudny, lepiej działać bez tłumu, w pojedynkę, a i to jest ciężkie. - Rozłożył ręce w geście niemocy.

- Ciężkie... - powtórzył szeptem Karol. Spojrzał przez ramię na resztę. Kazik kiwał lepetyną, chyba na potwierdzenie słów amerykańskiego przybysza. Wokoło nie było żywej duszy.

- No dobra. - Zielinsky przeszedł przez niski parapet i stanął na śniegu. Nie chował jednak broni. - Co teraz?

Laren uznając, że przekonał kolegę, ruszył. Charlie podniósł broń, co spotkało się z nerwową reakcją pracownika ambasady.

- To może wypalić samo. Uważaj.

- Uważam. - „Greenman” nie poruszył bronią. - Pytam, co dalej.

- Tam mam wóz. - Dłoń Patricka pokazała w kierunku skraju lasu. - Zabieram cię do Warszawy. Mam kilka zestawów tablic. Zmienię na dyplomatyczne pod miastem i nas nie tkną.

- Co znaczy, że zabierasz mnie? Nas jest kilku. - Karol wskazał na dom.

- Mowa była o...

Charles był zbyt zmęczony i poirytowany, by prowadzić ciche dyskusje. Gwizdnął, aż echo poniosło. Jego kompani wyszli przed chatę. Wyglądali nietego. Brudni, wyraźnie zziębnięci, ale starali się sprawić wrażenie groźnych. Zwłaszcza że mieli broń.

- Do tego mamy coś jeszcze. Prezent.

- Ruski pułkownik... podobno - wtrącił Kazik po angielsku.

- Jasna cholera! - Laren złapał się za czoło i zakręcił się wokół własnej osi. - Tego... tego nie było w umowie.

- Nie obchodzą mnie twoje umowy. - „Greenman” wzruszył ramionami. - Ten twój kumpel, Światło. - Karol pstryknął palcami. - Bystry facet. Łapie okazje.

- Może wiedział, że nas nie będą chcieli - dorzucił Motyczka.

- Panowie, jak wy sobie wyobrażacie? Mam nieduży wóz na dostawy, a teraz mam wsadzić cały tłum? To nie autobus.

- Załóż blachy ambasady. - Dla „Greenmana” to było proste.

- I co? Spalę kilka miesięcy przykrywki i jeżdżenia po okolicy niby po zakupy? - krzyknął Patrick.

– W dupie mam twoje legendy! Masz nas zabrać! Zabierzesz Ruska i nas. Dostaniesz pochwałę, podwyżkę czy urlop w kraju. Tak, to by ci się przydało...

– Nie, nie wiem... – Laren zdjął czapkę i wytrzepał ją o nogę.

– Posłuchaj jeszcze raz. Porwali nas jacyś wschodni Niemcy. Wpieprzyli nas do pierdła i mało nie zabili, bawiąc się w spiski. Te chłopaki stracili dwóch kumpli. Ten twój koleś, Światło, musi być kimś ważnym, ale zaryzykował dla nas. Więc, jak widzisz, nasze życie już kosztowało słono. I co najważniejsze – założył ręce na brzuchu i przechylił głowę, szykując się na koronny argument – ta trójka wie o wszystkim. Wie o Światle. A teraz wie i o tobie. Chcesz ich zostawić bez opieki?

Patrick milczał ze złą miną i udawał, że wygląda swój kaszkiet.

– Żeby was jasna cholera... – sapnął. – Bierzcie tego Ruska i idziemy. Za długo gadamy! – Założył czapkę. „Greenman” uniósł kciuk i wreszcie zabezpieczył pistolet.

Las był ponury i tajemniczy, ale takie miejsca zawsze wyglądają podobnie w środku nocy. Nieduży konwój samochodów wjechał w gęstwinę dawno nieużywaną przesieką. Przybysze kierowali się jak najdalej od osad ludzkich, których było tu i tak niewiele. Z paki ciężarówki wyciągnięto kilkoro ludzi. Były tam kobiety i mężczyźni, brudni od odchodów i własnej zakrzepłej krwi. Nosili zwykle znamiona „śledztwa” w specjalnym pawilonie więzienia przy Rakowieckiej. Strażnicy nie przywiązywali do nich wagi, nie bawili się w subtelności. Jak zawsze, już mieli więźniów za martwych. Strażnicy w ciężkich szynelach ciągnęli ludzi, prawie po ziemi. Skazani usiłowali coś mówić, prosić. Płakali. Ale spod knebli nie słychać było wiele. Prowadzono ich w snop światła reflektorów. Pod oświetlonymi drzewami wykopano głęboki rów. Strażnicy z rutyną i wprawą ustawili pierwszą trójkę nad skrajem dołu.

Patrzący na to z oddali Józef Światło, podpułkownik X Departamentu MBP, palił papierosa. Serce biło mu szybko. Wiedział, że pierwsi idą ludzie o przezwiskach „Liczydło”, „Mordka” i kobieta z VII Departamentu, której ani imienia, ani pseudonimu operacyjnego nie potrafił sobie przypomnieć. Wszyscy tu należeli do grupy Osawskiego, jaką zmontował dla omamiania „Chevroleta”. Polaka, który chciał wrócić do ojczyzny. Pierwszy strzał przebił się przez hałas silników. Nie było to jednak najlepsze mąskowanie. Potem błysnął kolejny wystrzał i jeszcze jeden. Światło westchnął z niebywałą ulgą, gdy martwe ciała spadały do rowu. Podprowadzano kolejną trójkę. Ciężar spadł podpułkownikowi z serca. Wiedział, że ulga jest chwilowa, że niedługo znów zacznie się bać. Ale na razie było dobrze. Czyścił sprawę i świadków.

Wiosna w ogrodzie przy dawnym pałacyku Gawrońskich, a obecnie ambasadzie USA, wydawała się przepiękna, choć był to dopiero jej początek. Drzewa i krzewy pokryły się meszkiem zielonych pąków i liści dzięki promieniom coraz odważniejszego słońca. Zieleń nie zasłoniła jeszcze zupełnie widoku na okoliczne ulice. Brakowało zacisznych kątów, w których można byłoby odciąć się od problemów codzienności. Słoneczna aura poprawiała nieco nastroje. Krajobraz za oknem zdążył się znudzić i obrzydnąć. Prócz skrawka świata w wąskim otworze, wierzchołków drzew, odległych budynków czy biegnących po niebie chmur, nie było nic.

Charles Zielinsky i jego grupa oddaliby wiele, żeby wydostać się z murów ambasady i pospacerować między drzewami. Zamiast tego tkwili w piwnicy, w specjalnych, odseparowanych od reszty, pokojach. Trwało to czwarty tydzień. Zielinsky napawał się widokiem z niewielkiego okienka pod sufitem. Mógł słuchać radia, ale i to mu się znudziło. Komunistyczna propaganda lokalnej rozgłośni płątała się z niezbyt wyrafinowanymi piosenkami albo stacjami z USA. Te były lepsze, żywsze, ale teraz, w tych warun-

kach, tak odległe, że aż surrealistyczne. Zapukano do drzwi. Gospodarze szanowali prywatność. Przy najmniej jego. „Greenman” otworzył.

– Dzień dobry!

Rezydent, oficjalnie grający drugie skrzydło, był pięćdziesięcioletnim, szczupłym facetem. Nosił zachodni garnitur, dbał o siebie. Czasem tylko poruszał się pokracznie, jak łazęga, którego nikt nie podejrzewałby o pełnienie ważnej funkcji. Kazał mówić do siebie Ron i Zielinsky spełniał to polecenie, wiedząc, że nie pozna prawdziwego nazwiska dyplomaty. Tego ranka przyszedł z Patrickiem Larenem.

– Gotowe? – zapytał „Greenman”.

Ron uśmiechnął się z wyraźną ulgą i radością.

– Wreszcie się was pozbędzie.

– Kiedy? – Zielinsky chciał wiedzieć natychmiast.

– Dziś w nocy. – Ron pokazał cienki skoroszyt zawierający zapewne opis sprawy. – Idziemy ogłosić dobrą nowinę? – Wskazał dłonią na korytarz.

– Tak, jasne. – Zielinsky wyszedł, ale zatrzymał się w pół kroku. – Mam pytanie... – Skrzywił usta jak zawstydzony dzieciak, spodziewający się wyśmiania. – Czy oni mogliby... Czy chłopaki mogą zostać? Wiem, to głupie. Wymaga wiele wysiłku, ale ciągle pytają. Chcę być wobec nich fair, więc pytam.

Ron przygarbił się i potarł dłonią twarz. Potem spojrział przez ramię na Patricka, jakby chciał powiedzieć: „Z kim ja muszę pracować?”

– Wiesz dobrze, że to niemożliwe. Tłumaczyłem ci na samym początku – przemówił oschle, sugerując, że nie zamierza rozwijać tematu. „Greenman” przyjął to i grzecznie podążył za urzędnikiem.

Trójkę „gości” zaproszono do jednego pokoju. Rozsiedli się na łóżkach i fotelach. Wyglądali podobnie. Rezydent musiał kupić im jakieś ubrania, więc zrobił to hurtowo, co przy niedostatku asortymentu w handlu detalicznym, nawet w stolicy, przysporzyło kłopotów. Dostali więc koszule, buty i całą resztę w podobnym kolorze. Zielinsky, kiedy widywał ich razem, naprawdę nie mógł oprzeć się wrażeniu, że noszą jakieś więzienne uniformy.

– Wieści mam dobre – zaczął Ron bez zbędnych wstępów. Przysiadł na niewielkim stoliku i rozchylił teczkę. – Jedzicie dziś w nocy. – To zdanie wywołało nerwowe ożywienie u polskiej grupy. – Wybaczcie jeszcze raz, że to tyle trwało. Ale rozumiecie, że liczba zadeklarowanych pracowników ambasady musi się zgadzać. Nie można było wam rozdać po prostu paszportów dyplomatycznych. – Ron usiłował rozładować napięcie kurtuazyjną uprzejmością i dowcipem. Nie udało mu się. Spowaźniał więc. – Nie musicie i nie możecie znać szczegółów. Rick – wskazał kciukiem na współpracownika – zapakuje was do auta i wywiezie. Oficjalnie jedzie do innego miasta po zaopatrzenie, więc musi jechać wcześniej. Będą was śledzić, ale być może się znużą. O ile wiem, nie interesują się nami bardziej niż zwykle. Nawet jeśli, to Rick umie sobie radzić z ogonami. Za Warszawą przesiadziecie się do innego wozu. Proszę was o szybkie i sprawne działanie. Tu będą liczyć się sekundy. – Powędrował spojrzeniem na koniec kartki. – Potem granica. Będziecie mieli przewodnika. On powie wam resztę. W NRD przejmie was ktoś inny. – Zamknął skoroszyt. – Pojutrze, około południa powinniście być w Niemczech. – Jeżeli oczekiwał wybuchu entuzjazmu, to się przeliczył. – Pytania?

Karol podniósł dłoni.

– Dostaniemy broń? Na wypadek, gdyby coś szło nie tak...

– Ty tak – odparł Patrick.

– A my to co? – Kazik wstał gwałtownie z zaciśniętymi pięściami. – Dacie nas złapać albo odstrzelić?

– Spokojnie. – Ron zdawał się rzeczywiście zmęczony i znużony gośćmi, o których nie prosił. – Nie znam was. Nie podlegacie firmie. Nie wiem, jak byliście szkoleni – wyjaśnił zwięźle. – Pan... Richard – wskazał na „Greenmana” – jest z agencji. Potwierdzono to. Wy jesteście, nie obrażcie się, dodatkiem do sowieckiego pułkownika. Znacnie nasz kontakt, więc musimy was chronić. A jeżeli to wszystko... – Zaczął się zbierać do wyjścia.

– To nas zostawcie – zaproponował Puławski z kąta pokoju. Ron spojrzął na Zielinsky'ego, jakby jemu zostawiał ten problem.

– Nie, nie da rady, Sami. – Charlie starał się być taktowny. – Za wiele komplikacji.

– Bzdura! – obruszył się Samuel. – Taka potęga, a nie może nam załatwić papierów? Wykorzystać tu na miejscu? – gorączkował się. Zapadła krępująca cisza. Polacy patrzyli w podłogę, pojmując, że takie wybuchy nie świadczą o opanowaniu, jakim trzeba było się wykazać w pracy w firmie.

– To nie takie proste, Sami – odparł „Greenman” równie zażenowany.

– Pieprzę was. Chcę wyjść, wyjść na miasto! – Puławski rozepchnął kolegów, kierując się do wyjścia, i dopiero ramię Charliego go zatrzymało.

– Zrozum, idioto skończony! Zwabili cię tu. Wiedzieli wszystko. Ubek, który to wymyślił zginał, ale nikt nie wie, ilu ludzi w tym kraju poznało ciebie i was wszystkich. – Czekał na reakcję Samiego. Chłopak odpuścił. Cofnął się z drżącą szczęką.

– Rafał Letelman to oficer UB. Gienek, Szymon, cała ta organizacja... Wszystko na niby. Zabiłem go, zabiłem... A mogłem się zorientować, jak bredzili, że coca-cola truje. – Samuel wrócił na miejsce ze spuszczoną głową. – Moja вина... to wszystko...

– Nie, nie twoja! – zaczął pocieszać go Krzysiek Motyczka i siadł obok. Taka była jego rola. Dał reszcie sygnał, by wyszli. Nie trzeba było ich długo namawiać.

– To wielkie przeżycie. – „Greenman” usiłował nieśmiało tłumaczyć młodego przed Amerykanami.

– To zrozumiałe. Teraz wiesz, że nie można dawać im broni. – Spojrzął na chłopaków wracających do swoich pokoi. – Prócz tamtego reszta wydaje się w porządku. Ale taka przeprawa – stuknął w tekturkę teczki – to będzie niesamowity stres. Nie wiesz, co zrobisz.

– Rozumiem. – Zielinsky poczuł bezsilną frustrację.

– Przyjdę do ciebie za kilka chwil i zdradzę więcej szczegółów. Twój z Berlina już na ciebie czekają. Też musieli się napocić, żeby zgrać twój powrót.

– Jeszcze jedno. – Charlie zatrzymał Amerykanów. – Ten cały Światło. Mówił wam, o co chodziło w tym wszystkim? Musiał złożyć raport. Wiem – położył rękę na sercu – to niebezpieczne, póki nie wrócisz do naszych, ale... chcę wiedzieć.

Ron chwilę się zastanawiał, ale wreszcie kiwnął głową.

– W porządku. Ale mówię to tylko tobie. – Klepnął papierem w pierś Charliego. – Ten cały Zardow przyznał się, że był w Polsce. To naprawdę wybitny specjalista od nikczemnych gier. Dużo nam opowie. O tej sprawie wiemy, że to element rozgrywki tam, na samym szczycie. Sieroty po Stalinie w politbiurze boją się Berii jak ognia. Skurwiel jest mocny, więc trzeba podkopać jego pozycję. Zardow należał, jak się okazało, do frakcji, która chciała usunąć bandytę. On i kilku innych miało znaleźć sposób. Pewnie liczyli na pochwały od nowego wodza. Sowiet przywłaszczył sobie plan tego całego Osawskiego, co odgrywał kuzyna waszego naiwniaka. Zresztą ten Osawski to jakiś psychopata. Ale to teraz nieistotne. Ważne, że gryzie piach.

– A dziewczyna?

– Boże... – westchnął Patrick. – Dziewczyna była człowiekiem wywiadu UB na aliancki Berlin. Osawski poznał ją po wojnie w specjalnym obozie szkoleniowym.

– Że jak?

– A tak, koleżko. Pierdolona zimna wojna. Podwójna układanka. Ruskie chciały zrobić z Izraela swoją republikę. Dlatego gdzieś na Dolnym Śląsku szkolili ludzi do walki z Anglikami w Palestynie, śląc przy tym całe zastępy szpiegów. Ale w Tel Awiwie im się na szczęście odmieniło i Fräulein Erika, niemiecka Żydówka i komunistka, musiała wracać. To ją resort pchnął do Berlina. Osawski trafił do centrali i zaczął ją prowadzić. Chciał robić prowokacje i ściągać takich naiwniaków jak ta zbieranina. – Wskazał drzwi Samuela. – A potem stawiać pod sąd. Za szpiegostwo. Komusze wariatwo. Fräulein Herpf dostała rozkaz pracy dla Sowietów. Co nie było trudne, bo to jedna banda. Była też poza tym

zwykłym szpiegiem. Ruscy zaczęli wachać przy sprawie uciekinierów z partii, których my wystawiliśmy na odstrzał. Dlatego pojawił się Światło. Nasz człowiek. Informował nas o wszystkim. Nasz skarb. Zaczął się przyglądać. Zardow cuchnął mu od początku. A może wiedział o jego dawnych misjach albo miał przecucie.

– Ale czego od nich chcieli? – Zielinsky nadal nie rozumiał.

– Nie wiemy dokładnie... – Ron się zmieszał. – Józef Światło twierdzi, że mieli z was zrobić partyzantów oporu przeciw władzy i posłać do Berlina Wschodniego. Tam mieliście polec albo dać się złapać w jakimś kretyńskim ataku. Mieliście zacząć powstanie.

– Boże! – „Greenman” oparł się o ścianę.

– Chodziło im o tę czwórkę. Sami ponoć spruł się panience, że wywijają giwerami z kolegami – ciągnął Ron. – Kretyn. A do tego stęskniony za ojczyzną. Łatwo poszło. Pewnie nie byliście jedyni. Może tak tylko na początek. Gdyby szło z wami opornie, to by was usunęli. Po prostu podrzuciliby wasze ciała i życiorysy. Zrobiliby szum w gazetach. Proste, czerwoni za bardzo potrzebowali figurantów. Chcieli kogoś wiarygodnego, z prawdziwą historią, nie byle przebierańców. Może wypłoszyli ich sami z Monachium? Zardow i jego grupa musieli być zdesperowani. A przez zbieg okoliczności i ty wpadłeś w ich łapy jak prezent świąteczny. Wycisnęliby z ciebie, dla kogo pracujesz i co wiesz o nas. Potem byś tylko uwiarygadniał wszystko.

– Ale jakie powstanie w Berlinie Wschodnim? – Charliego zaczynała boleć głowa. – Czy to wpłynęłoby na Berię?

Ron znów się uśmiechnął, rozczulony powolnością analizy „Greenmana”.

– Bo to reakcja łańcuchowa. Beria sądzi, że będzie szefem na Kremlu. Ma pewne propozycje. Nową wizję Niemiec, wschodniej Europy. Pewnie wiesz, że zaczęło ubywać oficerów MGB we wschodnich Niemczech. To robota Berii. On z nami rozmawia. No, na razie ogólnie i przez trzecie rzędy wysłanników, ale wspomina o zjednoczeniu Niemiec i demilitaryzacji. Rozumiesz?

– Chcieli go skompromitować? Przerwać to jakimis̄ rozruchami... – Zielinsky’ego olśniło.

– Bingo, panie kolego! – Ron udał, że strzela z palców jak z pistoletu. – Może jakoś powiązać protesty z waszym oddziałem albo inną grupą, którą by stworzyli. Oni już tak działali. Była kiedyś operacja „Trust”. Historia. Dziś jednak znów kombinują. Widzisz, jakie to wszystko ważne.

– Co z Zardowem? Co z chłopakami? – Charlie chciał dopytać jeszcze tylko o te dwie sprawy.

– Zardow cię nie interesuje! – rozkazał Ron. – On nigdy nie istniał. W tamtej fabryce – zrobił minę pewnego siebie sadysty – nikt nie przeżył, rozumiesz? Światło załatwił dywersyjny oddział. Miał pozwolenie z samej Moskwy. Domyśl się, od kogo. A co do chłopaków... – Przygryzł wargę, patrząc gdzieś w przestrzeń. – Biedne skurwysyny. Bez domu, bez kraju. Wrócą do Niemiec i się nimi zajmiemy. Będą znów pilnować magazynów. Choć za to, co wyprawiali w Bawarii... Za to, że trafili nazistę, ale z niemieckiego wywiadu... Nie wiem. Przeszkadzają, a nie są nikomu potrzebni. – W końcu machnął dłonią na pożegnanie. – Bywaj, Richardzie. Odpoczywaj. Zgadamy się jeszcze. Aha, o niczym nie wiesz. Jasne? Zwłaszcza ode mnie!

Rezydent odszedł nieśpiesznie z Patrickiem. Charlie osunął się po ścianie i siadł na podłodze. Podciągnął kolana, oparł o nie łokcie i zakrył twarz dłońmi. Teraz, już po wszystkim, napięcie zaczynało odpuszczać. Wracały obrazy z Berlina, bijatyki pod księgarnią. Porwanie. Ogarnął go lęk, który zdusił dopiero, gdy przypomniał sobie twarz żony. Do niej musiał wrócić. Miał najważniejszy cel. Potem przepłatał się żal z powodu chłopaków, grupy nieszczęśliwych, wyrzuconych przez wojnę facetów, którzy mieli siebie za błędnych rycerzy. Nie mieli, tak jak „Greenman”, do kogo wracać.

– Jak powiedziałeś Ron? Nie są nikomu potrzebni...

EPILOG

Góry po obu stronach doliny były majestatyczne, groźne i piękne zarazem. Wystrzępione szerokie szczyty o czarnobrazowym odcieniu przechodziły w zieleni lasów i łąk. Miejscami te zielone plenery zapełnione były sadzonymi nieomal pionowo winnicami, rozłożonymi na skalnych tarasach. Krajobraz znaczyły stare kamienne murki i opuszczone, jak się wydawało, chaty. Potem stoki robiły się łagodniejsze i schodziły do wód Renu. Woda odbijała wieczorne słońce. Szemrała przyjemnie, chlupotała, uderzając o kamieniste łupki stanowiące tu wąską plażę. Daleko za zakrętem majestatycznej rzeki od widoku odcinało się niewielkie wiekowe miasteczko bajkowych budowli, w różnych kolorach. Okolica, niemal aż po horyzont, wydawała się innym światem. Rzeczywistość dawnych czasów została przeniesiona do teraźniejszości. Nie istniały tu problemy, troski i wszystko wydawało się prostsze. Były tu tylko góry nad doliną Renu, ciepła pogoda i lśniąca woda.

– Chyba ci się podoba. – Kathy kucała przy Charliem i objęła go, kładąc głowę na jego ramieniu. Była ubrana w szorty, białą bluzkę związaną na brzuchu, a na głowie miała kolorową chustkę. Była niższa od męża, szczupła, o krągłych biodrach i długich, ładnych nogach. Pełna młodzieńczego wigoru i uroku. Być może zbyt rzadko ją widywał i dlatego tak bardzo tęsknił za jej dużymi, lśniącymi oczami i szerokimi ustami. Tego czerwcowego dnia pachniała słoneczną aurą. Cieszyła się.

– Podoba – zgodził się Charlie i pogładził żonę po ramieniu. – Jemu też. – Skinął na Joego, udającego, że łowi ryby.

– Pomyśleć, że w tych Niemczech są takie uroczę zakątki... – Wzrok Kathy przesunął się po dolinie.

– Tak. Dziwne, nie? – potwierdził „Greenman”. – To niezwykły kraj. Piękne widoki, ale z ludźmi bywa różnie. – Powróciło do niego wspomnienie podróży przez wschód Niemiec. Spotkanie z ludźmi siatki McIntosha. Starymi nazistami, którym wyczyszczono kartoteki. Takich jak oni usiłowała likwidować grupa Bernarda, zwanego „Hrabią”. Charlie zaczynał ich rozumieć. Trudno było mu zaakceptować pomoc od ciągle butnych, pyszałkowatych Niemców, którzy już nie bali się, że zapłacą za stare grzechy. Byli przecież potrzebni i mieli nowych szefów. Po obu stronach granicy Niemcy mieli nowych protektorów. „Ciekawe, co u chłopaków?” Odplynął myślą, wpatrzony w fale Renu, zapominając, że obiecał rodzinie kilka dni odpoczynku, bez rozważań o polityce, sytuacji międzynarodowej i bez uciekania myślą w tajną sferę życia, o której nie mógł mówić. Przepędził niemiłe wspomnienia. Wrócił tu, gdzie było mu dobrze. Odwrócił głowę i pocałował Kathy. Potem położył się na kocu z rękoma pod głową. Żona przytuliła się, bawiąc się guzikiem koszuli. Karol liczył leniwie przesuwające się obłoki na niebie.

– Tu jest naprawdę fajnie – przyznał z ulgą, jakby przestał się obawiać błęgiego lenistwa. Wstał i podszedł do auta. Zajrzał do wnętrza i sięgnął dłonią do radia. Włączył i zaczął szukać muzyki.

– Daj spokój... Jest tak miło. – Kathy zaprotestowała.

– Może masz rację. – Zielinsky był tego dnia bardzo zgodny. Chciał przekreślić wyłącznik, wrócić na koc, kiedy z głośnika przez szumy przedarł się przejęty głos spikera amerykańskiej rozgłośni:

– Sytuacja w Berlinie Wschodnim zaostriżyła się. Na ulicach miasta trwają starcia protestującej ludności z sowieckimi czołgami i wschodnioniemiecką policją. Słychać strzały. Są doniesienia o ofiarach. Do podobnych scen ma dochodzić w wielu miastach NRD...

Charlie usiadł gwałtownie.

– Jasna cholera! – wystękał, słuchając kolejnych, raczej ogólnych nowin. Kathy coś do niego mówiła, ale Karol znowu był w przeszłości, w swoim tajnym starciu podczas tajnej wojny. – A jednak – wyszeptał ze strachem malującym się na twarzy. – Jednak im się udało, skurwysynom! Walki w Berlinie... – przypomniał sobie wszystko, czego dowiedział się w Warszawie i Berlinie po powrocie na placówkę

i po tym, jak ewakuowano go na zachód Niemiec. Spojrzał na Kathy. Ta zastygła, widząc zmienioną twarz męża.

– Ja... ja mogłem tam być. – Przełknął ślinę, dzieląc się trudnym do zrozumienia komunikatem w chwili absolutnej szczerości. – Gdyby nie pewni ludzie... – przerwał w pół zdania, widząc, jak twarz kobiety się zmienia. Nie chciał jej w to wikłać. Miała wierzyć, że to, co robi, jest bezpieczne i nudne. Udawała. Jak wtedy, kiedy pozwoliła mu zmienić pracę i zdecydowała się ruszyć za swoim mężczyzną w świat. Objęła go mocno i czule. Nie powiedziała słowa. To wystarczyło, żeby go uspokoić.

SŁOWO OD AUTORA

Winy jestem Państwu kilka wyjaśnień dotyczących wydarzeń historycznych, które są tłem tej sensacyjnej opowieści. Jak zawsze, pisząc, opierałem się na zdarzeniach prawdziwych, których rozwinięcie może przeistoczyć się w podobne opowieści. Jest wiele spraw, które nie zostały wyjaśnione czy ujawnione opinii publicznej, co daje autorom sensacji możliwość napisania własnej wersji historii. Prawdziwych i mocnych elementów powyższej opowieści jest wiele.

Kompanie Wartownicze były paramilitarną organizacją skupiającą Polaków (ale nie tylko), byłych przesiedleńców, więźniów obozów, jeńców oraz uciekinierów z komunistycznej Polski. Służyły tam tysiące naszych rodaków, zapewniając ochronę amerykańskim instalacjom wojskowym na terenie Niemiec Zachodnich. Armia USA mogła po wojnie odesłać więcej swoich żołnierzy do Stanów, ponieważ korzystała z usług emigrantów.

Istnieją też przekazy o grupach „mścicieli”, którzy zaraz po wojnie dokonywali zabójstw jeńców niemieckich, byłych SS-manów i oficerów Gestapo. Na podstawie takich historii stworzyłem grupę „Hrabiego”.

Podpułkownik Józef Światło to postać autentyczna. Był on wysokiej rangi oficerem UB, zastępcą szefa Departamentu X kontroli wewnętrznej. Aresztował przedstawicieli partii, którzy przegrali w wewnętrznych rozgrywkach. Posiadał olbrzymią wiedzę o członkach partii i aparacie represji. Co zaskakujące, przyczynił się do upadku stalinizmu w PRL. Uciekł na Zachód, do Berlina Zachodniego w grudniu 1953 roku. Był człowiekiem sowieckich służb i podobno protegowanym samego Ławrientija Berii.

W kilka miesięcy po ucieczce, idąc za radą Amerykanów, Światło zaczął występować w radiu Wolna Europa z serią audycji o kulisach działalności partii i rządu. Audycje te były jak iskra rzucona na beczkę prochu. Na zachód przedostał się człowiek z ogromną wiedzą. Pierwsze tak wysoko uplasowane źródło informacji o działalności władz! Audycje były masowo słuchane mimo zagłuszania. Ujawnienie niuanów dotyczących czerwonej władzy, zbrodni i przepychu zmusiło komunistów do reformy UB. Audycje Światły wstrząsnęły krajem i zapoczątkowały falę przemian, których ukoronowaniem w roku 1956 była tak zwana odwilż październikowa.

Według zachodnich badaczy i specjalistów od służb specjalnych Światło był brytyjskim agentem. W roku 1948 został przekazany Amerykanom. To on nadzorował procesy zachodnich komunistów oskarżonych przez reżim o zdradę (co miało być skomplikowaną grą amerykańskiego wywiadu, który chciał poróżnić komunistów i wprowadzić chaos w ich szeregach). Praca Światły dla Amerykanów okazała się bardzo interesująca jako zaczyn powieści sensacyjnej. Procesy zdrajców są przedstawione w tekście jako „sprawa Fielda”.

Erika Herp to postać fikcyjna. Sowiecka agentka, Żydówka. Szkolenie w PRL, na Dolnym Śląsku, w jakim wzięła udział, rzeczywiście się odbywało. Sowietów oraz władze Polski Ludowej prowadzili program szkolenia bojowników żydowskich chcących budować państwo Izrael. Stalin liczył, że zbuduje państwo socjalistyczne w Palestynie i utworzy „wyspę” na Bliskim Wschodzie. Najsłynniejszy obóz szkoleniowy stworzony przez komunistów mieścił się w Bolkowie.

Jan Osawski to postać wzorowana na zastępcy szefa wydziału śledczego Gdańskiego UB z lat czterdziestych. Był on Żydem ocalałym z Zagłady. Uciekł z pędzącego pociągu do Obozu Śmierci. Sam. W wagonie została jego rodzina. Człowiek ten, nie mogąc znieść traumy po stracie, kiedy już służył w UB – jako bardzo brutalny oficer – krążył po ruinach Gdańska i zabijał przypadkowo napotkanych Niemców albo tych, którzy odezwali się do niego po niemiecku.

Inspiracją dla głównego wątku, czyli planu Zardowa i Osawskiego, były znane dziś metody działania służb w tamtym czasie. Nie ma tu dowodów, ale są wystarczająco mocne poszlaki pobudzające wy-

obraźnię twórcy. Prawdą jest, że Ławrientij Beria zamierzał przejąć władzę po Stalinie. Beria planował uspokojenie konfliktu z Zachodem. Zakładał przekierowanie gospodarki na zaspokajanie potrzeb cywilnych. Ważnym elementem jego planów była przyszłość Niemiec. Beria planował zjednoczenie Niemiec, przy jednoczesnym ich rozbrojeniu i ogłoszeniu neutralności. Podobno rozpoczęto wstępne negocjacje. Liczba oficerów sowieckiej bezpieki w NRD zaczęła maleć.

17 czerwca 1953 roku w Berlinie Wschodnim zaczęły się rozruchy, zwane przez Niemców (na wyrost) powstaniem. Demonstracje rozlały się na wiele miast, ale zostały szybko stłumione przez czołgi sowieckie. Czy był to oddolny ruch niezadowolonych Niemców czy (jak to często bywa) prowokacja? Tego zapewne nigdy nie wyjaśnimy do końca. Jednak faktem jest, że Berię oskarżono o stworzenie warunków do rewolty, zarzucając mu zmniejszanie personelu w strukturach sowieckich służb. Ławrientija Berię rozstrzelano w lipcu 1953 roku za szpiegostwo. Światło zbiegł do Berlina Zachodniego, obawiając się podobnego losu po stracie protektora.

Na koniec chciałem bardzo podziękować Michałowi Gruszczyńskiemu, historykowi, varsawianinowi za konsultacje i pomoc w pisaniu tej powieści.

PRZYPISY

- [1](#) Dosłowne tłumaczenie chińskiego słowa *Dabizi* – tak Chińczycy określają ludzi z Zachodu
- [2](#) Dobranoc, kochanie! (niem.)
- [3](#) *Staatssicherheitsdienst* (niem.) – Służba Bezpieczeństwa Państwowego w NRD. Wschodnioniemiecka bezpieka
- [4](#) *Volkspolizei* (niem.) – Policja Ludowa w NRD
- [5](#) Spokojnie, przyjacielu! (niem.)
- [6](#) Nie ruszaj się! (niem.)
- [7](#) *Polizisten* (niem.) – gliniarze
- [8](#) Teraz, biegnij szybko! (niem.)
- [9](#) O przygodach „Greenmana” w Polsce Ludowej mogą państwo przeczytać w powieści *Wojna oszukanych*. Zaś o losach bohatera w czasie wojny w powieści *Elsenborn*.
- [10](#) Kangurka – kurtka z kapturem, wkładana przez głowę, z przodu posiada dużą kieszeń o dwóch otworach po bokach, podobną do torby kangura.
- [11](#) MGB – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego. Kontynuacja NKWD i NKGB
- [12](#) Radzieccy – slangowe określenie sowieckich oficerów i nadzorców w strukturach bezpieczeństwa i wojsku PRL
- [13](#) Stul pysk! (niem.)
- [14](#) On dowódca? (ros.)
- [15](#) Może być (ros.)
- [16](#) Tak nazywano budynek warszawskiej YMCA
- [17](#) Tu: Zachodnioniemiecki wywiad. Reinhard Gehlen (1902–1979) – niemiecki generał major Wehrmachtu i generał porucznik rezerwy Bundeswehry, ostatni szef wydziału OKH Fremde Heere Ost (*Obce Armie Wschód*) – wywiadu wojskowego niezależnego od Abwehry i SD, twórca i pierwszy kierownik zachodnioniemieckiego wywiadu zorganizowanego początkowo jako tzw. Organisation Gehlen (*Organizacja Gehlena*), a następnie jako Bundesnachrichtendienst (*Federalna Służba Wywiadowcza; BND*).
- [18](#) PM – pistolet maszynowy